

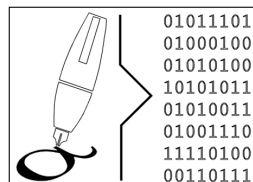
MICHAEL MOORCOCK

ZWIASTUN BURZY

Sagi o Elryku

Tom VIII

Przełożył: Andrzej Rosanoff



Tytuł oryginału:

Stormbringer

Data wydania polskiego: 1995 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1977 r.

PROLOG

Na Ziemi i poza jej granicami nastał czas wielkiego poruszenia, kiedy w kuźni Przeznaczenia decydowały się losy ludzi i Bogów, kiedy planowane były wspaniałe czyny i wielkie wojny. W tych czasach, zwanych Wiekiem Młodych Królestw, rodzili się wielcy herosi. Najwspanialszym z nich był poszukiwacz przygód, którego działaniami kierował Los — ten człowiek dźwigał przy pasie śpiewający miecz runiczny. Miecz, którego nienawidził.

A zwał się ten heros Elryk z Melniboné. Król Ruin, władca rasy, która rządziła starożytnym światem, gdy teraz bezdomni, nieliczni Melnibonéanie rozproszyli się po całej Ziemi. Elryk, Elryk-czarnoksiężnik, Elryk — rycerz. Zabójca krewnych, zdrajca ojczyzny, albinos o białej twarzy. Ostatni potomek rodu, ostatni cesarz Melniboné.

Ten, który przybył do miasta Karlaak nad Płaczącym Pustkowiec i poślubił wybrankę, by u jej boku odnaleźć wreszcie spokój i ucieczkę od wewnętrznego cierpienia.

Nie wiedząc, że Przeznaczenie zgotowało mu los o wiele bardziej skomplikowany niż sądził, spał właśnie z żoną, Zarozinią, w swoim pałacu w mieście Karlaak, a jego sen był niespokojny. Śniły mu się czarne koszmary pewnej ponurej nocy w Miesiącu Anemone.

KSIĘGA PIERWSZA

POWRÓT MARTWEGO BOGA

W której Elryk nareszcie poznaje swój los, a Władcy Prawa i Chaosu zbierają siły na ostateczną bitwę, która zdecyduje o przyszłości Elrykowego świata.

Rozdział 1

Nisko nad ziemią wisiały ogromne chmury. Pioruny, rozświetlając czerń północy, rozpruwały drzewa na dwoje i uderzając w dachy, rozbijały je w drzazgi.

Ciemna bryła lasu zadrżała pod ciosem gromu, a blade światło błyskawicy ukazało przyczajonych sześć potwornych, garbatych postaci. Nie byli to ludzie. Zatrzymali się na skraju lasu i spojrzeli ponad niewysokimi wzgórzami na jaśniejące w dali mury miasta; miasta o przysadzistych budowlach, o wysmukłych iglicach i wieżach, o pełnych gracji kopułach. Przywódca stworów znał nazwę tego miasta. Zwano je Karlaak nad Płaczącym Pustkowiec.

Złowieszcza burza tej nocy nie była dziełem natury. Pod jej osłoną stwory przemknęły przez otwarte bramy i przez ocienione miejsca dotarły do pięknego pałacu, w którym spał Elryk. Przywódca bandy uniósł w uzbrojonej w pazury łapie czarny topór. Grupa zatrzymała się. Patrzyli na pałac zajmujący dosyć dużą powierzchnię, otoczony ogrodami, spowitymi teraz ciężką białą mgłą. Ziemia znowu zatrzęsa się, gdy grzmot zahuczał w czarnym niebie.

— Chaos wspiera nas w tej sprawie — wychrzakał przywódca. — Patrzcie, strażę już leżą pogrążone w magicznym śnie. To nam ułatwi wejście. Władcy Chaosu są dobrzy dla swoich sług.

Przywódca mówił prawdę. Jakaś nadprzyrodzona siła brała udział w tej intrydze i wojownicy strzegący pałacu Elryka leżeli teraz na ziemi, a ich chrapanie przedrzeźniało grzmoty. Słudzy Chaosu przeszli cicho obok śpiących straży na główny dziedziniec. Stamtąd dostali się wprost do ciemnego pałacu. Bezbłędnie wybierali drogę. Wspięli się po spiralnych schodach, przebyli ciemne korytarze i znaleźli się przed drzwiami, za którymi Elryk i jego żona spali niespokojnym snem.

Zaledwie przywódca położył łapę na drzwiach, z komnaty rozległ się okrzyk:

— Co się dzieje? Co za piekielne stwory zakłócają mi odpoczynek?

— On nas widzi! — szepnął jeden z grupy.

— Nie. On tylko śni — powiedział przywódca. — Ale czarownika takiego jak Elryk niełatwo jest uśpić i nie na długo. Lepiej jeżeli się pospieszymy i zrobimy to, co do nas należy. Kiedy się zbudzi, będzie nam o wiele trudniej wykonać zadanie.

Trzymając topór w pogotowiu, przywódca nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Za oknem błyskawica przecięła czarne niebo, w jej blasku ujrzeli białą twarz albinosa, spoczywającego u boku czarnowłosej żony.

Gdy wpadli do komnaty, Elryk podniósł się sztywno i otworzył oczy. Przez chwilę były zamglone, lecz szybko odzyskały zdolność ostrego widzenia. Albinos spojrzął na intruzów i głośno wykrzyknął:

— Precz, wy kreatury z moich snów!

Przywódca zaklął i skoczył do przodu. Rozkaz zabraniał mu zabić tego człowieka, więc tylko uniósł swój topór i zagroził:

— Milcz! Twoje straże nie mogą ci pomóc!

Elryk wyskoczył z łóżka, złapał potwora za przegub ręki. Twarz Melnibonéanina znalazła się blisko mordy z wystającymi kłami. Albinos był słaby na ciele i zwykle potrzebował magii i ziół by dawały mu siłę. Jednak teraz poruszał się niezwykle szybko i z ogromną siłą — wyrwał topór bestii i wyrzucił ją trzonkiem między oczy. Z warknięciem potwór upadł do tyłu, lecz w tym momencie inni rzucili się na króla. Było ich pięciu, pokrytych sierścią i bardzo silnych.

Elryk zdołał rozłupać czaszkę pierwszemu napastnikowi, podczas gdy reszta próbowała go ująć. Kiedy z głowy potwora trysnęła cuchnąca krew i mózg, albinosowi na moment odebrało dech. Zdołał jeszcze wyrwać rękę, podnieść topór i uderzyć nim w obojczyk następnego potwora, ale w tej samej chwili poczuł, jak ktoś go nagle chwyta za nogi, po czym runął na ziemię. To go trochę oszołomiło, ciągle jednak miotał się wściekle nie przestając walczyć. Dopiero gdy na jego głowę spadło potężne uderzenie i gdy przeszył go palący ból, padł na posadzkę bez czucia.

Kiedy się ocknął z pulsującą głową, burza wciąż grzmiała wśród nocy. Używając łóżka jako podparcia, powoli stanął na nogi. Rozejrzał się nieprzytomnie dookoła.

Zarozinia zniknęła. Oprócz niego w komnacie znajdowało się tylko martwe ciało bestii, którą udało mu się zabić. Jego żona, czarnowłosa piękna Zarozinia została uprowadzona.

Elryk, trzęsąc się, podszedł do drzwi i otworzywszy je gwałtownie, zawołał na straże. Ale nikt mu nie odpowiedział.

Jego runiczny miecz, Zwiastun Burzy, wisiał w miejskiej zbrojowni i upłynie trochę czasu, zanim będzie mógł go wziąć. Gardło albinosa ścisnęły ból i złość, gdy biegł przez korytarze, po schodach, oszołomiony i pełen trwogi, próbując pojąć co kryje się za zniknięciem żony.

Ponad pałacem burza nie słabła na sile. Budynki wydawały się opuszczone i Elryk poczuł się nagle bardzo samotny. Ale gdy wydostał się na główny dziedzińiec i zobaczył nieprzytomnych strażników, natychmiast zrozumiał, że ich sen nie był naturalny. Myślał o tym, kiedy biegł przez ogrody i bramy w kierunku miasta. Nigdzie nie dostrzegł śladu po porywaczach.

— Dokąd oni poszli? — zastanawiał się.

Spojrzał na szalejące niebo. Jego blada twarz była napięta, malowała się na niej bezsilna złość. Nie widział w tym wszystkim żadnego sensu. Dlaczego ją uprowadzili? Wiedział, że miała wrogów, lecz żaden z nich nie był w stanie ściągnąć tak potężnej, nadprzyrodzonej pomocy. Kto, poza nim samym, umiał sprawić, by całe miasto zasnęło, a niebo zatrzęsło się od grzmotów?

Do domu pana Voashoona, ojca Zarozinii, Najwyższego Senatora Miasta Karlaak, Elryk dobiegł dysząc jak wilk. Zaczął walić pięściami w drzwi krzycząc na ogłupiałych służących.

— Otwierać, to ja, Elryk! Szybko!

Zaledwie uchylono drzwi, Elryk wpadł do środka. Potykając się, zaspany Voashoon wolno zszedł po schodach.

— O co chodzi, Elryku?

— Zwołaj swoich wojowników! Zarozinia została uprowadzona! Porwały ją demony, więc teraz mogą być już daleko stąd, ale musimy ich szukać, na wypadek gdyby się okazało, że uciekali lądem.

Twarz Voashoona stała się w jednej chwili czujna i jeszcze słuchając wyjaśnień Elryka, zaczął wydawać zwięzłe rozkazy swoim służącym.

— I muszę wejść do zbrojowni — zakończył Elryk. — Muszę zabrać Zwiastuna Burzy!

— Ale przecież wyrzekłeś się go ze strachu przed władzą, jaką miecz miał nad tobą — Voashoon przypomniał mu cicho.

Elryk odpowiedział ze zniecierpliwieniem:

— Racja, ale wyrzekłem się miecza również przez wzgląd na Zaroznię. Jeżeli jednak teraz mam ją odnaleźć, muszę go mieć. Nie ma czasu na próżne gadanie. Szybko, daj mi klucze!

Voashoon wyjął klucze i nie mówiąc już ani słowa, poprowadził Elryka do zbrojowni. Znajdował się tam oręż i broje jego przodków, od wieków leżały nie używane. Przez zakurzone pomieszczenia albinos dostał się do ciemnej niszy. Wydawać się mogło, że spoczywało w niej coś żywego.

Gdy człowiek wyciągnął szczupłą rękę, by wziąć leżący tam wielki, czarny miecz, usłyszał ciche zawrożenie klingi. Broń była ciężka, ale doskonale wyważona, jelce miała szerokie, a ponad półtorametrową głownię gładką jak szkło. Tuż za jelcem wyryto runy, których znaczenia nawet Elryk nie zrozumiał do końca.

— Oto wróciłem po ciebie, Zwiastunie Burzy — powiedział Elryk, zakładając pas z pochwą. — Tak blisko jesteśmy złączeni ze sobą, że nic poza śmiercią nie może nas rozdzielić.

Z tymi słowami opuścił zbrojownię i wyszedł na dziedziniec, gdzie jeźdźcy dosiadali podenerwowanych wierzchowców, oczekując rozkazów.

Elryk stanął przed nimi i wyciągnął Zwiastuna Burzy. Miecz promieniował dziwnym, czarnym światłem, zalewając poświatą białą twarz króla.

— Dzisiejszej nocy wyprawicie się w pościg za demonami. Przeszukajcie okolicę, lasy i pola w poszukiwaniu tych, którzy porwali waszą księżniczkę! I chociaż najprawdopodobniej porywacze skorzystali z nadprzyrodzonych środków ucieczki, nie możemy być tego pewni. Szukajcie więc i dajcie z siebie wszystko. Przez całą noc trwały poszukiwania, ale nikt nie trafił na ślad ani potworów, ani żony Elryka. A kiedy nastał i poranek, ludzie wrócili do Karlaak, gdzie oczekiwał ich król, przepełniony teraz nieczystą energią, którą zapewniał mu Czarny Miecz.

— Panie Elryku! — ktoś zawołał. — Czy mamy pójść po naszych śladach i zobaczyć, czy dzień przyniesie coś nowego? ;

— On cię nie słyszy — powiedział półgłosem inny żołnierz, ponieważ zatopiony w myślach król nie odpowiedział. ’

Ale Elryk odwrócił głowę i z bólem w głosie rzekł: j

— Przerwijcie poszukiwania. Przemyslałem sprawę i wiem, że muszę szukać żony z pomocą magii. Rozejdźcie ; się. Nic więcej nie możecie zrobić.

Ruszył w stronę pałacu. Znał jeszcze jeden sposób, by ’ dowiedzieć się dokąd zabrano Zarozinię. To był sposób, którego bardzo nie lubił, lecz właśnie ten musiał teraz j zastosować.

Dotarłszy do pałacu, rozkazał wszystkim opuścić jego komnatę, zarygłował drzwi i spojrzał na martwe ciało. Trupa dotąd nie uprzątnięto. Zakrzepnięta krew plamiła całą posadzkę. Topór, którym Elryk zabił potwora, zabrali z sobą towarzysze bestii.

Albinos przygotował ciało, układając je na podłodze. Zamknął szczelnie okiennice i zapalił leżące w palenisku przesiąknięte oliwą sitowie. Podeszedł do niewielkiej skrzyni stojącej przy oknie i wyjął z niej woreczek. Ze środka wyciągnął garść suszonego zioła i szybkim ruchem wrzucił w ogień. Pałac się ziele wydawało mdły zapach. Pokój napełnił się dymem. Człowiek stanął nad trupem i zaintonował magiczną pieśń. Używał do tego starego języka swoich praojców, cesarza Melniboné. Zupełnie nie przypominała ludzkiej mowy, wznosiła się i opadała, od niskiego jęku po najwyższy ton.

Płomień rzucał na twarz Elryka czerwoną poświatę, a po pokoju przemykały groteskowe cienie. Trup poruszył się, jego rozbita głowa przekręcała się z jednej strony na drugą. Elryk wyjął swój runiczny miecz i położył go przed sobą. Obie dłonie trzymał na rękojeści.

— Powstań, bezduszna kreaturo! — rozkazał.

Powoli, jakby w konwulsjach, potwór podniósł się i stanął sztywno niczym kukła. Jedną łapę wyciągnął w stronę Elryka, zasnute mgłą oczy patrzyły gdzieś poza człowieka.

— To wszystko było z góry zaplanowane — wyszeptwała bestia. — Nie myśl, że uda ci się uciec od twojego przeznaczenia, Elryku z Melniboné. Jestem tworem Chaosu, to co zrobiłeś ze mną zostanie pomszczone przez moich panów.

— Jak?

— Twój los jest już postanowiony. Niedługo będziesz wiedział.
— Powiedz mi, trupie, dlaczego przybyliście porwać moją żonę. Kto was tu przysłał? Dokąd ją zabraliście?
— Trzy pytania, Elryku, wymagające trzech odpowiedzi. Wiesz, że trup ożywiony przy pomocy magii nie może bezpośrednio odpowiadać na pytania.
— To wiem. Odpowiadaj więc tak jak umiesz.
— Słuchaj zatem uważnie, bo mogę tę przepowiednię wyrzec tylko raz. Później wrócę do piekielnych otchłani, gdzie butwiejąc, będę spokojnie zamieniał się w nicość. Słuchaj:

*Poza oceanem bitwa wybuchnie
Jeszcze dalej poleje się krew
Gdy krewny dołączy do Elryka
(Niosąc bliźniaka miecza jego)
Do miejsca gdzie ludzi już brak
W którym mieszka ten, który zginie
Krwawa wymiana będzie zrobiona
Elryka żona zostanie zwrócona.*

To rzekłszy, stwór upadł na ziemię i więcej się nie poruszył.

Elryk podszedł do okna. Otworzył okiennice. Jakkolwiek przyzwyczajony do zagadkowych wierszy-przepowiedni, ten musiał uznać za szczególnie trudny do rozwikłania. Płonące sitowie zatrzeszczało, dym się rozwiął, gdy światło dzienne wpadło do pokoju. — „Poza oceanem”. . . Jest wiele oceanów.

Król schował miecz do pochwy i położył się na łóżku, żeby przemyśleć to, co powiedział trup. W końcu po długich minutach rozmyślenia Elryk przypomniał sobie :oś, co usłyszał od podróżnika, który przybył tu z państwa Tarkesh, znajdującego się na Zachodnim Kontynencie.

Podróżnik opowiedział mu o niezgodzie wzbierającej między krajem Dharijor i innymi państwami Zachodu. Dharijor łamał wszystkie traktaty, które zawarł z sąsiadami, a teraz podpisał nowy układ z Teokratą z Pan Tang. Pan Tang był diabelską wyspą zdominowaną przez złych czarnoksiężników. To właśnie stamtąd pochodził najdawniejszy wróg Elryka, Theleb K'aarna. Stolicą Pan Tang było Hwamgaarl, zwane również Miastem Krzyczących Posągów. Do niedawna jego mieszkańcy mieli niewiele kontaktów ze światem zewnętrznym. Jagreen Lern był nowym, ambitnym Teokratą. Jego przymierze z Dharijorem mogło oznaczać, że zbierał potęgę większą niż państwa Młodych Królestw. Podróżnik dodał, że walki mogły wybuchnąć lada moment, ponieważ wszystko świadczyło o tym, iż Dharijor i Pan Tang zawarły przymierze wojenne.

Teraz, kiedy je sobie przypomniał, połączył te informacje z najnowszymi wiadomościami. Królowa Yishana z Jharkoru, królestwa sąsiadującego z Dharijorem,

zwerbowała na pomoc Dyvima Slorma i jego imrriańskich najemników. A Dyvim Slorm był jego jedynym krewnym. To znaczyło, że Jharkor gotował się do walki przeciwko Dharijorowi. Te dwa fakty łączyły się logicznie z przepowiednią i nie można było ich zignorować.

Tak rozmyślając, Elryk zaczął przygotowywać się do podróży. Musiał jechać do Jharkoru i to szybko, ponieważ tam spotka swojego pobratymca. Wszystko wskazuje, że tam właśnie rozegra się wkrótce wielka bitwa.

Jednak perspektywa podróży, która zabierze wiele tygodni, w ciągu których nie będzie miał żadnych wiadomości o swojej żonie, była przyczyną lodowatego bólu wzbierającego w jego sercu.

— Nie czas teraz na żale — powiedział więc sam do siebie i zasznurował swój czarny pikowany kaftan. — Działanie, i to szybkie działanie, jest wszystkim czego się teraz po mnie oczekuje.

Trzymając miecz przed sobą zapatrzył się w dal. Potem powiedział z mocą:

— Przysięgam na Ariocha, że ci, którzy to zrobili, czy byli ludźmi, czy nie, będą cierpieć za swoje czyny. Wysłuchaj mnie, Ariochu! To jest moja przysięga!

Ale jego słowa pozostały bez odpowiedzi i Elryk uznał, że Arioch, Władca Chaosu, jego demon-stróż, tym razem nie usłyszał go. Lub nie chciał słyszeć.

Albinos wyszedł z cuchnącej śmiercią komnaty.

Rozdział 2

W miejscu gdzie Pustynia Westchnień stykała się z wodą, pomiędzy Tarkesh, Dharijorem i Shazarem leżało Białe Morze.

Wody te były zimne i nieprzyjazne, ale statki wybierały szlaki przebiegające właśnie tędy. Kapitanowie woleli omijać Cieśninę Chaosu, gdzie czyhały na nich śmiertelne niebezpieczeństwa w postaci wiecznych sztormów i zamieszkujących te wody potworów.

Elryk z Melniboné owinięty w płaszcz stał na pokładzie ilmiorańskiego szkutera. Wstrząsany dreszczami spoglądał na pokryte chmurami niebo.

Krępy mężczyzna z wesołymi niebieskimi oczami szedł zataczając się mocno. W rękach niósł kubek grzanego wina. Podszedł do Elryka i podał mu napój.

— Dzięki, kapitanie — powiedział albinos z wdzięcznością i wypił trochę płynu. — Ile jeszcze czasu upłynie, nim dobijemy do portu w Banarwie?

Kapitan postawił kołnierz skórzanego kaftana, żeby osłonić smagłą nie ogoloną twarz.

— Płyniemy powoli, ale powinniśmy zobaczyć półwysep Tarkesh przed zachodem słońca. — Banarwa była jednym z ważniejszych miast portowych Tarkesh. Kapitan oparł się o reling. — Ciekaw jestem, jak długo jeszcze po tych wodach będą mogły pływać statki, skoro wybuchła wojna pomiędzy królestwami Zachodu. W przeszłości Dharijor i Pan Tang znane były ze swych wypraw pirackich. Założę się, że pod płaszczykiem wojennych działań rozszerzą teraz i tę działalność.

Elryk przytaknął niewyraźnie. Piraci nie byli jego największym zmartwieniem.

Po zejściu ze statku albinos wkrótce przekonał się, że na obszarze Młodych Królestw naprawdę rozszalała się wojna. Jedynym tematem krążących pogłosek i rozmów stały się wygrane bitwy i polegli wojownicy. Niewiele się dowiedział z pogmatwanych plotek, mówiono jednak, że na ostateczną walkę czas jeszcze nie nadszedł.

Od gadatliwych Banarwan usłyszał również, że na całym Zachodnim Kontynencie zbierały się wojska. Powiedziano mu, że z Myyrrhn leciały oddziały skrzy-

dlatych wojowników. Z Jharkoru w kierunku Dharijor śpieszyły Białe Lamparty, gwardia przyboczna królowej Yishany, a na ich spotkanie dążył Dyvim Slorm i jego najemnicy.

Dharijor był najsilniejszym państwem Zachodu, a Pan Tang jego potężnym sojusznikiem, bardziej ze względu na wiedzę magiczną mieszkańców niż na ich liczbę. Drugim co do potęgi państwem był Jharkor, ale ani on sam, ani razem z Tarkesh, Myyrrhn i Shazarem nie stanowił przeszkody dla potęgi zagrażającej bezpieczeństwu Młodych Królestw.

Przez ostatnie kilka lat Dharijor poszukiwał możliwości podbojów i zawarto w pośpiechu przymierze by przeszkodzić temu, zanim będzie za późno. Czy ten wysiłek przyniesie jakiś pozytywny skutek, tego Elryk nie wiedział i ci, z którymi rozmawiał, byli równie niepewni.

Na ulicach Banarvy panował tłok, ciągnęli przez miasto żołnierze, tłoczyły się powozy, szły konie i woły. W porcie stało mnóstwo okrętów wojennych i ciężko było znaleźć kwaterę, ponieważ większość zajazdów i domów prywatnych została zarekwirowana przez armię. Taka sytuacja panowała na całym Zachodnim Kontynencie. Wszędzie wojownicy ostrzyli broń, przywdziewali zbroje, dosiadali ciężkich bojowych rumaków i pod jasnymi, ałtasowymi sztandarami wyruszali, żeby zabijać i plądrować.

Bez cienia wątpliwości gdzieś tu natknę się na bitwę, o której była mowa w przepowiedni — rozmyślał Elryk. Spróbował na chwilę zapomnieć o dręczącej potrzebie zdobycia jakiegokolwiek wiadomości o Zarozinii i skierował swój wzrok ku zachodowi. Zwiastun Burzy wisiał u jego boku jak wielka kotwica. Elryk nienawidził go, choć to właśnie miecz dostarczał mu siły życiowej.

Spędziwszy noc w Bananie, rankiem wynajął dobrego konia i wyruszył do Jharkoru.

Jechał przez sponiewierany wojną świat. Jego szkarłatne oczy płonęły szalonym gniewem na widok absurdu niszczenia, które oglądał. Wzbierała w nim nienawiść gdy patrzył na ludzi, zabijających się z byle powodu. A przecież wojna nie była mu obca, sam niegdyś plądrował i zabijał, a jego miecz sycił się duszami mordowanych wrogów. I nie w tym rzecz, że współczuł ginącym i nienawidził morderców. Sprawy zwykłych ludzi były zbyt małe, żeby się nimi przejmować. Lecz na swój własny sposób był idealistą, cierpiał, gdyż sam całym udęczonym sercem pragnął wewnętrznego spokoju i poczucia bezpieczeństwa, oburzał się widząc bezsens wojny. Wiedział, że jego przodkowie obserwowali z przyjemnością potyczki między Młodymi Królestwami, obserwowali je z dystansu, uważając, że sami są ponad emocje, jakim dawały się ponosić walczące Młode Królestwa. Przez dziesięć tysięcy lat cesarze z Melniboné rządili tym światem. Była to rasa pozbawiona sumienia i zasad moralnych, nie odczuwająca żadnej potrzeby usprawiedliwiania swoich podbojów i swoich wrodzonych złych skłonności. Lecz Elryk, ostatni z rodu, był inny. Okrutny, uprawiał czarną magię i nikomu

nie współczuł, był jednak w stanie kochać i nienawidzić. To właśnie zdolność do gwałtownych uczuć i fakt, iż nie znajdował zrozumienia wśród swoich rodaków, doprowadziły do zerwania z ojczyzną. Wyruszył w świat by porównać się z nowymi ludźmi. Z powodu miłości i nienawiści powrócił i zemścił się na swoim kuzynie Yyrkoonie. Yyrkoon niegdyś sprowadził na narzeczoną Elryka magiczny sen, i sam bezprawnie objął władzę na Smoczej Wyspie, ostatnim terytorium należącym do Świetlanego Imperium. W szale zemsty albinos przy pomocy floty piratów zrównał z ziemią Imrryr, Miasto Snów, i zniszczył na zawsze rasę, która je zbudowała. Niedobitki rozproszyły się po świecie, jako najemnicy sprzedając się temu, kto dawał wyższą cenę. Miłość i nienawiść sprawiły, że Elryk zabił Yyrkooną, który zasłużył na śmierć, i że stał się zabójcą niewinnej Cymoril. Miłość i nienawiść. Te dwa uczucia unosiły się w jego duszy jak gryzący dym, taki sam jak ten wiszący teraz wokół w powietrzu, wśród którego biegli ludzie uciekając w panice na oślepe przed siebie, byle dalej od żołnierzy Dharijoru, którzy zapuścili się daleko w głąb Tarkesh. Wałęsające się oddziały nie napotykały prawie żadnego oporu, ponieważ główne siły król Hilran skoncentrował przed wielką bitwą na północy.

Elryk jechał teraz opodal Zachodnich Moczarów i granicy Jharkoru. W lepszych czasach widziało się tu krzepkich drwali i żniwiarzy, lecz dziś plony były zniszczone, a lasy spalone.

Droga wiodła przez pogorzelsko, pod kopytami konia sucho trzaskały osmalone resztki gałęzi, a kikuty drzew kontrastowały ostro rysowały się na niespokojnym, szarym niebie. Elryk naciągnął kaptur na głowę, twarz okrył cień. Zaczęło padać. Krople bębniły po szkieletach drzew, wszystko tonęło w ponurej szarości. Ulewie towarzyszyło przygnębiające zawrodozenie wiatru. Albinos mijał ruinę czegoś, co zdawało się być niegdyś domem, lecz na wpół zapadło w ziemię, gdy nagle dobiegł go skrzekliwy okrzyk:

— Elryku z Melniboné!

Zdziwiony, że ktoś go rozpoznał, odwrócił głowę. Na tle resztki ścian ujrzał postać odzianą w łachmany, gestem przywołującą go do siebie. Zaintrygowany podjechał bliżej, lecz nie mógł odgadnąć, czy był to mężczyzna, czy kobieta.

— Skąd znasz moje imię?

— Jesteś legendą wśród Młodych Królestw. Kto by nie rozpoznał tej bladej twarzy i ciężkiego ostrza, które nosisz u boku?

— Może i racja, ale mam wrażenie, że musi tu być coś więcej niż przypadek. Kim jesteś i skąd znasz Wysoką Mowę Melnibonéan? — Elryk rozmyślnie używał pospolitej Wspólnej Mowy.

— Powinieneś wiedzieć, że ci którzy uprawiają czarną magię używają Szlachetnej Mowy ulubionej przez mistrzów tej sztuki. Czy nie zechciałbyś być moim gościem przez chwilę?

Elryk spojrzął na rudere i pokręcił głową. Był wybredny, a ta chata nie przy-

pominała pałacu. Nieszczęśnik uśmiechnął się i wykonawszy szyderczy ukłon, przeszedł na Wspólną Mowę:

— Więc wielmożny pan wzgardził moim ubogim domem. Ale czy on nie zadaje sobie pytania dlaczego ogień, który szalał w tym lesie, nic mi nie zrobił?

— Tak, to rzeczywiście interesująca zagadka — odpowiedział Elryk z namysłem.

Czarownik podszedł bliżej.

— Żołnierze z Pan Tang przybyli niecały miesiąc temu. Byli to Szatańscy Jeźdźcy ze swoimi myśliwskimi tygrysami, biegnącymi obok nich. Zniszczyli plony, spalili nawet lasy, żeby ci, którzy uciekli, nie mogli polować na zwierzyne i zbierać jagód. Mieszkałem w tym lesie przez całe moje życie uprawiając proste czary i jasnowidzenie na własne potrzeby. Gdy jednak zobaczyłem ścianę ognia, która zaraz miała mnie pochłonać, wykrzyknąłem imię demona, które znałem, a którego wcześniej nie odważyłbym się wezwać. Demon z Chaosu zjawił się na moje wezwanie. — Uratuj mnie — krzyknąłem. — A co mi ofiarujesz w zamian? — zapytał demon. — Cokolwiek zapragniesz — rzekłem. — Przeto przekaz tę wiadomość od moich panów — powiedział. — Kiedy zabójca krewnych, znany jako Elryk z Melniboné, przejedzie tędy, powiedz mu, że jest jeden z jego rasy, którego zabić nie może. A znajdzie go w Sequaloris. Jeżeli Elryk kocha swoją żonę, niech powierzona mu rolę dobrze zagra. Żona zostanie mu zwrócona. Przekazuję tak, jak przysiągłem.

— Dzięki — odpowiedział Elryk — ale co najpierw oddałeś w zamian za moc wezwania takiego demona?

— Moją duszę, oczywiście. Ona i tak już była stara i niewiele warta. Piekło nie może być gorsze od tego, co tu mamy.

— Więc dlaczego nie spłonąłeś razem z lasem? Oszczędziłbyś swoją duszę.

— Chcę żyć — odpowiedział nieszczęśnik, uśmiechając się ponownie. — Och, życie jest dobre. Moje własne jest może nędzne, lecz życie dookoła jest tym, co kocham. Ale nie będę zatrzymywał cię, panie, ponieważ masz ważniejsze sprawy na głowie.

Jeszcze raz czarnoksiężnik pokłonił się, a Elryk odjechał zaintrygowany, ale z nadzieją w sercu. Jego żona wciąż żyła i była bezpieczna. Jaka to *krwawa wymiana musi nastąpić*, zanim zostanie mu zwrócona?

Brutalnie spiął konia i pogalopował w stronę Sequaloris. Przez zasłoną deszczu doleciał go z tyłu drwiący, ohydny chichot. Cel stał się teraz wyraźniejszy, więc jechał szybko, ostrożnie omijając wałęsające się bandy najeźdźców, aż dotarł do miejsca, gdzie wypalone równiny zamieniały się w nietknięte jeszcze ogniem wojny pola uprawne porośnięte bujną pszenicą w prowincji Sequa, leżącej w państwie Jharkor. Minął jeszcze jeden dzień jazdy i Elryk wjechał do Sequaloris, małego miasta otoczonego murami. Tu zobaczył przygotowania czynione przed wojną, dostał też wiadomości o wielkiej dla niego wadze.

Imrryriańscy najemnicy pod przywództwem Dyvima Slorma, kuzyna Elryka, syna Dyvima Tvara — przyjaciela albinosa, mieli przybyć następnego dnia.

Między Elrykiem i najemnikami panował kiedyś pewien rodzaj wrogości, ponieważ to albinos zmusił ich do opuszczenia Miasta Snów, do życia na obczyźnie. Ale tamte czasy dawno minęły i w ciągu dwóch poprzednich spotkań on i Imrryrianie walczyli po tej samej stronie. Cesarz Melniboné był ich władcą, a więzy tradycji przetrwały w starej rasie. Teraz Elryk modlił się do Ariocho, żeby Dyvim Slorm miał jakieś wieści o miejscu pobytu Zarozinii.

Następnego dnia w południe armia najemników wjechała dumnie do miasta. Albinos spotkał ich u bramy. Imrryriańscy wojownicy byli obładowani łupami, znużeni długą jazdą. Zanim zostali wezwani przez Yishanę, plądrowali Shazar, leżące niedaleko Mglistych Moczarów. Ci skośnoocy wojownicy o spiczastych twarzach i wystających kościach policzkowych różnili się od innych ras. Byli wysmukli, z długimi, miękkimi jasnymi włosami spływającymi na ramiona. Ich ozdoby pochodziły z grabieży, niektóre zaś jeszcze z Melniboné. Na iskrzących się złotem okryciach pobrzękiwały niebieskie i zielone, misternej roboty metalowe naszyjniki o zawiłych wzorach. W rękach trzymali lance z długimi grotami, a przy boku mieli zawieszane smukłe miecze. Siedzieli wyniośle w siodłach, przekonani o swojej wyższości nad innymi śmiertelnikami, i tak jak Elryk byli nieładzcy w swojej nieziemskiej urodzie.

Albinos wyjechał na spotkanie Dyvima Slorma. Jego ciemny strój kontrastował z jasnym ubiorem Imrryrian. Miał na sobie skórzaną pikowaną kurtę o wysokim kołnierzu, przepasaną szerokim, prostym pasem, przy którym wisiały sztylet i Zwiastun Burzy. Jego mlecznobiałe włosy przytrzymywała czarna, spiżowa opaska, również bryczesy były koloru czarnego. Ciemne barwy silnie podkreślały niezwykłą biel skóry i szkarłat oczu.

Dyvim Slorm pokłonił się w siodle okazując niewielkie zdziwienie.

— Kuzyn Elryk. Czyli omen był prawdziwy.

— Jaki omen, Dyvimie Slormie?

— Sokół. To ptak twojego imienia, o ile pamiętam.

Było w zwyczaju Melnibonéan identyfikować nowo narodzone dzieci z ptakami. I tak Elryk był sokołem, ptakiem drapieżnym.

— Co on ci powiedział, kuzynie? — zapytał Elryk skwapliwie.

— Przekazał mi zagadkową wiadomość. Pojawił się, ledwo opuściliśmy Mgliste Moczary, usiadł mi na ramieniu i przemówił ludzkim głosem. Powiedział, że bym jechał do Sequaloris, gdzie spotkam mojego króla. Z Sequaloris wyruszymy razem, by połączyć się z armią Yishany i bitwa, wygrana czy przegrana, pokaże nam kierunek naszej dalszej drogi. Czy rozumiesz coś z tego, kuzynie?

— Część — Elryk zmarszczył brwi. — Ale teraz chodź, mam dla ciebie miejsce w zajeździe. Opowiem ci wszystko przy winie, jeżeli w tym miejscu można jeszcze znaleźć porządne wino. Potrzebuję pomocy, kuzynie, tyle pomocy ile mo-

gę zdobyć, ponieważ Zarozinia została uprowadzona przez nadprzyrodzone siły i mam uczucie, że to porwanie i wojny są tylko elementami większej rozgrywki.

— Więc szybko do zajazdu. Rozbudziłeś moją ciekawość. Ta sprawa staje się coraz bardziej interesująca. Najpierw sokoły i omeny, teraz porwania i walka! Co jeszcze, ciekaw jestem, może nas spotkać?

Ruszyli do zajazdu, Elryk, Dyvim Slorm i Imrryrianie, ledwie setka wojowników, lecz zaprawionych w bojach i ciężkim życiu. Kiedy przybyli na miejsce, Elryk opowiedział o wszystkim.

Dyvim Slorm, wypiszący trochę wina, postawił czarę delikatnie na stole i zmarszczył czoło.

— Czuję w kościach, że znów jestem tylko marionetką w jakiejś walce pomiędzy Bogami. Najprawdopodobniej nie zobaczymy wiele z tej wojny, no, może kilka mniej ważnych epizodów.

— Może i tak — odpowiedział Elryk niecierpliwie — ale ogarnia mnie gniew na myśl, że mnie w to wplątano i żądam uwolnienia mojej żony. Nie mam pojęcia dlaczego my dwaj musimy się o nią targować, ani nie zgaduję, co takiego mamy, czego pożądamy porywacze. Jeśli jednak omeny zostały wysłane przez te same siły, to najlepiej jeżeli zrobimy tak, jak nam powiedziano. Przynajmniej na razie, dopóki nie rozeznamy się bardziej w tej sprawie. Wtedy może będziemy mogli działać wedle naszej własnej woli.

— To jest rozsądne — przytaknął Dyvim Slorm. — Jestem z tobą. — Uśmiechnął się i dodał: — Czy to mi się podoba, czy nie.

— Gdzie się znajdują główne siły Dharijoru i Pan Tang? Słyszałem, że się zbierają? — zapytał Elryk.

— Już się zebrały i podchodzą coraz bliżej. Nadchodząca bitwa zdecyduje, kto będzie rządził zachodnim lądem. Stoję po stronie Yishany, nie tylko ze względu na to, że nas wezwała do pomocy. Czuję, że jeśli zdegenerowani władcy Pan Tang podbiją te narody, zapanuje tu tyrania, która zagrozi bezpieczeństwu całego świata. To smutne, że Melnibonéanin musi martwić się takimi sprawami — uśmiechnął się ironicznie. — Tak swoją drogą to ich nie lubię, tych władających magią parweniuszy, którzy chcą naśladować Świetlane Imperium.

— Racja — przytaknął Elryk. — Ci z Pan Tang to wyspiarze, tak jak my. Są czarnoksiężnikami i wojownikami, tak jak nasi przodkowie. Ale ich magia jest wypaczona. Nasi przodkowie popełniali straszliwe czyny, które dla nich jednak były czymś naturalnym. Ci nowo przybyli są bardziej ludzcy niż my, ale oni wyzyli się sumienia, podczas gdy my nigdy go nie posiadaliśmy. Nie będzie jeszcze jednego Świetlanego Imperium, ani też ich kultura nie przetrwa dziesięciu tysięcy lat. Nastął nowy czas, Dyvimie Slormie, wszystko się zmienia. Czas subtelnej magii ustępuje miejsca nowym sposobom ujarzmania sił natury.

— Nasza wiedza jest starożytna — przytaknął Dyvim. — I wydaje mi się, że już zbyt stara i niewiele ma wspólnego z dzisiejszymi czasami. Nasze myślenie

pasuje do przeszłości

— Chyba masz rację — powiedział Elryk, którego pomieszane uczucia nie pasowały ani do przeszłości, ani do terażniejszości, ani do przyszłości. — Tak powinno być, jesteśmy tułaczami, bo nie ma dla nas miejsca na tym świecie.

Byli w nie najlepszym nastroju. Pili w ciszy, rozmyślając o różnych sprawach. Jednak mimo wszystko myśli Elryka wciąż wracały do Zarozinii i czuł rosnący strach przed tym, co może się żonie przytrafić. Jej niewinność, słabość i młodość były, przynajmniej w jakimś stopniu, jego zbawieniem. Jego opiekuńcza miłość do niej powstrzymała go od rozmyślania nad swoim własnym zgubnym losem, a jej towarzystwo łagodziło stany melancholii. Wciąż słyszał dziwną przepowiednię wygłoszoną przez martwego potwora. Bezsprzecznie wspominała o wojnie, a i sokół, którego spotkał Dyvim Slorm, też mówił o walce. Z pewnością nadchodząca bitwa pomiędzy siłami Yishany i armią Sarosta z Dharijoru i Jagreena Lerna z Pan Tang była tym, co zapowiadały omeny. Jeżeli miał odnaleźć Zarozinię, musiał pojechać z Dyvimem Slormem i wziąć udział w walce. I chociaż mógł zginąć, najlepiej będzie, gdy zrobi tak, jak podpowiadają wszystkie znaki. W innym przypadku może stracić nawet najmniejszą szansę na zobaczenie Zarozinii. Odwrócił się do kuzyna.

— Wyruszę jutro razem z tobą i użyję swojego ostrza w walce. Czuję też, że Yishanie potrzebny będzie każdy wojownik.

— Stawką jest nie tylko nasz los, ale losy całych narodów — zgodził się Dyvim Slorm.

Rozdział 3

Dziesięciu straszliwych rycerzy mknęło w żółtych rydwanach w dół czarnej góry, która rzygając niebieskim i szkarłatnym ogniem, trzęsła się w przedśmiertnych spazmach.

W podobny sposób na całej planecie siły natury budziły się ze snu i dawały znać o fakcie, z którego znaczenia niewielu zdawało sobie sprawę: Ziemia się zmieniała. Dziesięciu wiedziało, dlaczego tak się dzieje, wiedzieli również o Elryku i to, w jaki sposób ich wiedza łączy się z jego życiem.

Wieczór miał kolor jasnej purpury, a krwistoczerwona tarcza słońca wisiała nad górami. Lato zbliżało się ku końcowi. Dymiąca lawa spływała w doliny, pożerała chaty pokryte słomianymi strzechami.

Sepiriz, jadący w pierwszym rydwanie, widział wieśniaków uciekających jak mrówki, których mrowisko zostało rozniesione przez jakiegoś giganta. Odwrócił się do błękitnego rycerza i uśmiechnął się.

— Patrz jak uciekają — powiedział. — Patrz jak uciekają, bracie. Ależ ten widok podnosi na duchu! Takie działają tu siły!

— To dobrze, że zbudziliśmy się w tym czasie! — zgodził się jego brat, przekrzykując grzmot wulkanu.

Po chwili uśmiech zniknął z twarzy Sepiriza, a jego oczy zwięziły się. Smagnął grubym biczem rumaki, aż ich boki zaczerwieniły się krwią, i rydwan potoczył się jeszcze szybciej w dół stromej góry.

W wiosce ktoś zauważył Dziesięciu i krzyknął trwożnie:

— Ogień wygnał ich z góry! Ratuń się, kto może! Rycerze z wulkanu obudzili się i nadjeżdżają. Dziesięciu rycerzy, tak jak mówi przepowiednia. To koniec świata! — W tym momencie wulkan trysnął gorącymi odłamkami skał i płonąca lawą, zabijając nieszczęśnika. Jego śmierć była niepotrzebna, ponieważ dla Dziesięciu ani on, ani inni wieśniacy nie mieli żadnego znaczenia.

Kopyta koni zadudniły na brukowanej ulicy, gdy Sepiriz i jego bracia popędzili przez wioskę, zostawiając w tyle ryczącą górę.

— Do Nihrain! — krzyknął Sepiriz. — Musimy się śpieszyć, bracia, bo mamy ważne zadanie przed sobą. Miecz musi być przyniesiony z Otchłani i dwaj

mężowie muszą być znalezieni, żeby zanieść go do Xanyaw!

Radość przepełniła Sepiriza, gdy poczuł, że ziemia się trzęsie i gdy usłyszał za plecami głuchy grzmot wypluwanych skał, huk ognia. Jego czarne ciało błyszczało czerwienią płonących domów. Konie ciągnęły rydwan w dzikim pędzie i wydawało się, że kopyta nie dotykają ziemi.

Może rzeczywiście tak było, ponieważ rumaki z Nihrain różniły się od ziemskich zwierząt.

Z ogromną prędkością wpadli do wąwozu i już po chwili wspinali się po stromej górskiej ścieżce, spiesząc do Otchłani w Nihrain, starożytnego domu Dziesięciu, w którym ostatni raz byli przed dwoma tysiącami lat.

Ponownie Sepiriz wybuchnął śmiechem. Na nim i jego braciach ciążyła straszliwa odpowiedzialność. Nie będąc pod wpływem władzy ludzi ani Bogów byli rzecznikami samego Przeznaczenia i z tego względu posiadali wielką wiedzę w swoich nieśmiertelnych umysłach.

Przez wieki spali w górskiej komnacie, tuż obok drzemiącego serca wulkanu. Nie lękali się o życie, ponieważ ani mróz, ani żar nie mogły im zaszkodzić. Tryskające teraz skały zbudziły ich i wiedzieli, że nadszedł czas. Czas, na który czekali przez milenia.

Dlatego właśnie Sepiriza ogarnęła taka radość. W końcu jemu i jego braciom pozwolono wypełnić ostateczne zadanie. To wymagało również udziału dwóch Melnibonéan, dwóch spadkobierców królewskiej linii Świetlanego Imperium; dwóch, którzy przeżyli.

Sepiriz wiedział, że ci dwaj musieli żyć, inaczej plan Przeznaczenia byłby niemożliwy do zrealizowania. Na Ziemi istnieli jednak i tacy, którzy mieli na swe rozkazy tak wielką potęgę, że mogli oszukać Przeznaczenie, ich słudzy byli wszędzie, a zwłaszcza wśród nowej rasy ludzi, ale nie tylko ludzie im służyli, upiory i demony również były na ich rozkazy.

To sprawiało, że zadanie Dziesięciu było trudniejsze.

Ale teraz do Nihrain! Do Nihrain, by spleść nitki Przeznaczenia w doskonałą sieć. Czasu było niewiele i szybko uciekał. I Czas Niepojęty był panem wszystkiego...

Namioty królowej Yishany i jej sojuszników stały ciasno zgrupowane w pobliżu łańcucha małych zalesionych pagórków. Z daleka drzewa stanowiły niezłą osłonę, a żadne ognisko nie zdradzało obozu. Również wszelkie odgłosy właściwe zgromadzeniu wielkiej armii wyciszono, jak tylko to było możliwe. Szpiedzy na koniach jeździli tam i z powrotem, donosząc o pozycjach nieprzyjaciela i mieli oczy i uszy otwarte.

Elryk i Imrryrianie nie zostali zatrzymani, kiedy wjeżdżali do obozu, ponieważ łatwo było rozpoznać albinosa i jego ludzi. Wiedziano też, że straszni melnibo-

néańscy najemnicy przybyli Yishanie z pomocą.

— Najlepiej będzie jeżeli natychmiast złożę pokłon królowej Yishanie przez wzgląd na nasz stary związek — powiedział Elryk do Dyvima — ale nie chcę, żeby wiedziała o wprowadzeniu mojej żony, bo mogłaby chcieć mnie zatrzymać. Powiem jej, że zjawiłem się tu ze względu na naszą przyjaźń.

Dyvim Slorm przytaknął i zajął się rozstawianiem obozu. Jego kuzyn poszedł do namiotu Yishany, w którym królowa oczekiwała go z niecierpliwością.

Wzrok miała zamglony, jej zmysłowa twarz nosiła już pierwsze oznaki starzenia się. Długie czarne włosy miękko układały się wokół twarzy. Miała duże piersi, a jej biodra zdawały się szersze, niż Elryk pamiętał. Siedziała na miękko obitym krześle, stół przed nią był zarzucony mapami wojennymi, pergaminami i przyborami do pisania.

— Witaj, Wilku — powiedziała z półuśmiechem, jednocześnie sardonycznym i prowokującym. Moje strażę doniosły o waszym przyjeździe. To miło z twojej strony. Czyżbyś zostawił nową żonę i powrócił do subtelniejszych przyjemności?

— Nie — odpowiedział. Zdjął ciężki podróżny płaszcz i rzucił go na ławę. — Witaj, Yishano. Nic się nie zmieniłaś. Podejrzewam, że Theleb K'aarna dał ci się napić napoju Wiecznego Życia, zanim go zabiłem.

— Może i dał. Jak się układa twoje małżeństwo?

— Dobrze — odpowiedział, a ona przysunęła się do niego, aż poczuł ciepło jej ciała.

— No, teraz ja jestem zawiedziona — uśmiechnęła się ironicznie i wzruszyła ramionami. Byli kochankami przy różnych okazjach, pomimo że Elryk był częściowo odpowiedzialny za śmierć jej brata w czasie najazdu na Imrryr. Śmierć Darmita z Jharkoru zaprowadziła ją na tron, ale że Yishana była żadna władzy, śmierć brata nie bardzo ją martwiła. Elryk jednak nie miał zamiaru odnawiać ich stosunków i dlatego od razu przeszedł do omawiania spraw związanych ze zbliżającą się bitwą.

— Widzę, że jesteś przygotowana na coś więcej niż zwykłą potyczkę — powiedział. — Jakimi siłami rozporządzasz i jakie są twoje szanse na zwycięstwo?

— Mam Białe Lamparty — odpowiedziała. — Pięciuset doborowych wojowników, którzy potrafią biec tak szybko jak konie i są silni jak górskie koty, i okrutni jak żadne krwi rekiny. Są stworzeni do zabijania i tylko to jedno znają. Mam jeszcze inne oddziały, piechotę, kawalerię. Najlepsza kawaleria jest z Shazaru, dzicy jeźdźcy, ale zdyscyplinowani i przebiegli w walce. Tarkesh przysłał mniej ludzi, ponieważ król Hilran potrzebował wojowników do obrony swoich południowych granic. W sumie z Tarkesh przybyło około tysiąca pięćdziesięciu żołnierzy piechoty i około dwustu konnych. Razem możemy mieć na polu bitwy nie mniej niż sześć tysięcy wyszkolonych żołnierzy. Chłopi i niewolnicy też wezmą udział w walce, lecz posłużą tylko za mięso armatnie i zginą na początku bitwy.

Elryk przytaknął. To była zwykła taktyka wojenna.

— A co wiesz o wrogu?

— My mamy więcej wojska, a oni mają Szatańskich Jeźdźców i myśliwskie tygrysy. Mają też jakieś bestie ukryte w klatkach, nie wiemy jednak co to jest.

— Słyszałem, że ludzie z Myyrrhn też nadciągają. A skoro opuścili swoje górskie gniazda, musi to być dla nich bardzo ważne.

— Jeżeli przegramy tę bitwę — powiedziała ze smutkiem w głosie — to Chaos z łatwością pochłonie Ziemię i będzie nią rządził. Każda wyrocznia stąd do Shazaru mówi to samo: Jagreen Lern jest jedynie narzędziem w rękach nadprzyrodzonych sił i pomagają mu Władcy Chaosu. Elryku, nie walczymy tylko o nasze ziemie, ale o całą ludzką rasę! — Więc miejmy nadzieję, że wygramy — odpowiedział.

Melnibonéanin stał wśród kapitanów, dokonujących przeglądu armii. Wysoki, pewny siebie Dyvim Slorm był obok niego, złota koszula wisiała luźno na szczupłym ciele Władcy Smoków. Patrzyli na żołnierzy zaprawionych w wielu pomniejszych kampaniach; odzianych w grube zbroje niskich, ciemnoskórych wojowników z Tarkesh o czarnych naoliwionych brodach i włosach. Przybyli również półnaczy skrzydlaci wojownicy z Myyrrhn o jastrzębich twarzach. Ich ogromne skrzydła były złożone na plecach, wzrok mieli ponury, stali spokojnie dostojni, małomówni. Byli też dowódcy Shazarian, w szarych, brązowych i czarnych kurtach oraz w zbrojach koloru rdzy. Razem z nimi stał kapitan Białych Lampartów, długonogi, potężny mąż z jasnymi włosami związanymi w węzeł z tyłu głowy. Był albinosem jak Elryk, gwałtownym, gotowym do walki. Na jego srebrnej zbroi błyszczał wymalowany herb Lampartów.

Czas bitwy się zbliżał.

I w szarym świetle poranka dwie armie ruszyły, podchodząc z dwóch końców szerokiej doliny, otoczonej po bokach niskimi zalesionymi wzgórzami.

Armia z Pan Tang i Dharijoru runęła jak czarna fala przypyływu. Elryk, wciąż bez zbroi, stał jeszcze i patrzył. Jego koń tańczył pod nim niespokojnie gryząc wędzidło. Dyvim Slorm, stojący obok, wskazał na coś i powiedział:

— Patrz, tam są! Sarosto po lewej i Jagreen Lern po prawej!

Król Sarosto i jego chudy sojusznik o orlim nosie, Jagreen Lern, jechali na czele swojej armii. Nad ich głowami powiewały ciemne jedwabne sztandary. Jagreen Lern miał na sobie błyszczącą szkarłatem zbroję, która wydawała się rozgrzana do czerwoności i może rzeczywiście była. Na hełmie miał herb Trytona, rzekomy dowód pokrewieństwa z morskimi ludźmi. Zbroja Sarosta była matowa, koloru ciemnożółtego, ozdobiona Gwiazdą z Dharijor, nad którą widniał Rozdwojony Miecz; mówiło się, że należał do przodka Sarosta, Atarna Budowniczego.

Za nimi, wyróżniając się z całej armii, jechali Szatańscy Jeźdźcy z Pan Tang. Za wierzchowce służyły im sześćionogie gady, wyhodowane przy pomocy ma-

gii. Ciemnoskórzy mężowie o zamyślonych twarzach i odsłoniętych brzuchach trzymali w rękach zakrzywione szable. Między nimi biegła ponad setka tygrysów myśliwskich, wytresowanych jak psy, z wystającymi kłami, z pazurami, które mogły rozerwać człowieka na strzępy jednym pociągnięciem. Na samym końcu Elryk zauważył wierzchołki tajemniczych klatek. Jakie nieznanne bestie się w nich znajdują?

W tym momencie Yishana dała rozkaz do ataku.

Chmura strzał przeleciała z grzechotem nad głową Elryka, gdy poprowadził pierwsze oddziały piechoty przeciwko nieprzyjacielskiej armii. Czuł się rozgoryczony, że zmuszono go do ryzykowania życia, ale jeżeli kiedykolwiek miał zobaczyć Zarozinię, musiał dobrze odegrać narzuconą rolę i modlić się, żeby przeżył.

Za piechotą podążył główny oddział kawalerii. Miał on za zadanie chronić skrzydła i okrążyć wroga. Z jednej strony jechali Imrriianie, odziani w jasne stroje i Shazarianie w brązowych zbrojach. Z drugiej strony — niebiesko zbrojni Tarkeshyci, z iskrzącymi się czerwienią pióropuszcami i opuszczonymi lancami oraz odziani w złote zbroje Jharkorianie z obnażonymi mieczami. W środku falangi prowadzonej przez Elryka biegły Białe Lamparty, a ich królowa jechała pod sztandarem tuż za pierwszą falangą, prowadząc batalion rycerzy.

Ruszyli w dół na nieprzyjaciela, którego strzały leciały do góry i opadając napotykały metalowe hełmy lub wbijały się w miękkie ciała.

W ciszy poranka rozbrzmiały okrzyki wojenne, gdy wojownicy zbiegli ze zbocza i natarli na wroga.

Elryk startł się z chudym Jagreenem Lernem, ten osłonił się tarczą przed uderzeniem Zwiastuna Burzy i albinos pojął, że rozpalony do czerwoności metal jest odporny na ciosy czarodziejskiej broni.

Kiedy Jagreen Lern rozpoznał przeciwnika, jego twarz wykrzywił złośliwy grymas.

— Powiedziano mi, że tu będziesz, Bładolicy. Znam cię, Elryku, i znam również twoje przeznaczenie!

— Wydaje mi się, że zbyt wielu ludzi zna moją przyszłość lepiej ode mnie — odpowiedział albinos. Ale zanim cię zabiję, może wydobędę od ciebie ten sekret.

— O, nie! Tego nie ma w planie moich władców.

— Ale jest w moim!

Elryk uderzył ponownie, lecz jeszcze raz Czarny Miecz odskoczył z okrzykiem złości. Odczuł jak ostrze porusza się w jego dłoni i pulsuje z zawodu, ponieważ wykuty w piekle miecz z łatwością przecinał każdy metal, bez względu na to, jak dobrze był zahartowany.

Ku zdziwieniu Elryka Jagreen Lern, będąc w dogodnej pozycji, zamiast na niego, zamachnął się na nieosłoniętą głowę jego konia. Albinos gwałtownie pociągnął za wodze, żeby uniknąć uderzenia. Odjechał i natarł ponownie, mierząc czubkiem miecza w brzuch przeciwnika. Zwiastun Burzy zawył z wściekłości,

nie mogąc przekłuć zbroi Jagreena Lerna. A tymczasem ogromny topór wojenny Teokraty uderzył po raz wtóry. Uderzenie było tak silne, że Elryk prawie spadł z konia, gdy Czarnym Mieczem zablokował cios. Jedna noga wysunęła mu się ze strzemięcia.

Za następnym cięciem Lern zdołał rozplatać na dwoje głowę rumaka, z której trysnęła zmieszana z mózgiem krew. Elryk runął na ziemię, lecz nie zważając na ból podniósł się szybko i przygotował na następny cios. Ku jego zdziwieniu napastnik zawrócił swojego konia i skierował się w środek walki.

— Przykro mi, ale nie ja mam odebrać ci życie, Bładolicy, to jest przywilej innych mocy! Jednak jeżeli my wygramy, a ty przeżyjesz, być może cię odszukam.

Nie będąc w stanie zrozumieć, co się stało, Elryk zaczął rozpaczliwie rozglądać się za nowym koniem. Po chwili ujrzał to, czego szukał. Nie opodał, trochę z boku, waleśał się samotny dharijoriański rumak w poszczerbionym, czarnym pancerzu.

Szybko złapał wodze konia i osadziwszy go na miejscu zwinnie wspiął się na siodło. Nie było ono przystosowane dla jeźdźca bez zbroi; stojąc w strzemięch albinos wrócił w wir walki.

Torował sobie drogę przez zastępy nieprzyjaciół. Ciął mieczem to Szatańskiego Jeźdźca, to myśliwskiego tygrysa, skaczącego na niego z obnażonymi kłami, to przepięknie opancerzonego dowódcę z Dharijor, to dwóch pieszych żołnierzy, atakujących go halabardami. Jego koń próbował stawać dęba, lecz Elryk desperacko zmuszał go do galopu w stronę sztandaru Yishany, póki nie zauważył jednego z heroldów.

Armia królowej dobrze się spisywała, ale jej szyk został złamany. Dla większej skuteczności trzeba było go sformować na nowo.

— Trąbić sygnał Zbiórki Kawalerii! — wrzasnął Elryk. — Trąbić rozkaz dla kawalerii!

Okrzyk Elryka odwrócił uwagę młodego herolda, odpierającego właśnie atak dwóch Szatańskich Jeźdźców, którzy korzystając z nieuwagi chłopca zaszlachtowali go na śmierć.

Przeklinając Elryk podjechał bliżej i ciął jednego z Jeźdźców w głowę. Rycerz spadł z konia w zrytą kopytami ziemię. Drugi zdążył się tylko odwrócić, gdy dosięgło go ostrze ryczącego ze szczęścia Zwiastuna Burzy. Miecz zabijając rycerza wysączył z ciała jego duszę.

Elryk zerwał róg z szyi herolda, którego pocięte ciało wciąż trzymało się w siodle i zagrał Sygnał Zbiórki Kawalerii. Kątem oka dostrzegł, że jego rycerze zawracają. Zauważył też, że jeździec trzymający jasny sztandar Jharkoru został zabity. Podjechał do trupa i przejąwszy proporzec, spróbował zebrać kawalerię.

Powoli resztki rozbitej armii zebrały się wokół niego. Wtedy Elryk zrobił jedyłą rozsądną rzecz, która mogła jeszcze przynieść im zwycięstwo: wziął przebieg bitwy w swoje ręce.

Zagrał przeciągłą zawodzącą nutę. W odpowiedzi usłyszał trzepot ciężkich skrzydeł wojowników z Myyrrhn, wznoszących się do walki.

Widząc to, nieprzyjaciel wypuścił ze swoich tajemniczych klatek coś, co wyrwało z piersi Elryka krzyk rozpaczny.

Wpierw dało się słyszeć dziwne pohukiwanie, a następnie ukazało się stado olbrzymich sów, uważanych za wymarłe nawet w Myyrrhn, miejscu ich pochodzenia.

Nieprzyjaciel przygotował się na atak z powietrza i jakimś nieznanym sposobem wyhodował odwiecznych wrogów ludzi z Myyrrhn.

Lecz skrzydlaci wojownicy nie przejęli się tym przeciwnikiem i zaatakowali ogromne ptaki długimi dziadami. Na walczących na ziemi opadł deszcz krwi i piór, a potem z nieba runęły na nich ciała ludzi i ptaków, grzebiąc pod sobą jeźdźców i piechotę. Pomimo zamieszania, Elryk wraz z Białymi Lampartami uTORował sobie drogę, by połączyć się z Dyvimem Slormem i jego Imrryrianami, niedobitkami tarkeshyckiej kawalerii i setką Shazarian. Spojrzawszy w niebo przekonał się, że większość sów została zabita, lecz ocalała ledwie garstka wojowników z Myyrrhn. Zrobiwszy wszystko, co mogli, krążyli teraz w kółko. Widząc beznadziejność dalszej walki, przygotowywali się do opuszczenia pola bitwy.

Elryk krzyknął do Dyvima, gdy ich oddziały się połączyły.

— Bitwa jest przegrana, teraz tu rządzą Sarosto i Jagreen Lern!

Dyvim podniósł swój miecz i dał Elrykowi znak, że się z nim zgadza.

— Jeżeli mamy dopełnić naszego przeznaczenia, lepiej żebyśmy jak najspieszniej opuścili to miejsce! — odpowiedział.

Niewiele mogli tu zdziałać.

— Życie Zarozinii jest dla mnie ważniejsze niż wszystko inne! — krzyknął Elryk. — Zajmijmy się teraz własnymi problemami!

Ale siły wroga zakleszczały się jak imadło, miażdżąc Bładolicego i jego ludzi. Krew zalała mu twarz, gdy dostał cios w czoło. Lepka ciecz zalepiała mu oczy i musiał wciąż ścierać ją lewą ręką.

Prawe ramię bolało od ciągłych razów, które zadawał mieczem, tnąc i dźgając rozpaczliwie wokół siebie. Choć straszliwy oręż był żywą istotą, zapewne nawet rozumną, musiał zabijać aby móc żyć, bez cudzych dusz niezdolny do życia. W pewnym sensie ta słabość Zwiastuna Burzy cieszyła Elryka, gdyż nienawidził swego miecza. Niestety potrzebował go z powodu energii, której ów mu dostarczał.

Bo Zwiastun Burzy wysysając dusze mordowanych ludzi dzielił się zdobytą mocą z monarchą z Melniboné...

W pewnym momencie szeregi wroga załamały się i cofnęły, lecz przez powstałą wyrwę zaczęły wbiegać bestie. Bestie ze świecącymi oczami i czerwonymi paszczami, z których wystawały ogromne kły. Bestie z ostrymi pazurami.

Myśliwskie tygrysy z Pan Tang.

Rumaki zarżały z przerażenia, gdy dosięgły ich kły i powaliły na ziemię. Rozdarłszy gardła koni i jeźdźców bestie podniosły zbroczone krwią pyski szukając nowej zdobyczy. Ze zgrozą w oczach i z wrzaskiem wielu ludzi Elryka rzuciło się do panicznej ucieczki. Większość rycerzy z Tarkesh, poprzedzanych przez Jharkorian, których oszalałe konie nie dały się opanować, zawróciła i zaczęła uciekać. W ich ślady poszła resztką konnych z Shazaru. Wkrótce jedynie Elryk, Imrryrianie i około czterdziestki Białych Lampartów stawiało czoło potędze Dharijoru i Pan Tang.

Elryk uniósł róg i zagrał Sygnał Odwrotu. Obróciwszy swojego czarnego konia pognał wzdłuż doliny, a wraz z nim imrryriańscy wojownicy. Ale Białe Lamparty walczyły do końca. Yishana powiedziała, że nie umieli nic więcej nad zabicie. Najwidoczniej jednak umieli również dać się wyciąć w pień.

Elryk powiódł Imrryrian wzdłuż doliny, wdzięczny, że Białe Lamparty osłaniały ich ucieczkę. Od momentu starcia z Jagreenem Lernem nie widział Yishany i zastanawiał się, co się z nią stało.

Gdy minęli zakręt, Elryk zrozumiał cały plan Jagreena Lerna i jego sojusznika, ponieważ na drugim końcu doliny czekały świeże oddziały kawalerii i piechoty, gotowe odciąć drogę ucieczki wrogiej armii. Niewiele myśląc, albinos skierował konia na zbocza otaczających pagórków. Jego ludzie, schyleni pod niskimi gałęziami, poszli za jego przykładem. Dharijorianie rzucili się w ich stronę nadjeżdżając szerokim półkolem, usiłując uniemożliwić im ucieczkę.

Melnibonéanin osadził konia w miejscu i obejrzał się. Lamparty wciąż walczyły, skupione wokół powiewającego sztandaru Jharkoru. Ruszył w ich kierunku, trzymając się wzgórz. Po chwili razem ze swoim oddziałem zmienił kierunek i skierował się na otwartą przestrzeń poza doliną. Ich śladem podążali jeźdźcy Pan Tang i Dharijoru. Najwidoczniej rozpoznali Elryka i chcieli go zabić lub pojmać.

Bladolicy spostrzegł, że Tarkeshyci, Shazarianie i Jharkorianie obrali początkowo tę samą drogę ucieczki, lecz ich szyki się załamały i rozpierzchli się w różnych kierunkach. Razem z Dyvimem Slormem Elryk skierował się na zachód przez nieznanne tereny, podczas gdy ich żołnierze, dla odwrócenia od nich uwagi, pogalopowali na północny wschód w kierunku Tarkesh, gdzie przez jakiś czas mogli się czuć bezpieczni.

Bitwa była przegrana. Słudzy Zła zwyciężyli i dla Młodych Królestw nastąpiła era terroru.

Kilka dni później razem z Elrykiem i Dyvimem jechało dwóch imrryriańskich wojowników, Yedn-pad-Juizev — ciężko ranny w bok tarkeshycki dowódca i Orozn, shazariański żołnierz piechoty, siedzący teraz na zdobycznym wierzchołku. Na razie nic im nie zagrażało, powoli posuwali się w kierunku łańcucha strzelistych gór, które majaczyły w oddali na tle oblanego czerwienią wieczornego

nieba.

Przez kilka godzin nikt się nie odzywał ani słowem. Yedn-pad-Juizev konał i nic nie można było dla niego zrobić. Ranny dowódca dobrze o tym wiedział, nie oczekiwał niczego, po prostu jechał razem z nimi, żeby nie umrzeć samotnie. Był bardzo wysoki, nawet jak na Tarkeshyta. Na błękitnym poobijanym hełmie wciąż jeszcze powiewał czerwony pióropusz; pokieroszowany napierśnik był pokryty krwią Yedn-pad-Juizeva i jego wrogów. Czarna natłuszczona broda błyszczała, nad orlim nosem spod półprzymkniętych powiek spoglądały oczy zasnuwane mgłą. dzielnie znosił cierpienia. Mimo pragnienia, by jak najszybciej dotrzeć do łańcucha gór, towarzysze zwolnili tempo jazdy, po części z szacunku, po części z podziwu, że człowiek może tak długo, tak kurczowo trzymać się życia.

Nadeszła noc i nad górami zawisła ogromna żółta tarcza księżyca. Na niebie nie było ani jednej chmurki i gwiazdy świeciły jasno. Uciekinierzy woleliby, żeby noc była burzliwa, a ciemność dała im schronienie, tymczasem mogli tylko mieć nadzieję, że dotrą do gór, zanim tygrysy z Pan Tang wywęszą ich trop i zanim te straszliwe bestie rozerwą ich na strzępy.

Elryk jechał zatopiony w ponurych myślach. Przez jakiś czas zwycięzcy z Dharijor i Pan Tang będą zajęci umacnianiem swojego nowego imperium. Może wybuchną między nimi kłótnie, może nie. Ale na pewno wkrótce staną się potęgą i zagrożą bezpieczeństwu innych krajów na Południowym i Wschodnim Kontynencie.

Jednak te sprawy, jakkolwiek bardzo ważne dla całego świata, niewiele go obchodziły, ponieważ Melnibonéanin wciąż nie znał drogi do Zarozinii. Przypomniał sobie przepowiednię, przekazaną mu przez martwą bestię. Część przepowiedni właśnie się ziściła. Ale to wciąż niewiele znaczyło. Czuł, że coś go ciągle pcha na zachód, na niezamieszkałe tereny poza granicami Jharkor. Czy właśnie tam czekało na niego Przeznaczenie? Czy właśnie tam znajdzie porywaczy Zarozinii? *Poza oceanem bitwa wybuchnie; Jeszcze dalej poleje się krew.*

Czy krew już się polała, czy to miało dopiero nastąpić? Co było tym bliźniakiem, którego miał nieść Dyvim Slonn, krewny Elryka? Kim był ten, który miał zginąć?

Może odpowiedź czekała w górach przed nimi.

Jechali w blasku księżyca, aż w końcu dotarli do wąwozu, gdzie znaleźli wygodną jaskinię. Tu zatrzymali się na odpoczynek.

Rankiem Elryka zbudził dochodzący z zewnątrz dźwięk. Odruchowo wyjął z pochwy Zwiastuna Burzy i z mieczem w dłoni doczołgał się do wylotu jaskini. Widok jaki ukazał się jego oczom sprawił, że schował broń i zawołał do zbliżającego się jeźdźca:

— Tutaj, heroldzie! Jesteśmy przyjaciółmi!

Jeździec był jednym z żołnierzy Yishany. Jego opończa zwisała cała w strzępach, jego zbroja była powyginana. Nie miał miecza ani hełmu. Młody wojownik, na którego twarzy malowało się zmęczenie i rozpacz, spojrzął do góry i ku swojej uldze rozpoznał Bładolicego.

— Elryku, mój panie, powiedziano mi, że zginałeś na polu bitwy.

— Cieszę mnie twoje słowa. Oznacza to, że może nie wyślą za nami pościgu. Chodź do środka.

Wszyscy już się obudzili — prócz jednego. Yedn-pad-Juizev zmarł we śnie. Orozn ziewnął i wskazał kciukiem na trupa.

— Jeżeli wkrótce nie znajdziemy czegoś do jedzenia, gotów jestem zabrać się do naszego martwego przyjaciela — powiedział i spojrzął na Elryka, oczekując odpowiedzi. Ale twarz albinosa jasno wyraziła jego myśli i żołnierz wycofał się w głąb jaskini, złorzeczając pod nosem i kopiąc leżące na ziemi kamienie.

Elryk oparł się o ścianę pieczary tuż przy wyjściu i zapytał:

— Jakie przynosisz nam wieści?

— Bardzo niedobre, o panie. Od Shazaru po Tarkesh szerzy się cierpienie i rozpacz, a żelazo i ogień poniewierają narody jak jakaś siła nieczysta. Nasza klęska jest ostateczna. Jedynie niewielkie oddziały wciąż walczą z wrogiem, ale bez nadziei na zwycięstwo. Sytuacja jest tak rozpaczliwa, że niektórzy z naszych przebąkują coś o zabranii się do grabieży, wojownicy chcą stać się zbójami.

— Tak się dzieje — przytaknął Elryk — gdy sojusznicy zostają pokonani na własnym terenie. Co z królową Yishaną?

— Królowa nie przeżyła bitwy, mój panie. Odziana w zbroję walczyła przeciwko kilkudziesięciu wojownikom, zanim uległa przeważającej sile. Jej ciało zostało rozdarte na strzępy. Sarosto wziął jej głowę na pamiątkę i dodał do swoich trofeów. Miał tam między innymi ręce Karnariego, swojego przyrodniego brata, który był przeciwny przymierzu z Pan Tang i oczy Penika z Nargesser, który wystąpił zbrojnie przeciwko Sarostowi. Teokrata Jagreen Lern rozkazał, żeby wszyscy więźniowie byli torturowani, zamęczani na śmierć, a następnie zakuwani w łańcuchy i wieszani, jako ostrzeżenie dla tych, którym się marzy powstanie. Ci dwaj stanowią szatańską parę!

Usta Elryka zaciskały się mocno, gdy słuchał tych wieści. Jasne się stało dla niego, że jedynym kierunkiem, w którym może ruszyć, jest Zachód, ponieważ w innym przypadku zwycięzcy szybko go znajdą. Odwrócił się do Dyvima Slorma. Koszula przyjaciela była podarta, a lewe ramię pokryte zakrzepłą krwią.

— Nasze przeznaczenie znajduje się na zachodzie — powiedział po cichu.

— Więc śpieszmy się — odrzekł kuzyn — ponieważ chciałbym, żeby to wszystko się zakończyło jak najszybciej. A jeżeli nie zakończyło, to żebyśmy przynajmniej wiedzieli, czy przeżyjemy. Nic nie zyskaliśmy w tej bitwie, a straciliśmy czas.

— Ja coś zyskałem — mruknął Elryk, przypominając sobie walkę z Teokrata.

— Wiem, że Jagreen Lern jest jakoś powiązany z porwaniem mojej żony, a jeżeli maczał w tym palce, to bez względu na wszystko zemścę się na nim.

— Teraz jednak — przynaglił Dyvim — pospieszajmy na zachód.

Rozdział 4

Następnego dnia, uniknąwszy spotkania z kilkoma wrogimi oddziałami, uciekinierzy zapuścili się głębiej w góry. Zrozumiawszy, że dowódcy mają specjalną misję do spełnienia, obaj imrryriańscy wojownicy odłączyli się i podążyli w innym kierunku, herold natomiast udał się na południe głosząc swoje ponure wieści. Z Elrykiem i Dyvimem Slormem pozostał Orozn, a chociaż nie był mile widzianym kompanem, na razie albinos i kuzyn znosili jego towarzystwo.

Minął dzień, drugi i Orozn gdzieś zniknął. Dwaj Melnibonéanie zapuścili się jeszcze głębiej między czarne skały. Ich droga wiodła to dnem przytłaczających swoim ogromem kanionów, to wąską ścieżką tuż nad przepaścią. W górach leżał śnieg, biel ostro kontrastowała z czernią skał. Biały puch pokrywał wierzchołki i zalegał w wąwozach, leżał na górskich ścieżynach, czyniąc je zdradliwymi i prawie niemożliwymi do przebycia.

Pewnego wieczoru Elryk i Dyvim dojechali do miejsca, gdzie góry otwierały się na szeroką dolinę. Z trudnością zjeżdżali w dół, ich ślad znaczył śnieg jak wąska długa blizna.

Zauważyli, że po dnie doliny podążał ku nim samotny jeździec. Jednego człowieka nie musieli się obawiać, więc czekali spokojnie. Ku ich zdumieniu, okazało się, że był to Orozn, przyodziany w świeżą odzież ze skór wilka i jelenia. Gdy podjechał bliżej, przywitał ich przyjaznym gestem.

— Przyjechałem was szukać, musieliście widocznie obrać cięższą drogę niż ja.

— Skąd jedziesz? — zapytał Elryk. Jego twarz była wymizerowana, zapadnięta skóra uwydatniała kości policzkowe, czerwone oczy błyszcząły. Przypominał bardziej wilka niż człowieka. Myśli o Zarozinii ciążyły mu straszliwie.

— Niedaleko stąd jest osada. Chodźcie, zaprowadzę was — powiedział Orozn.

Pojechali za nim. Zaczęło się ściemniać. Gdy dotarli do przeciwnego końca doliny, czerwień zachodzącego słońca rozświetliła wierzchołki gór. Przed nimi wyłonił się niewielki las, między jodłami prześwitywały białe brzozy.

Orozn prowadził do tego zagajnika.

Wtedy tamci wyskoczyli na nich z ciemności wydając dzikie okrzyki bojo-

we, w zbrojach, dzięki którym można było rozpoznać wojowników z Pan Tang. Ciemnoskórzy, opętani nienawiścią i chyba czymś jeszcze. W rękach dzierżyli broń. Najprawdopodobniej złapali wcześniej Orozna i zmusili, żeby wciągnął Elryka i jego kuzyna w zasadzkę.

Albinos zawrócił konia.

— Orozn, ty zdrajco!

Ale Orozn nie czekał na dalszy przebieg tego spotkania. Obejrzał się tylko raz za siebie, gdy odjeżdżał w przeciwnym kierunku. Na jego twarzy malowało się poczucie winy. Oderwał wzrok od tych, których zdradził i po wilgotnym torfowisku odjechał w ciemność nocy.

Uniółszy Czarny Miecz, Elryk zablokował uderzenie nabijanej mosiężnymi ćwiekami maczugi, przesunął ostrze po trzonku buławy i odciął przeciwnikowi palec. Po chwili obaj z Dyvimem Slormem zostali okrążeni, lecz on walczył, jego runiczny miecz przenikliwie zawodził dziką, rozpustną pieśń śmierci.

Dwaj Melnibonéanie byli wycieńczeni po ostatnich przygodach. Nawet zrodzona w piekle siła Zwiastuna Burzy nie była w stanie uzupełnić braków energii życiowej Elryka. Serce albinosa wypełniał strach, ale nie przed napastnikami, lecz przed tym, że oto przyjdzie mu zginąć lub zostanie pojmany. Czuł, że ci wojownicy nie mieli pojęcia iż ktoś narzucił im swoją wolę, tak jak nie mogli wiedzieć, że nie wybiła jeszcze godzina śmierci Elryka.

Elryk zrozumiał w czasie walki, że wielki błąd mógł być zaraz popełniony.

— Ariochu! — wezwał w panice Władcę Chaosu. — Ariochu! Wspomóż mnie! Krew i dusze za twą pomoc!

Ale nieposłuszny duch nie wspomógł Elryka.

Długie ostrze Dyvima Slorma przecięło gardło wroga tuż pod naszyjnikiem. Inni jeźdźcy z Pan Tang rzucili się na niego, ale zostali odparci jednym cieciami miecza.

— Dlaczego czcimy Boga, którego pomoc najczęściej zależy od jego widzi-miszę?! — krzyknął Dyvim.

— Może uważa, że nasz czas już nadszedł! — zawołał Elryk i jego miecz wysączył energię życiową z następnego napastnika.

Szybko ogarniało ich znużenie, lecz zanim zupełnie opadli z sił, ponad szczęk broni wzbijał się inny dźwięk — łoskot toczących się rydwanów i niskie zawodzące okrzyki.

Po chwili oczom walczących ukazali się czarnoskórzy mężczyźni o pięknych rysach i dumnym wyglądzie. Byli półnaczy, ich wspaniałe ciała okrywały jedynie unoszące się w pędzie płaszcze z białych lisów. Uderzyli na zdezorientowanych wojowników z Pan Tang, a ich oszczepy nie chybiły celu.

Elryk schował miecz, lecz pozostał gotowy do walki lub do ucieczki.

— To jest on, Bładolicy! — krzyknął jeden z czarnoskórych, gdy zobaczył

Melnibonéanina. Wszystkie rydwany zatrzymały się, a konie parskały i ryły ziemię kopytami. Elryk podjechał do dowódcy.

— Jestem wdzięczny — powiedział, prawie spadając z konia, gdy oddawał pokłon. Zmęczenie dawało mu się bardzo we znaki. — Zdaje się, że mnie znasz, więc jesteś trzecim spotkanym w czasie mojej misji, który mnie rozpoznaje, a ja się nie mogę odwdziżyć tym samym.

Dowódca okrył się swoim płaszczem i uśmiech ozdobił jego cienkie usta.

— Nazywam się Sepiriz i wkrótce mnie poznasz. Co do ciebie, to znamy cię od tysięcy lat. Ty jesteś Elryk, ostatni cesarz z Melniboné?

— Tak, to się zgadza.

— A ty — Sepiriz zwrócił się do Dyvima — jesteś jego kuzynem. Obaj jesteście ostatnimi potomkami czystej rasy Melnibonéan.

— Prawda — przytaknął Dyvim Slorm. W jego oczach błyszczało zaciekawienie.

— Czyli to na was czekaliśmy. Wiedzieliśmy, że będziecie tędy przejeżdżać. Była przepowiednia. . .

— To wy jesteście porywaczami Zarozinii? — Elryk sięgnął po miecz.

— Nie — pokręcił głową Sepiriz — ale możemy ci powiedzieć, gdzie ona jest. Uspokój się. W pełni rozumiem męki jakie musisz przechodzić, ale będę ci mógł wszystko lepiej wyjaśnić w moim domu.

— Najpierw chcę wiedzieć, kim jesteście — zażądał Elryk.

Sepiriz uśmiechnął się lekko.

— Wydaje mi się, że znasz nas, albo przynajmniej o nas słyszałeś. Na początku istnienia Świetlistego Imperium między moimi rodakami i twoimi przodkami istniał pewien rodzaj przyjaźni. — Dowódca przerwał na chwilę. — Czy nigdy nie słyszałeś legendy o Dziesięciu, co śpią w środku góry ognia?

— Wiele razy — Elryk wziął głęboki oddech. — Teraz was rozpoznaję. Rzeczywiście opis się zgadza. Ale mówiono mi, że śpicie w górze ognia od wieków. Co sprawiło, że spotykacie nas tutaj?

— Zbudziła nas erupcja wulkanu, w którym spaliśmy od dwóch tysięcy lat. Ostatnio takie zmiany w przyrodzie zachodzą na całej Ziemi. Wiedzieliśmy, że nadszedł czas. Jesteśmy sługami Przeznaczenia i nasza misja jest powiązana z twoim losem. Przynosimy ci wiadomość od porywaczy Zarozinii i jeszcze od kogoś innego. Czy teraz pojedziesz z nami do Otchłani w Nihrain, żeby wysłuchać wszystkiego, co mamy ci do przekazania?

Elryk myślał przez chwilę.

— Sepiriz, spieszo mi do zemsty, ale jeżeli twoje informacje przybliżą mnie do rozwiązania zagadki, to pojedę.

— Więc jedźmy! — czarnoskóry olbrzym pociągnął wodze i obrócił swój rydwan.

Otchłań w Nihrain była ogromną szczeliną wysoko w górach, miejscem, którego wszyscy unikali, a mieszkańcy tych okolic uważali, że jest siedliskiem nadprzyrodzonych sił.

Jechali dniem i nocą, aż w końcu dotarli do miejsca powyżej Otchłani. Zjeżdżali teraz w ziejącą ciemność, po stromej, wijącej się ścieżce.

Około pół mili w dół światło już nie dochodziło, ale płonące pochodnie oświetlały to zarysy nieziemskich malowideł ściennych, to wlot tunelu wydrążonego w litej skale. Wreszcie zobaczyli przed sobą wzbudzające grozę miasto Nihrain, nie oglądane przez obcych od wielu wieków. Mieszkali tu teraz ostatni z Nihrain; dziesięciu nieśmiertelnych mężów, przedstawicieli rasy starszej nawet od Melni-bonéan, których historia trwała już od ponad dwudziestu tysięcy lat.

Ogromne kolumny wznosiły się nad nimi, wykute wieki temu w skale, widzieli gigantyczne rzeźby, szerokie wielokondygnacyjne balkony, okna wysokie na setki stóp i rozległe schody. Dziesięciu przejechało przez potężną bramę, pokrytą dziwnymi runami i jeszcze bardziej niezwykłymi freskami. Niewolnicy zbudzeni z wiekowego snu, podbiegli, żeby zaopiekować się końmi. Również oni nie wyglądali jak zwykli ludzie.

Elryk i Dyvim zsiadli z koni, rozglądając się z przerażeniem.

— Teraz do moich komnat. Tam powiem wam wszystko, co chcecie wiedzieć oraz to, co powinniście zrobić.

Sepiriz poprowadził ich przez galerie do wielkiej sali, pełnej ciemnych rzeźb. Na wielu paleniskach płonęły ognie. Usadowili się w ogromnych hebanowych fotelach przed jednym z nich. Wielki Nihrain wziął głęboki oddech i rozejrzał się po sali, jakby przypominając sobie jej historię.

— Wybacz mi, Sepiriz, ale obiecałeś przekazać nam swoją wiadomość — rzekł Elryk zniecierpliwiony i rozżłoszczony; bał się, że traci czas, który dla Sepiriza nic nie znaczył.

— Racja — odpowiedział Sepiriz — ale tak wiele mam ci do powiedzenia, że muszę wstrzymać się na chwilę, by zebrać myśli.

Usadowił się wygodniej w fotelu.

— Wiemy, gdzie znajduje się twoja żona — oznajmił. — Wiemy również, że nic jej nie grozi, ponieważ ma być wymieniona na coś, co ty posiadasz.

— Opowiedz mi wszystko od początku — słabym głosem zażądał Elryk.

— Byliśmy przyjaciółmi twoich przodków i tych, którzy przyszli po nich. Oni to wykuli ten miecz, który nosisz.

Pomimo trwogi, którą odczuwał Elryk, wzrastało w nim coraz większe zainteresowanie. Przez wiele lat próbował pozbyć się runicznego potwora, ale nigdy mu się to nie udało. Wszystkie jego próby spełzły na niczym i ciągle go potrzebował, wciąż musiał go nosić, chociaż od dawna już zioła oraz narkotyki dawały mu większość sił.

— Czy chcesz się pozbyć Zwiastuna Burzy, Elryku? — zapytał Sepiriz.

— Tak, wszyscy to wiedzą.

— Więc posłuchaj mej opowieści. Wiemy dla kogo i po co ten miecz i jego bliźniak zostały wykute. Stworzono je dla specjalnego celu i dla specjalnych ludzi. Tylko Melnibonéanie mogą je nosić i tylko z królewskiego rodu.

— Nie ma żadnych wzmianek o żadnym specjalnym celu dla mieczy w historii Melniboné ani w legendach — powiedział Elryk, pochylając się do przodu.

— Niektóre sekrety lepiej trzymać w zupełnej tajemnicy — cicho odpowiedział Sepiriz. — Te ostrza zostały stworzone, by zniszczyć pewne bardzo potężne istoty. Między innymi Martwych Bogów.

— Martwych Bogów? Przecież wiesz, że jak sama nazwa wskazuje, oni zginęli wieki temu.

— Mówisz, że oni „zginęli”. Tak, w ludzkim pojęciu oni są nieżywi. Jednak w rzeczywistości oni tylko pozbawili się materialnego istnienia i rzucili swoje dusze w czarną otchłań wieczności, ponieważ w tamtych dniach byli przepełnieni strachem.

Elryk niewiele pojmował z tego, co powiedział Sepiriz, ale uważnie słuchał dalej.

— Jeden z nich powrócił.

— Dlaczego? — zapytał albinos.

— Żeby zdobyć, za każdą cenę, dwa przedmioty, które zagrażają jemu i jego współbraciom. Gdziekolwiek by się znaleźli, te przedmioty mogą ich zgubić.

— Co to za...?

— Tu na Ziemi przybrały one postać dwóch mieczy: jednego runicznego, drugiego magicznego, są to Żałobne Ostrze i Zwiastun Burzy.

— Ten! — Elryk dotknął swego miecza. — Z jakiego powodu ci Bogowie mają się ich obawiać? Przecież ten drugi pogroził się w Otchłani, razem z moim kuzynem Yyrkoonem, którego zabiłem wiele lat temu. Jest stracony.

— To nie jest prawda. My go odzyskaliśmy i mamy go teraz tutaj, w Nihrain. To była część naszego zadania. Te ostrza zostały wykute dla waszych praociców, którzy przy ich pomocy wygnali Martwych Bogów, zostały stworzone przez nieziemskich kowali, którzy również byli wrogami Martwych Bogów. Kowale zostali zmuszeni zwalczać zło złem, chociaż sami nie ślubowali Chaosowi, lecz Prawu. Wykuli miecze z wielu powodów. Wygnanie Martwych Bogów było tylko jednym z nich!

— A inne powody?

— O innych dowiedzie się w swoim czasie, ponieważ nasza znajomość zakończy się dopiero wtedy, gdy dopełni się Przeznaczenie. Jesteśmy zobowiązani nie wyjawiać innych powodów, aż do właściwego momentu. Czeka cię niebezpieczny los, Elryku, i nie zazdroścę ci go.

— Ale co to za wiadomość, którą masz mi do przekazania? — zniecierpliwił się Elryk.

— Z powodu wstrząsu, wywołanego przez Jagreena Lerna, jeden z Martwych Bogów przedostał się na Ziemię. Razem z nim przybyli jego akolici, którzy porwali twoją żonę.

Elryk poczuł, jak obezwładnia go głęboka rozpacz. Czy musi przeciwstawiać się takim mocom?

— Ale dlaczego...? — wyszeptał.

— Darnizhaan wie, że Zarozinia jest ci bardzo droga. Pragnie wymienić ją na dwa miecze. My w tym przypadku jesteśmy jedynie posłańcami. Musimy wydać miecz na twoje lub Slorma życzenie, ponieważ prawnie należą do członków królewskiej rodziny. Warunki jakie postawił Darnizhaan są proste. Jeżeli nie oddasz mu mieczy, które zagrażają jego egzystencji, to on wyprawi Zarozinię w Otchłań. Jej śmierć będzie się różniła od zwykłej śmierci, będzie trwała wiecznie i będzie bardzo nieprzyjemna.

— Co będzie, jeżeli się zgodzę?

— Wszyscy Martwi Bogowie powrócą. Jedynie siła mieczy jeszcze ich powstrzyma!

— A co się stanie, jeżeli oni powrócą?

— Nawet bez nich Chaos zagraża całej planecie, jednak z ich pomocą będzie dosłownie nie do pokonania, a skutki jego poczynań natychmiastowe. Zło rozpanoszy się na całym świecie. Piekielny terror i zniszczenie zaleją całą Ziemię. Zdążyłeś skosztować tego, co już się dzieje, a Darnizhaan przebywa tu przecież od niedawna.

— Masz na myśli klęskę wojsk Yishany i podboje Sarosta i Jagreena Lerna?

— Właśnie. Jagreen Lern zawarł pakt z Chaosem, z wszystkimi Władcami Chaosu, nie tylko z Martwymi Bogami. Piekło obawia się planu Przeznaczenia dotyczącego przyszłości Ziemi. Chce udaremnić jego realizację i zdobyć władzę na naszej planecie. Panowie Ciemności są wystarczająco potężni, nawet bez pomocy Martwych Bogów. Darnizhaan musi zostać zniszczony.

— Czyli znalazłem się w kropce. Jeżeli oddam Zwiastuna Burzy, będę zdany wyłącznie na zioła, lub jakieś inne ziemskie sposoby. Jeśli w dodatku zrobię to dla ratowania Zarozinii, wtedy Chaos zapanuje na Ziemi i na moim sumieniu spocznie ogromna zbrodnia.

— Tylko ty jeden możesz podjąć decyzję.

Elryk namyślał się przez jakiś czas, ale nie mógł znaleźć żadnego rozwiązania.

— Przynieś drugi miecz — powiedział w końcu.

Sepiriz pojawił się po chwili, niosąc w rękach miecz w pochwie. Niewiele różnił się od Zwiastuna Burzy.

— Czy przepowiednia jest dla ciebie w pełni zrozumiała, Elryku? — zapytał Sepiriz, wciąż trzymając miecz.

— Tak. Oto jest bliźniak Zwiastuna Burzy. Ale ostatnia część... Dokąd mamy się udać?

— Powiem wam za chwilę. Martwi Bogowie i siły Chaosu wiedzą, że mamy bliźniaczy miecz, jednak nie wiedzą komu służymy. Tak jak rzekłem, służymy Przeznaczeniu i ono ułożyło dalsze losy Ziemi, które będzie bardzo ciężko zmienić. Jednak jest to możliwe i nam powierzono zadanie zapobieżenia temu. Ty natomiast zaraz przejdziesz test. Zależnie od tego, jak ci się powiedzie, jaką podejmiesz decyzję, to zdecyduje, co ci powiemy, gdy wrócisz do Nihrain.

— Chcecie żebym tu wrócił?

— Tak.

— Daj mi Żałobne Ostrze — powiedział Elryk szybko.

Sepiriz podał mu drugi miecz i albinos wstał dzierżąc oba w rękach, jakby wając ich ciężar.

Oba miecze cichutko zaśpiewały, zadowolone ze spotkania, a ich moc przepływała przez jego ciało.

— Przypomniałem sobie teraz, kiedy trzymam oba miecze, że ich moc jest o wiele większa niż się z początku wydaje. Gdy są razem, pojawia się w nich pewna szczególna cecha, którą możemy wykorzystać przeciwko Martwemu Bogowi — Melnibonéanin zmarszczył brwi. — Ale więcej o tym za chwilę... — spojrzał ostro na Sepiriza. — Teraz mi powiedz, gdzie jest Darnizhaan.

— W Wąwozie Xanyaw w Myyrrhn!

Elryk podał Żałobne Ostrze Dyvimowi, który wziął miecz ostrożnie.

— Jaka jest twoja decyzja? — zapytał Sepiriz.

— Kto wie? — odpowiedział albinos z gorzkim uśmiechem na twarzy. — Może jest sposób, żeby zabić Martwego Boga... Ale powiadam ci, Sepiriz, jeżeli będzie okazja, to sprawię, że ten Bóg pożałuje swego powrotu. Posunął się o jeden krok za daleko, i to zrodziło mój gniew. A gniew Elryka z Melniboné i jego miecza, Zwiastuna Burzy, jest w stanie zniszczyć cały świat!

Sepiriz podniósł się z fotela. Jego oczy się rozszerzyły.

— A Bogów, Elryku? Czy jest on w stanie zniszczyć Bogów?

Rozdział 5

Na ogromnym nihraińskim wierzchołku Elryk wyglądał jak posępne straszycło. Jego kamienna twarz nie zdradzała żadnych uczuć, ale oczy, jak rozżarzone węgielki, płonęły szkarłatem w zapadniętych oczodołach. Silny wiatr rozwiewał mu włosy, a on siedział wyprostowany, ze wzrokiem utkwionym przed siebie, z dłonią wspartą na rękojeści Zwiastuna Burzy.

Dyvim Slorm niósł Żałobne Ostrze zarazem dumnie i ostrożnie. Czasami słyszał jak miecz zawodził do swego brata i niecierpliwie wibrował. Zaczął zadawać sobie pytanie, co ta broń z niego zrobi, co mu da i czego od niego zażąda. Lęk kazał mu trzymać rękę z dala od miecza.

Nie opodal granicy krainy Myyrrhn natknęli się na bandę najmitów Dharijor, rodowitych Jharkorian przyodzianych w szaty zwycięzców. Była to banda prostaków, tak głupich, że nie zeszli Melnibonéanom z drogi, lecz skierowali się ku nim w szeleście pióropuszy, wśród skrzypienia rzemieni i brzęku metalu. Ich dowódca, zezowaty osiłek z zatkniętym za pas toporem zatrzymał swego konia tuż przed Elrykiem.

Dwaj jeźdźcy również się zatrzymali. Z nie zmienionym wyrazem twarzy albinos wyciągnął Zwiastuna Burzy powolnym i miękkim ruchem. Dyvim Slorm poszedł w jego ślady, spoglądając na śmiejących się z cicha jeźdźców. Był zaskoczony, jak łatwo jego miecz wyskoczył z pochwy.

Bez słowa Elryk zaczął walkę.

Uderzał miarowo, szybko, skutecznie, obojętnie. Jednym ukośnym cięciem przeciął dowódcę od ramienia aż po brzuch. Na czarnej zbroi pojawiła się purpurowa szrama i dowódca skonał z jękiem. Zsunął się z konia i tak pozostał z jedną nogą uwięzioną w strzemieniu.

Zwiastun Burzy wydał głośny metaliczny pomruk zadowolenia, gdy tymczasem Elryk bez żadnego uczucia zabijał następnych napastników, jak gdyby byli nieuzbrojeni i zakuci w łańcuchy. Nie mieli żadnej szansy.

Nie przyzwyczajony do miecza posiadającego własną świadomość, Dyvim Slorm próbował posługiwać się nim jak zwykłą bronią. Jednak Żałobne Ostrze ożył w jego dłoni, czyniąc mądrzejsze posunięcia. Niezwykłe uczucie mocy za-

razem zmysłowe i chłodne przelało się w ciało Dyvima i gdy usłyszał własny triumfujący ryk, zrozumiał jacy musieli być jego przodkowie w czasie walki.

Potyczka skończyła się jeszcze szybciej niż rozpoczęła, zostały po niej trupy gnijące w szczerym polu. Elryk i Dyvim wkrótce znaleźli się w krainie Myyrrhn, lecz nim tam dotarli, oba miecze były już porządnie zbroczone krwią.

Melnibonéanin nareszcie mógł trzeźwo myśleć i działać, ale nie podzielił się przemyśleniami z Dyvimem, choć ten jechał obok. Nie prosił go też o pomoc.

Pozwolił swoim myślom dryfować w czasie, od przeszłości, przez teraźniejszość, do przyszłości. Układały się w logiczną całość, w pewien schemat. Elryk nie ufał żadnym prawidłowościom, jego zdaniem życie było chaotyczne, podporządkowane przypadkowi i nie do przewidzenia. Schemat, który mu się teraz ukazał, uznał za iluzję, twór umysłu.

Kilka rzeczy jednak wiedział na pewno.

Wiedział, że nosił przy pasie miecz, niezbędny z przyczyn fizjologicznych i psychologicznych. To było pewnego rodzaju przyznanie się do własnej słabości, braku pewności siebie lub wiary w prawidłowość przyczynowo-skutkową. Uważał siebie za realistę.

Noc była chłodna, a na dodatek porywisty wiatr targał nimi szarpiąc ubrania, wdzierał się do płuc lodowatym tchnieniem, wył i zawodził.

Kiedy zbliżyli się do Wąwozu Xanyaw, niebo, ziemia i powietrze przepełniły się pulsującą muzyką, harmonijną, prawie namacalną. Całe akordy dźwięków, w górę, w dół, unosiły się i opadały, a z muzyką tą nadeszły stwory o białych twarzach.

Byli zakapturzeni. Ich miecze rozwidlały się na końcach w trzy zakrzywione ostrza. Na twarzach widniały upiorne uśmiechy. Muzyka postępowała za nimi, gdy rzucili się na Melnibonéan, którzy musieli silnie ściągać cugle, żeby powstrzymać konie od ucieczki. Elryk widział w swoim życiu niejedno, widział rzeczy przyprawiające innych o obłęd, ale z niewiadomej przyczyny te stworzenia przeraziły go bardziej niż jakiegokolwiek inne potwory: wyglądali jak ludzie, zwykli ludzie, których dusze posiadała siła nieczysta.

Czekając na starcie, Elryk i Dyvim wyciągnęli miecze, lecz do walki nie doszło. Muzyka i ludzie minęli ich i pobiegli w kierunku, z którego przybyli Melnibonéanie.

Nagle ponad głowami usłyszeli trzepot skrzydeł, przenikliwy wrzask dochodzący prosto z nieba i śmiertelny lament. Obok przebiegły dwie uciekające kobiety i ku swemu zdziwieniu, Elryk rozpoznał w nich przedstawicielki skrzydlatej rasy z Myyrrhn. Jednak nie miały skrzydeł. Czyżby skrzydła zostały odrąbane? Kobiety nie zwróciwszy uwagi na jeźdźców pobiegły prosto i zniknęły w ciemności, ich oczy były puste, na twarzach malował się obłęd.

— Elryku, co się tu dzieje?! — krzyknął Dyvim Slorm i schował miecz do pochwy, walcząc jedynie ze swoim wierzchowcem, żeby utrzymać go w miejscu.

— Nie wiem. Nie wiem, co się dzieje w miejscu, gdzie powracają rządy Martwego Boga.

Noc zalewały przepęłnione strachem dźwięki. Wszędzie wokół panował ruch i zamieszanie.

— Chodźmy! — powiedział Elryk i uderzył mieczem zad konia, zmuszając go tym samym do galopu w kierunku, z którego wszyscy uciekali.

Gdy wjechali pomiędzy dwa wzgórza Wąwozu Xanyaw, powitał ich potężny śmiech. W środku było ciemno, choć oko wykol, a w powietrzu wyczuwało się Zło. Zwolnili tempo, gdyż zupełnie zatracili poczucie kierunku, i Elryk musiał krzyknąć do kuzyna, żeby sprawdzić, czy jeszcze z nim jest. W wąwozie ponownie odbił się echem potężny śmiech. Pod jego siłą zadrżała ziemia, a dobywał się on prosto z ciemności. Wyglądało na to, że cała planeta drwiła i naśmiewała się z ich wysiłku przezwyciężenia strachu i parcia dalej.

Przez głowę Bładolicego przemknęła myśl, że zostali zdradzeni i tu pułapkę zastawił Martwy Bóg. Nie miał żadnej podstawy, by uwierzyć w obecność Zarozinii w wąwozie. Dlaczego zaufał Sepirizowi?

Coś go minęło i otarło się o jego nogę. Położył rękę na gardzie miecza, gotów go wyciągnąć jednym ruchem.

Wtem, jak gdyby spod ziemi, wystrzeliła ku niebu ogromna postać o twarzy małpy, zagrządzając im dalszą drogę. Ręce trzymała na biodrach, spowijało ją złote światło. Z tym kształtem zlewał się inny, który dodawał jej dostojności i dzikości. Ciało sprawiało wrażenie, że jest żywe i w ciągłym ruchu. Przyczyniały się do tego tańczące kolory i światło. Usta były wygięte w uśmiechu zadowolenia i wiedzy. To był Darnizhaan, Martwy Bóg.

— Elryk!

— Darnizhaan! — wrzasnął Elryk ze złością, zadzierając głowę do góry, żeby zobaczyć twarz Martwego Boga. Nie czuł już teraz żadnego strachu. — Przybyłem po moją żonę!

Martwego Boga otoczyli nagle jego akolici. Mieli szerokie i blade usta, trójkątne twarze i szaleństwo w oczach. Na głowach nosili stożkowate czapy. Chichotali wysokimi głosikami i wiercili się w świetle groteskowego lecz pięknego zarazem ciała Darnizhaana. Naśmiewali się i przedrzeźniali dwóch jeźdźców, ale nie odchodził od nóg swego pana.

— Zdegenerowane żałosne pacholki — szydził Elryk.

— Nie tak żałosne jak ty, Elryku z Melniboné — zaśmiał się Darnizhaan. — Czy przyszedłeś dobić ze mną targu, czy też powierzyć duszę swojej żony pod moją opiekę, żeby mogła spędzić wieczność na umieraniu?

Twarz Elryka była niewzruszona.

— Zniszczyłbym cię, instynkt mi to nakazuje, ale...

— To ty musisz zostać zniszczony, Elryku. Jesteś anachronizmem. Twój czas już minął — Martwy Bóg uśmiechnął się prawie ze współczuciem.

— Mów za siebie, Darnizhaanie!

— Mógłbym cię zniszczyć.

— Ale nie zrobisz tego — odpowiedział Elryk. Chociaż nienawidził bezgranicznie tego Martwego Boga, uświadomił sobie niepokojące uczucie braterstwa w stosunku do Darnizhaana. Obaj reprezentowali przeszłość, żaden z nich nie należał do terażniejszego świata.

— Więc zniszczę ją — powiedział Martwy Bóg. — To mogę zrobić bezkarnie.

— Zarożinia! Gdzie ona jest?

Po raz kolejny potężny śmiech wstrząsnął Wąwozem Xanyaw.

— No patrzcie, do czego to doszło. Był czas, gdy żaden Melnibonéanin, a w szczególności nikt z królewskiej linii, nie przyznałby się, że mu zależy na drugiej śmiertelnej istocie, zwłaszcza gdy ta należała do zwierzęcej rasy. Rasy podludzi z Młodych Królestw. Królu z Melniboné, czy ty spółkujesz ze zwierzętami? Gdzie się podziała twoja duma, twój okrutny i wspaniały charakter? Gdzie znakomita nikkzemność? Elryk, gdzie się podziało twoje zło?

Dziwne uczucia owładnęły albinosem, gdy przypomniał sobie swoich praojców, cesarzy — czarnoksiężników z Wyspy Smoków. Zrozumiał, że Martwy Bóg rozbudził te emocje z premedytacją. Z pewnym wysiłkiem Elryk zdołał odsunąć je od siebie, by go nie pochłonięły.

— To jest przeszłość! — krzyknął. — Na Ziemi nastały teraz nowe czasy. I mój czas niedługo przeminie, ale twój już dawno minął!

— Nie, Elryku. Zapamiętaj moje słowa, cokolwiek by się zdarzyło. Świt tylko minął i niedługo powiew poranka wywieje go jak zeschnięte liście. Historia Ziemi jeszcze się nawet nie rozpoczęła. Ty, twoi przodkowie, ludzie z nowych ras, wy wszyscy jesteście jedynie wstępem do historii. Gdy rozpocznie się prawdziwa historia Ziemi, nikt o was nie będzie pamiętał. Ale my możemy to zmienić, możemy przeżyć, podbić Ziemię i ochronić przed Władcami Prawa, przed Przeznaczeniem, przed Kosmiczną Równowagą. Musisz mi dać miecze, żebyśmy mogli żyć dalej!

— Staram się cię zrozumieć, ale mi to nie wychodzi — powiedział Elryk z zaciśniętymi zębami. Czy przyszedłem tu żeby targować się o moją żonę, czy walczyć o nią?

— Nie rozumiesz — Martwy Bóg parsknął rubasznym śmiechem — ponieważ my wszyscy, Bogowie i ludzie, jesteśmy jedynie marionetkami w nic nie znaczącej sztuce, zanim nadejdzie czas prawdziwej historii. Nie powinieneś ze mną walczyć, lecz raczej stanąć po mojej stronie, ponieważ ja znam prawdę. Jest nam pisany wspólny los. Żaden z nas już nie istnieje, stare narody skazane są na zagładę, ty, ja, moi bracia, o ile nie dasz mi mieczy! Nie wolno nam walczyć ze sobą. Poznaj naszą straszliwą wiedzę, wiedzę dzięki której staliśmy się obłąkami. Nie ma niczego: przeszłości, terażniejszości, przyszłości. My nie istniejemy, żaden z nas.

— Wciąż cię nie rozumiem — Elryk pokręcił głową. — I nawet gdybym bardzo chciał, też pewnie bym cię nie zrozumiał. Pragnę jednak tylko zwrotu mojej żony, a nie pogmatwanych zagadek!

Darnizhaan ponownie się zaśmiał.

— Nie! Nie dostaniesz swojej kobiety, póki nie oddasz nam mieczy. Nie zdasz sobie sprawy z ich właściwości. Ich celem nie było zniszczenie nas, ich prawdziwym przeznaczeniem jest zniszczenie świata, takiego jakim jest on teraz. Jeżeli je zatrzymasz, będziesz odpowiedzialny za wymazanie pamięci o sobie. Ci, którzy przyjdą po tobie, nie będą cię pamiętali.

— Przyjąłbym to z zadowoleniem — powiedział Elryk.

Dyvim Slorm stał bez słowa, zupełnie nie podzielając zdania albinosa. Czuł, że argumenty Martwego Boga zawierały prawdę.

Darnizhaan zadygotał. Złote światło poruszyło się i rozświetliło większą przestrzeń.

— Więc zatrzymaj miecze i wszyscy znikniemy, jak gdybyśmy nigdy nie istnieli — rzucił zirytowany.

— I niech tak będzie — z uporem skwitował Elryk. — Myślisz, że chciałbym, żeby pamięć dalej żyła? Pamięć zła, pamięć ruiny i zniszczenia? Pamięć ułomnego mężczyzny, zwanego Zabójcą Przyjaciół i Zabójcą Kobiet, mężczyzny o wielu imionach?

— Elryku — Darnizhaan mówił z pośpiechem, ze strachem — ktoś ci dał sumienie! Ale ty musisz się do nas przyłączyć! Przeżyjemy tylko wtedy, gdy Władcy Chaosu zapanują nad Ziemią. Jeśli im się to nie uda, zginiemy i nie zostanie po nas nawet pamięć!

— To dobrze!

— Otchłań, Elryku. Otchłań! Czy ty rozumiesz, co to znaczy?!

— Nie obchodzi mnie to. Gdzie jest moja żona?

Albinos nie dopuścił prawdy do siebie. Nie był w stanie słuchać ani rozumieć. Musiał ocalić Zarozinię.

— Przyniosłem ci miecze — powiedział — i chcę, żeby zwrócono mi żonę.

— Bardzo dobrze — Darnizhaan uśmiechnął się z ulgą. — Przynajmniej, jeżeli będziemy trzymali miecze w ich prawdziwym kształcie poza Ziemią, może będziemy w stanie przejąć kontrolę nad światem. W twoich rękach one zniszczyłyby nie tylko nas ale i ciebie, twój świat i wszystko czym jesteś. Przez miliony lat Ziemią rządziłyby zwierzęta, zanim ponownie nastałaby era inteligencji. Nie chcemy, żeby do tego doszło. A jeżeli ty zatrzymałbyś miecze, tak właśnie by się stało!

— Och, zamilcz wreszcie! — krzyknął Elryk. — Za dużo gadasz jak na Boga. Weź miecze i oddaj mi moją żonę!

Na rozkaz Martwego Boga kilku jego służących zniknęło w ciemności. Elryk oczekiwał z niecierpliwością ich powrotu. Szli niosąc wijące się ciało Zarozinii.

Postawili ją na ziemi. Gdy spojrzął na żonę, zobaczył, że była w szoku.

— Zarozinia!

Jej wzrok błędził przez chwilę nieprzytomnie, zanim spostrzegła męża. Chciała do niego pobiec, ale służalcy, chichocząc, przytrzymali ją na miejscu.

Darnizhaan wyciągnął gigantyczne, świecące się ręce.

— Najpierw miecze.

Elryk i Dyvim wsadzili je w jego dłonie. Martwy Bóg wyprostował się, ściskając kurczowo swoje trofea i głośno obwieszczając swą radość. Zarozinia została uwolniona i pobiegła do Elryka. Ujęła jego rękę, z oczu płynęły jej łzy, wciąż jeszcze drżała. Mąż pochylił się nad nią i pogładził po włosach, zbyt wzruszony, by cokolwiek powiedzieć.

Po chwili odwrócił się do kuzyna i krzyknął:

— Zobaczymy, czy nasz plan się powiedzie! — Spojrzął w górę na Zwiastuna Burzy, wykręcającego się w uścisku Martwego Boga. — Zwiastunie Burzy! *Kerana soliem o'glara...*

Dyvim Slorm również zawołał na Żałobne Ostrze, używając Zamierzchłej Mowy z Melniboné. Tajemniczego i magicznego języka, stosowanego przy wypowiedaniu zaklęć runicznych i wzywaniu demonów w ciągu dwudziestu tysięcy lat istnienia rasy Melniboné.

Wydawali rozkazy swoim mieczom, jak gdyby rzeczywiście trzymali je w rękach. Rozpoczęli dzieło zniszczenia, jedynie wypowiadając słowa. To była ta cecha obu mieczy, o której przypomniał sobie Elryk, a która pojawiała się, gdy obydwa ostrza angażowały się we wspólną walkę. Oba miecze teraz wiły się w dłoniach Darnizhaana. Martwy Bóg zaczął się cofać. Jego postać utraciła nagle znajomy kształt, stając się podobną to do człowieka, to do bestii. Martwy Bóg trząsał się i dygotał z przerażenia.

W końcu ostrza wyrwały się z jego rąk i obróciły przeciwko niemu. Walczył z nimi, próbował je odeprzeć, podczas gdy one mknęły w powietrzu wokół niego unosząc się swobodnie i atakowały z piekielną siłą. Powietrze wypełniło się ich złowieszczym, pełnym triumfu zawodzeniem. Na rozkaz Elryka Zwiastun Burzy ciał nadprzyrodzoną istotę, a Żałobne Ostrze poszedł za jego przykładem. Oba miecze były również nadprzyrodzonego pochodzenia i dlatego ciosy, które zadawały Darnizhaanowi, raniły go śmiertelnie.

— Elryku! — wrzasnął. — Elryku, nie wiesz, co robisz! Zatrzymaj je! Zrób to! Powinieneś być słuchać uważniej tego, co ci mówiłem. Zatrzymaj je!

Lecz Elryk zaślepiony nienawiścią i złością ponaglał tylko miecze, które raz za razem zagłębiały się w ciało Martwego Boga. Chwiał się, zanikał, jasne kolory matowiały. Akolici uciekli w dół doliny, przekonani, że to koniec ich pana. On sam również był o tym przekonany. Rzucił się jeszcze do przodu w kierunku jeźdźców, lecz wtedy pod wpływem ataków mieczy materia jego istnienia zaczęła się drzeć na strzępy. Kawałki jego ciała odpadały i leciały we wszystkie strony, znikając

w ciemnościach.

Dzika złość kierowała słowami Elryka, gdy przemawiał do mieczy. Głos Dyvima Slorma mieszał się z głosem albinosa w okrutnej radości, gdy niszczyli tę świecąca istotę.

— Głupcy! — wrzasnął Darnizhaan. — Niszcząc mnie, niszczyacie też siebie!

Ale Elryk nie słuchał go, aż w końcu nic nie zostało z Martwego Boga, a miecze powróciły i zadowolone ułożyły się miękko w dłoniach prawowitych właścicieli.

Gwałtownym, szybkim ruchem Elryk schował Zwiastuna Burzy. Zsiadł z konia i pomógł swojej żonie dosiąść ogromnego wierzchowca, sam sadowiąc się tuż za nią.

W Wąwozie Xanyaw zapanowała wielka cisza.

Rozdział 6

Kilka dni później troje ludzi, ze zmęczenia ledwie utrzymujących się w siodłach, dotarło do Otchłani w Nihrain. Zjechali po krętych drózkach prosto w czarną głębię. Przywitał ich Sepiriz poważną twarzą i słowami pełnymi otuchy.

— Widzę, że wyprawa się powiodła, Elryku — powiedział uśmiechając się.

Albinos zsiadł z konia, pomógł zejść swojej żonie i odwrócił się do Sepiriza.

— Chociaż zrobiłem to, co musiałem, żeby ocalić moją żonę — powiedział ponuro — nie jestem w pełni zadowolony z tej przygody. Chciałbym porozmawiać z tobą na osobności, Sepirizie.

— Po posiłku — czarny Nihrain przytaknął poważnie — porozmawiamy w cztery oczy.

Szli powoli przez miasto. Przywitało ich większym ruchem, ale wśród mieszkańców nie było widać dziewięciu braci Sepiriza. Gospodarz po drodze wyjaśnił ich nieobecność.

— Jako słudzy Przeznaczenia zostali wezwani do innego wymiaru, gdzie zobaczą różne drogi jakimi mogą potoczyć się losy Ziemi. Po powrocie poinformują mnie, co należy uczynić.

Weszli do komnaty, w której stało przygotowane jedzenie. Gdy wszyscy zaspokoiли głód, Dyvim Slorm i Zarozinia zostawili ich samych.

W palenisku płonął ogromny ogień. Elryk i Sepiriz siedzieli przygarbieni, nie odzywając się.

W końcu bez żadnych wstępów Elryk opowiedział, co się stało, co zapamiętał ze słów Martwego Boga, jak go one zaniepokoiły i przeraziły. A jeśli są prawdziwe?

Gdy skończył, Sepiriz kiwnął głową.

— Rzeczywiście tak jest — powiedział. — Darnizhaan mówił prawdę. Albo raczej większość prawdy, w sposób w jaki on to rozumiał.

— Czy ja mam przez to rozumieć, że wkrótce wszyscy przestaniemy istnieć? Że będzie tak, jak gdybyśmy nigdy nie oddychali, nie myśleli ani walczyli?

— To jest prawdopodobne.

— Ale dlaczego? To wydaje się niesprawiedliwe.

— Kto ci powiedział, że świat jest sprawiedliwy?
 Elryk uśmiechnął się, jego własne podejrzenia potwierdziły się.
 — Tak jak się spodziewałem, na świecie nie ma sprawiedliwości.
 — Właśnie że jest — powiedział Sepiriz. — Ale sprawiedliwość swoista, sprawiedliwość, która musi powstawać codziennie. Człowiek nie narodził się w świecie sprawiedliwości, ale jest w stanie stworzyć taki świat!
 — Zgodziłbym się z tym — odpowiedział Elryk — ale na co przydadzą się nasze wysiłki, jeżeli i tak jesteśmy skazani na zagładę, a razem z nami rezultaty naszych poczynań?
 — To nie jest dokładnie tak, jak mówisz. Coś pozostanie i będzie dalej istniało. Ci, którzy przyjdą później, odziedziczą coś po nas.
 — Co to będzie?
 — Ziemia wolna od głównych sił Chaosu.
 — Czyli świat bez magii, czy tak...?
 — Niezupełnie bez magii, ale Chaos i magia nie zdominują go w takim stopniu, w jakim zdominowały nasz świat.
 — Więc to jest warte zachodu — powiedział Elryk i kamień spadł mu z serca.
 — Ale jaka rola przypadła runicznym mieczom w tym całym zamierzeniu?
 — One muszą spełnić dwa zadania. Jednym jest usunięcie z tego świata dominujących sił Zła...
 — Ależ one same są dziełem Zła!
 — Zgadza się. Żeby zniszczyć jedno zło, potrzeba innego zła. Nowe dni nadejdą dopiero wtedy, gdy siły Dobra będą mogły przewyciężyć siły Zła. Do tego, tak jak ci powiedziałem, musimy dążyć. A siły Dobra nie są jeszcze dość potężne.
 — A jaki jest drugi cel mieczy?
 — To jest ich ostateczny cel, twoje przeznaczenie. Mogę ci o tym teraz powiedzieć, albo będziesz bezwiednie szedł ścieżką wytyczoną ci przez Przeznaczenie.
 — Więc powiedz mi — zażądał zniecierpliwiony Elryk.
 — Ich ostatecznym celem jest zniszczenie tego świata!
 Elryk wstał.
 — O nie, Sepirizie. W to nie mogę uwierzyć. Czy mam mieć na sumieniu taką zbrodnię?
 — To nie jest zbrodnia. Taka jest naturalna kolej rzeczy. Czas Świetlistego Imperium i Młodych Królestw przemija. Chaos stworzył tę Ziemię i rządził nią przez eony. Ludzie zostali stworzeni, żeby położyć kres tym rządóm.
 — Ale moi przodkowie czcili moce Chaosu. Moim opiekunem jest Arioch, Książę Chaosu, jeden z najważniejszych Władców Piekieł!
 — Racja. Ty i twoi praojcowie nie byliście prawdziwymi ludźmi, ale czymś pośrednim stworzonym dla określonego celu. Rozumiecie Chaos, jak żaden prawdziwy człowiek. Możecie kontrolować jego siły, jak żaden inny człowiek. I jako wybraniec możesz osłabić siły Chaosu, ponieważ posiadasz również jego cechy.

Oslabienia ich już w jakiejś mierze dokonałeś. Pomimo tego, że twoja rasa czciła Władców Chaosu, twoja rasa była też pierwszą, która zaprowadziła na Ziemi taki porządek. Ludzie Młodych Królestw odziedziczyli go po was i wykorzystali. Jednak na razie Zło jest wciąż zbyt potężne. Dwa runiczne miecze, Zwiastun Burzy i Żałobne Ostrze, ten przemijający wiek, mądrość, którą twoja i moja rasa posiadły, to wszystko da podstawy dla stworzenia prawdziwego początku Człowieczeństwa. Miną tysiąclecia zanim ono wykiełkuje, a i może się to stać na o wiele niższym poziomie. Najpierw na poziomie zwierzęcym, a dopiero potem przeistoczy się w ludzi, żyjących w świecie pozbawionym silnego wpływu Chaosu. Ten nowy świat będzie miał swoją szansę. My jesteśmy skazani na zagładę, ale oni nie muszą być.

— A więc to jest to, co miał na myśli Darnizhaan — rzekł Elryk — gdy wspomniał, że jesteśmy jedynie marionetkami, zanim rozpocznie się prawdziwa sztuka... — westchnął, ogromna odpowiedzialność zaciążyła mu na duszy. Nie przyjął jej z radością, ale zaakceptował ją.

— To jest twoim celem, Elryku z Melniboné. Dotychczas twoje życie wydawało się nie mieć sensu. Cały czas szukałeś celu, czyż nie tak?

— Racja — zgodził się Elryk, uśmiechając się nieznacznie. — Przez wiele lat, chyba od czasu narodzin, byłem niespokojny; ten niepokój nasilił się, kiedy porwano Zarozinię.

— Słusznie — powiedział Sepiriz. — Cel Przeznaczenia jest twoim zadaniem. Taka jest twoja przyszłość, którą przeczuwałeś w ciągu całego swojego życia. Ty, ostatni z królewskiej linii Melnibonéan, musisz wypełnić swój los. Ciemne czasy nastają, przyroda się buntuje i przeciwstawia się nadużyciom, do których doprowadzili Władcy Chaosu. Oceany kipią, lasy się kołyszają, gorąca lava wylewa się z tysięcy wulkanów, wiatry gwizdzą o swojej udreće, a na niebie panuje straszne poruszenie. Na Ziemi wojownicy są zaangażowani w walkę, która zdecyduje o losach świata. Te bitwy mają związek z tym, co się dzieje wśród Bogów. Tylko na tym kontynencie na stosach pogrzebowych umierają miliony kobiet i dzieci. Wkrótce walka przeniesie się na inne lądy. Niedługo wszyscy ludzie na Ziemi opowiedzą się po jednej ze stron i Chaos z łatwością zdobędzie wszystko. Wszystko oprócz jednej rzeczy — ciebie i twojego Zwiastuna Burzy.

— Zwiastun Burzy sprowadził na mnie wiele nawałnic. Może tym razem uda mu się zażegnać jeden sztorm. A co się stanie, jeżeli Prawo wygra?

— Jeżeli tak się stanie, to również będzie oznaczało upadek i śmierć tego świata. My wszyscy odejdziemy w zapomnienie. Jeżeli Chaos wygra, wtedy śmierć będzie wisiąca w powietrzu, w powiewach wiatru będzie czuć agonię konających, a nieszczęście zdominuje ten niestabilny świat magii i nienawiści. Ale ty, Elryku, z pomocą naszą i twego miecza, możesz temu zapobiec. Takie jest twoje zadanie, które musi być spełnione.

— Niech więc tak będzie — rzekł Elryk. — Jeżeli mamy to zrobić, zróbmy to

porządnie.

— Wkrótce armie zostaną wysłane przeciwko sile Pan Tang. To będzie nasza pierwsza obrona. Potem wezwiemy ciebie, żebyś wypełnił swoją część Planu Przeznaczenia — powiedział Sepiriz.

— Wykonani to z przyjemnością — odparł Elryk — ponieważ cokolwiek by się stało, zamierzam odplacić Teokracie za upokorzenia i ból, do których się przyczynił. I chociaż nie maczał palców w porwaniu Zarozinii, pomagał tym, którzy dopuścili się tego czynu i za to będzie umierał w mękach.

— Spiesz się więc, bo każda stracona chwila pozwala Teokracie coraz skuteczniej jednoczyć swoje nowe imperium.

— Żegnaj — powiedział Elryk, pragnąc jak najspieszniej opuścić Nihrain i powrócić do znajomych stron. — Wiem, że się jeszcze spotkamy, Sepirizie, ale modlę się, żeby nasze spotkanie odbyło się w spokojniejszych czasach.

Troje ludzi podążało teraz na wschód, w kierunku wybrzeży Tarkesh, gdzie mieli nadzieję znaleźć jakiś statek, który potajemnie przewiozłby ich przez Białe Morze do Ilmiory, a stamtąd przedostaliby się do miasta Karlaak nad Płaczącym Pustkowiec. Nie bacząc na niebezpieczeństwa, jechali na magicznych koniach przez kraj Teokraty. Zniszczony, zrujnowany, zrozpaczony.

Elryk i Zarozinia wymieniali spojrzenia podczas drogi, ale mówili niewiele. Oboje byli wstrząśnięci wiedzą o czymś, czego nie mogli wysłować, do czego bali się przyznać. Ona zdawała sobie sprawę, że nie będą mieli dostatecznie dużo czasu dla siebie, nawet po powrocie do Karlaak. Jej mąż posmutniał, a ona, nie będąc w stanie zrozumieć zmiany, która w nim zaszła, posmutniała wraz z nim. Rozumiała tylko jedno: Czarny Miecz powrócił na swoje miejsce u jego boku i już nigdy nie zawisnie w zbrojowni. Czuła, że zawiodła Elryka.

Ze szczytu wzgórza ujrzeni gęsty czarny dym, wiszący nad Torauz, niegdyś piękną spokojną krainę. Dyvim Slorm krzyknął do Elryka i jego małżonki:

— Jedną rzecz musimy zrobić, kuzynie! Cokolwiek by się stało, musimy wziąć odwet na Teokracie i jego sojuszniku.

Elryk skinął z aprobatą.

— Racja — powiedział i spojrzał na Zarozinię, lecz jej głowa była spuszczone, a oczy utkwione w ziemi.

Zachodnie lądy od Tarkesh po Myyrrhn zostały przejęte przez służby Chaosu. Czy już zdecydowano o przyszłości świata? Siły Prawa były słabe i rozproszone po całej Ziemi. Wynik bitwy przesądził o losie wielkiej części świata. Ziemia jęczała w cierpieniu i bólu.

Z jakimi jeszcze mocami ma się zmagać Elryk, zanim osiągnie ostateczny cel i zniszczy swój świat? Co jeszcze go czeka, zanim zadmie w róg Przeznaczenia i oznajmi wszem i wobec zwycięstwo?

Sepiriz z pewnością mu powie, kiedy nadejdzie właściwy czas.

Jednak na razie musiały zostać spłacone ziemskie długi. Kraje na wschodzie muszą się przygotować do wojny. Trzeba poprosić o wsparcie Ludzi Morza, zamieszkujących Purpurowe Przystanie. Królowie z południowych terytoriów muszą odeprzeć atak na ich kontynent. Potrzeba dużo czasu, żeby tego wszystkiego dokonać.

Jedna połowa umysłu Elryka przyjęła z zadowoleniem świadomość ilości czasu, jacji na to trzeba będzie poświęcić.

Druga połowa była nastawiona nieprzychylnie do dźwigania tej ogromnej odpowiedzialności, ponieważ to oznaczało koniec Wieku Młodych Królestw i odejście w niepamięć Czasów Świetlistego Imperium.

Nareszcie zobaczyli przed sobą morze, niespokojnie falujące, biegnące aż po horyzont na spotkanie wzburzonego nieba. Elryk usłyszał krzyk mew i poczuł zapach słonego powietrza.

Z dzikim okrzykiem na ustach spiął konia i popędził w dół na spotkanie wody...

KSIEGA DRUGA

BRACIA CZARNEGO MIECZA

W której to powrót Żałobnego Ostrza pomaga rozstrzygnąć spór pomiędzy Elrykiem i Władcami Chaosu...

Rozdział 1

Pewnego dnia w Ilmiorze, w spokojnym mieście Karlaak nad Płaczącym Pustkowiem odbyło się zebranie królów, dowódców i wielkich wojowników.

Nie było nawet śladu królewskiego przepychu ani podniesłego nastroju. Twarze przybyli mieli ponure, w powietrzu czuło się pośpiech, wywołany nagłym wezwaniem od Elryka, który wraz ze swoją niedawno ocaloną żoną powrócił do miasta. Narada odbywała się w ogromnej komnacie, w której władcy Karlaak w przeszłości zbierali się by planować wojny. Albinos zaprosił tu wszystkich w tym samym celu.

Za podium wisiała oświetlona pochodniami kolorowa mapa świata. Były na niej naniesione trzy główne kontynenty Wschodu, Zachodu i Południa. Jharkor, Dharijor, Shazar, Tarkesh i leżące na Zachodnim Kontynencie Myyrrhn oraz Wyspa Pan Tang zostały zacieniowane. Był to teren znajdujący się pod dominacją sojuszu Pan Tang-Dharijor, zagrażającego teraz bezpieczeństwu zebranych w sali wielmożów.

Niektórzy ze zbrojnych mężów stojących przed Elrykiem uciekli z podbitych ziem, lecz było ich niewiele. Imrryrian, którzy walczyli po stronie królowej Yishany w bitwie pod Sequaloris została jedynie garstka. Na ich czele stanął ponownie kuzyn Elryka, Dyvim Slorm. Przy jego pasie, w mocnej pochwie, wisiał runiczny miecz, Żałobne Ostrze. Bliźniak Zwiastuna Burzy.

Był też na tej naradzie Montan z Lormyr. Obok niego stali inni władcy Południowych Krain: Jerned z Filkhar, Hozel z Argimiliar i Kolthak z Pikarayd, wszyscy przyodziani w kolorowe zbroje, aksamit oraz jedwabne i wełniane szaty.

Ludzie Morza, zamieszkujący Wyspę Purpurowych Miast, byli ubrani w mniej jaskrawe rzeczy, mieli na sobie proste spizowe napierśniki, kurty, bryczesy i wysokie buty z niefarbowanej skóry; przy pasach zwisały ogromne pałasze. Ich twarze ginęły w gęstwie kręconych bród i pod długimi zmierzwionymi włosami.

Wszyscy oni patrzyli na Elryka podejrzliwie, ponieważ wiele lat temu albinos powiódł ich królewskich poprzedników na Imrryr. Wielu z nich nie wróciło, lecz dzięki temu obecni tutaj mogli zająć ich miejsca.

Z drugiej strony zgrupowali się szlachcice, zamieszkujący tereny leżące na za-

chód od Pustyni Westchnień i Płaczącego Pustkowie. Na wschód od tych jałowych terenów leżały królestwa Eshmir, Changshai i Okary, lecz Elryk nie miał z nimi żadnego kontaktu poza jednym człowiekiem. Niewysoki ów człowiek z zaczerwienionymi rękoma był przyjacielem albinosa; nazywał się Moonglum, pochodził z miasta Elwher i był znany na Wschodzie jako poszukiwacz przygód.

Na czele ostatniej grupy stał Regent Vilmir, wuj dziesięciomiesięcznego króla. Przewodził senatorom miast-państw leżących na terenie Ilmiory; odzianemu w czerwień Rackhirowi, łucznikowi reprezentującemu miasto Tanelorn oraz różnym Książęcym Kupcom przybyłym z miast będących pod protektorem Vilmi-ru.

Było to wielkie zgromadzenie reprezentujące zmasowaną potęgę świata.

— Ale czy to wystarczy — zastanawiał się Elryk — żeby pokonać rosnącą groźbę z Zachodu?

Jego biała twarz miała surowy wyraz, w czerwonych oczach widniało zmartwienie, gdy przemówił do zebranych mężów.

— Jak wiecie, moi panowie, Pan Tang i Dharijor nie poprzestaną na podbiciu tylko Zachodniego Kontynentu. Nie minęły jeszcze dwa miesiące od ich zwycięstwa, a już zbierają olbrzymią flotę, żeby zgnieść nadmorskie królestwa.

Spojrzał przelotnie na ludzi z Purpurowych Miast i królów ze Wschodniego Kontynentu.

— Nas, mieszkańców Wschodu nie uważają za bezpośrednie zagrożenie ich planów i dlatego jeżeli się nie zjednoczymy, Imperium Pan Tang i Dharijor będzie miało większe szansę podbić najpierw morskie siły Południa, a następnie rozrzucone po całym kontynencie miasta Wschodu. Musimy stworzyć sojusz, dorównujący im siłą.

— Elryku, skąd wiesz, że taki jest właśnie ich plan?

Pytanie padło z ust Hozela z Argimiliar, człowieka o dumnej twarzy, o którym się mówiło, że miewa napady szału i że jest owocem związków kazirodczych.

— Od szpiegów, uciekinierów i sił nadprzyrodzonych. Oni wszyscy o tym donieśli.

— Nawet i bez donosów możemy być pewni, że taki jest ich plan — warknął Kargan Sharpeyes, zwany Ostrookim, rzecznik Ludzi Morza. Patrzył prosto na Hozela, a w jego wzroku czaiła się pogarda. — A Jagreen Lern z Pan Tang może również poszukiwać sprzymierzeńców między Południowcami. Są tam tacy, którzy raczej skapitulują niżli mieliby stracić swe kruche życie i łatwo zdobyte bogactwo.

— Są też tacy, których zwierzęca złośliwość może spowodować, że nie uczynią żadnego ruchu przeciwko Teokracie, aż będzie za późno — odpowiedział Hozel z zimnym uśmiechem.

Elryk, widząc, że odzywają się stare żale pomiędzy twardymi ludźmi z Purpurowych Miast i ich mniej wytrzymałymi sąsiadami, pospiesznie zabrał głos:

— Ale najlepszą pomocą dla nich byłyby niesnaski między nami, bracia. Hozel, uwierz mi na słowo, że moje informacje są prawdziwe.

— Wy z Północy i Wschodu jesteście słabi. My z Południa jesteśmy silni — odezwał się Montan z Lormyr. Jego twarz, broda i włosy miały szare zabarwienie. — Dlaczego mielibyśmy użyć wam naszych statków dla obrony waszych wybrzeży? Nie popieram twego planu, Elryku. Nie po raz pierwszy zaprowadziłoby to męźnych ludzi ku ich zgubie, ku śmierci!

— Myślałem, że zgodziliśmy się zapomnieć o starych kłótniach — gniewnie odpowiedział Elryk, ponieważ wciąż miał poczucie winy.

— Racja — przytaknął Kargan. — Człowiek, który ciągle żyje przeszłością, nie może planować przyszłości. Twierdzę, że rozumowanie Elryka jest poprawne!

— Wy, kupcy, zawsze zbyt lekkomyślnie postępowaliście ze swoimi statkami i byliście zbyt naiwni, kiedy przemawiano do was wyszukany językiem. To dlatego zazdrościcie nam teraz naszych bogactw — powiedział Jerned Młody z Filkhar, uśmiechając się, lecz z wzrokiem utkwionym w podłogę.

Kargan wybuchnął gniewem.

— Powinieneś być raczej użyć słów: „zbyt uczciwi”, Południowcu! Ponieważ nasi praojcowie dowiedzieli się, że twoi tłuści przodkowie ich oszukują. Nie wiem czy pamiętasz, ale nasi praojcowie najeżdżali wasze wybrzeża. Może powinniśmy byli kontynuować tę praktykę! Zamiast tego osiedliliśmy się, handlowaliśmy, a wasze brzuchy pęczniały dzięki rezultatom naszej żmudnej pracy! O Bogowie! Nie ufałbym słowom Południo...

Elryk nachylił się, żeby to przerwać, lecz zanim zdążył coś powiedzieć, wtrącił się zniecierpliwiony Hozel.

— Faktem jest, że Teokrata skieruje swój pierwszy atak na Wschód z następujących przyczyn: wschodnie kraje są słabe i bez silnych linii obronnych. Są też bliżej jego wybrzeży i dzięki temu łatwiej dostępne. Dlaczego miałyby ryzykować niedawno zjednoczoną siłę w ataku na silniejsze Południe lub w bardziej niebezpiecznym rejsie po morzu?

— Ponieważ — spokojnie odpowiedział Elryk — jego statki będą wspomagane czarami i odległość nie będzie miała żadnego znaczenia. Ponieważ Południe jest bogatsze i dostarczy mu metali, żywności...

— Statków i ludzi! — rzucił Kargan.

— Ha! Więc myślisz, że już planujemy zdradę! — Hozel spojrzał wpierw na Elryka, potem na Kargana. — Więc po co w ogóle nas tu wzywano?

— Ja tego nie powiedziałem — pospiesznie przypomniał Elryk. — Kargan mówił za siebie, nie za nas wszystkich. Uspokójcie się, musimy się zjednoczyć lub inaczej zmieciecie nas potężniejsza armia, wspomagana nadprzyrodzonymi siłami!

— Och, nie! — Hozel odwrócił się do innych monarchów z Południa. — Co mi powiecie, moi panowie? Czy użyjemy im swoich statków i wojowników dla ochrony ich i naszych wybrzeży?

— Nie wtedy, gdy odnoszą się do nas z taką pogardą — wymamrotał Jerned. — Niech Jagreen Lern straci swą energię na podbój Wschodu. Gdy spojrzysz na Południe, będzie osłabiony, my natomiast będziemy gotowi wtedy do walki!

— Głupcy! — ryknął Elryk. — Przyłączcie się do nas lub wszyscy zginiemy! Za Teokrata stoją Władcy Chaosu. Jeżeli uda mu się zaspokoić swoje ambicje, to będzie więcej niż czas władzy intryganta i tyrana, to będzie znaczyło, że wszyscy zostaniemy poddani przerażającej totalnej anarchii na Ziemi i ponad nią. Cały rodzaj ludzki jest zagrożony!

Hozel stał nieprzekonany.

— Więc niech rodzaj ludzki się broni, ale niech nie walczy pod dowództwem nieludzkiego przywódcy. Jest powszechnie wiadome, że Melnibonéanie nie są prawdziwymi ludźmi.

— Niech więc tak będzie — Elryk zwiesił głowę i wyciągnął swą chudą białą rękę w stronę Hozela. Król poruszył się niespokojnie i stał na miejscu z widocznym wysiłkiem. — Ale ja wiem więcej, Hozelu z Argimiliar. Wiem, że ludzie z Młodych Królestw zostali stworzeni jedynie na próbę. Jesteście tylko cieniami, które poprzedzają rasę autentycznych ludzi, tak jak my poprzedzaliśmy was. I wiem jeszcze więcej! Wiem, że jeśli nie pokonamy Jagreena Lerna i jego nadprzyrodzonych sojuszników, ludzie zostaną starci z powierzchni rozszalałej planety i ich przeznaczenie nigdy się nie dopełni!

Hozel przełknął ślinę i przemówił drżącym głosem.

— Spotykałem się już z takimi jak ty na rynkach, Elryku. Z ludźmi, przepowiadającymi różnego rodzaju zagłady, które jednak nigdy się nie spełniają. Z ludźmi, z których oczu wyziera obłąd. Ale nie pozwalamy im żyć w Argimiliar. Przypiekamy ich powoli żywym ogniem, aż przyznają, że ich przepowiednie były fałszywe! Może i teraz tak jest! — Hozel odwrócił się na pięcie i prawie wybiegł z sali. Przez chwilę inni władcy Południa stali niezdecydowani, patrząc za Hozelem.

— Nie zwracajcie na niego uwagi, moi panowie. Przysięgam na życie, że moje słowa są prawdziwe! — pospiesznie powiedział Elryk.

— To niewiele jeszcze znaczy. Wieści mówią, że jesteś nieśmiertelny — powiedział Jerned półgłosem.

Moonglum podszedł do swojego druha i wyszeptał:

— To banda niedowiarków. Jasne, że to nie nasi ludzie.

Elryk kiwnął głową na znak zgody i takimi słowy odezwał się do Południowców:

— Wiedźcie, że chociaż tak głupio odrzucacie moją propozycję sojuszu, nastanie dzień, kiedy pożałujecie swej decyzji. Zostałem znieważony w moim własnym pałacu, obrażono moich przyjaciół; przeklinam waszą głupotę. Lecz kiedy nadejdzie czas i zrozumiecie swoje błędy, przysięgam, że wspomóżemy was, jeżeli tylko będzie to jeszcze w naszej mocy. Teraz idźcie stąd!

Zmieszani Południowcy w ciszy niespiesznie opuścili salę.

Elryk spojrział na Kargana Ostrookiego.

— Jak zdecydowałaś, panie?

— Jesteśmy z tobą — Kargan powiedział po prostu. — Mój brat, Smiorgan Baldhead, zwany Łysogłowym, zawsze dobrze się o tobie wyrażał i to jego słowa utkwiły mi w pamięci, a nie plotki powstałe po tym gdy zginął, walcząc pod twoim dowództwem. Co więcej — Kargan uśmiechnął się od ucha do ucha — taki już mamy charakter, że cokolwiek chuchra z Południa postanowi, uznajemy za błędne. Możesz uważać Purpurowe Miasta za swoich sojuszników. Nasze statki, chociaż nie tak liczne jak Południowców, są szybkie i zwrotne oraz dobrze przygotowane do wojny.

— Muszę cię jednak przestrzec, że niewielkie są nasze szanse, skoro nie otrzymani wsparcia Południowej Floty — odezwał się Elryk ponuro.

— Wątpliwe, żeby ich pomoc mogła być czymś więcej nad niepotrzebne obciążenie, spowodowane kłótniami i podejrzliwością — odpowiedział Kargan. — A poza tym, czy magia nas nie wspomogę?

— Jutro zamierzam się tym zająć — odparł Elryk.

— Zostawiam tu Dyvima Slorma jako głównodowodzącego, ponieważ razem z Moonglumem udajemy się na Wyspę Czarodziei, znajdującą się w pobliżu Melniboné. Możliwe, że tam, pomiędzy pustelnikami praktykującymi Białą Sztukę, znajdzie sposób na skontaktowanie się z Władcami Prawa. Jak wiecie, zwalczam Chaos, chociaż jestem w połowie jego poddanym, lecz ostatnio mój opiekun niechętnie, o ile w ogóle, wspiera mnie swoją potęgą. Władcy Prawa są teraz bardzo osłabieni, pokonani tak jak my tu na Ziemi, przez rosnących w siłę Czarnych Władców. Ciężko nawiązać kontakt z naszymi sprzymierzeńcami. Być może pustelnicy pomogą mi w tym zadaniu.

— Przyznaję, że odetchnęlibyśmy z ulgą w Purpurowych Miastach, wiedząc, że czarne moce nie będą naszym sojusznikiem — przytaknął Kargan.

— Zgadzam się, oczywiście — Elryk zmarszczył brwi. — Ale nasza sytuacja jest tak beznadziejna, że musimy zaakceptować każdą pomoc, bez względu na jej kolor. Myślę, że między Władcami Chaosu toczy się ciągły spór, jak daleko mogą się posunąć. To dlatego część pomocy dostaję z Chaosu. Ten miecz, który wisi u mojego boku, jak i Żałobne Ostrze, które nosi Dyvim Slorm, są tworem Zła. Zostały wykute przez stwory z piekieł, a ich celem jest zakończenie władzy złych mocy na Ziemi. I tak jak moi sprzymierzeńcy są podzieleni, również podzieleni są sprzymierzeńcy tych oto runicznych mieczy. Nie mamy nadprzyrodzonych sojuszników, którym moglibyśmy bezgranicznie ufać.

— Współczuję ci — mruknął Kargan i widać było, że czuł to, co powiedział. Żaden człowiek nie mógł zazdrościć w tej sytuacji Elrykowi, ani zazdrościć mu jego przeznaczenia.

— Udamy się teraz na spoczynek. Czy w pełni ufasz przynajmniej swojemu

krewniakowi? — Orgon zapytał bez ogródek.

Elryk popatrzył na Dyvima i uśmiechnął się.

— W pełni mu ufam, wie o sprawie tyle, co ja. Będzie mówił w moim imieniu, ponieważ zna moje podstawowe plany.

— Bardzo dobrze. W takim razie naradzimy się z nim jutro i jeżeli nie zobaczymy się przed twoim wyjazdem, zrób, co w twojej mocy na Wyspie Czarodziei.

Z tymi słowami Ludzie Morza opuścili salę. Teraz po raz pierwszy przemówił Regent Vilmir. Jego głos brzmiał dźwięcznie i chłodno.

— Elryku, my również ufamy tobie i twojemu krewnemu. Vilmir ma ku temu dobre powody, pamiętając wasze wyczyny w Bakshaan i w innych miejscach. Znamy was jako zręcznych wojowników i mądrych dowódców. Uważam, że powinniśmy teraz zapomnieć o dawnych żalach — spojrzął na Książęcych Kupców, którzy przytaknęli z aprobatą.

— Dobrze — powiedział albinos. Przemówił teraz do Czerwonego Łuczniaka o posępnej twarzy. Był to jego przyjaciel, Rackhir, który mu dorównywał sławą.

— Przyszedłeś do nas jako rzecznik Tanelorn, Rackhirze. Nie pierwszy raz wspólnie walczyliśmy z Władcami Chaosu.

— Prawda — przytaknął Rackhir. — Niedawno, z pomocą Szarych Władców, oddaliśmy zagrożenie ze strony Zła, lecz jego słudzy sprawili, że dostęp do Szarych Władców stał się niemożliwy dla śmiertelników. Możemy zaoferować ci jedynie nasz oręż i wojowników.

— Będziemy wdzięczni i za to — Elryk zaczął przechadzać się po podwyższeniu. Nie było potrzeby pytać o decyzję panów z Karlaaku i innych miast Ilmiory, ponieważ bez względu na wynik tego zgromadzenia, oni dali mu bezgraniczne poparcie, na długo przedtem, zanim inni władcy zostali wezwani.

Tak samo wyglądała sprawa z jasnolicymi uciekinierami z Zachodu. Na ich czele stał Viri-Sek, skrzydlaty młodzieniec z Myyrrhn, ostatni z rodu. Wszyscy pozostali członkowie królującej rodziny zostali zgładzeni przez sługi Jagreena Lerna.

Tuż za murami Karlaak powstało morze namiotów, nad którymi w wilgotnym i gorącym wietrze ospale powiewały sztandary wielu narodów. Elryk wiedział, że właśnie w tej chwili dumni władcy Południa zwijali swoje proporce i składali namioty. Zajęci swoimi czynnościami, nie zwracali uwagi na sponiewieranych wojną żołnierzy z Shazaru, Jharkoru i Tarkesh, którzy patrzyli na nich zdziwieni. Sam widok weteranów wojennych powinien był przekonać Południowców do zjednoczenia ze Wschodem, tak się jednak nie stało.

Elryk westchnął i odwróciwszy się tyłem do wszystkich, rozmyślał nad wielką mapą świata.

— Na razie tylko czwarta część jest zacieniowana — powiedział cicho do Moongluma — lecz czarny przyptyw wdziera się coraz dalej i wkrótce może nas pochłoniąć.

— Wstrzymamy jego napór lub zginiemy, ale nie będziemy biernie czekać — powiedział Moonglum z udaną beztroską w głosie. — Zanim wyruszymy, twoja żona chciałaby zapewne spędzić z tobą trochę czasu. Chodźmy do łóżek, w nadziei, że nie przyśnią się nam koszmary!

Rozdział 2

Dwa dni później Elryk i Moonglum stali na nabrzeżu w mieście Jadmar. Wiał zimny, przenikliwy wiatr od morza.

— Tam stoi, patrz — Elryk wskazał łódkę podskakującą na wodzie.

— Niewielki statek — określił ją Moonglum. — Nie wygląda na morski.

— Podczas sztormu utrzyma się na wodzie o wiele lepiej niż duży — powiedział Elryk, schodząc w dół po metalowych stopniach, a gdy Moonglum poszedł w jego ślady, dodał: — I nie będzie się tak rzucać w oczy, gdybyśmy napotkali wrogi okręt.

Skoczył na pokład, który zakotłosał się mocno. Elryk przechylił się i sięgnawszy stopnia przytrzymał łódź, by jego towarzysz mógł wygodnie wejść.

Moonglum odgarnął ręką zmierzwione włosy i spojrzał na niebo.

— Zła pogoda, jak na tę porę roku — zauważył. — Nie pojmuję tego. W drodze z Karlaak spotkaliśmy wszystkie rodzaje pogody: zawieje śnieżne, burze z przeraźliwymi piorunami, gradobicie i wiatr gorący jak ogień. I jeszcze te pogłoski o deszczu krwi w Bakshaan, o płonących metalowych kulach spadających na tereny Zachodniego Vilmiru, o bezprecedensowych trzęsieniach ziemi w Jadmar, na kilka godzin przed naszym przyjazdem. Wygląda na to, że przyroda zwariowała.

— Jesteś bliżej prawdy niż ci się wydaje — powiedział Elryk pochmurnie, zdejmując cumę. — Postaw żagiel.

— Co masz na myśli? — zapytał Moonglum, luzując żagiel, który łopotał na wietrze i tłumiał jego głos. — Zastępy Jagreena Lerna nie dotarły jeszcze do tej części świata.

— Nie musiały. Powiedziałem ci, że panująca w przyrodzie równowaga została zachwiana przez Chaos. To co przeżyliśmy było tylko namiastką tego, co się dzieje na Zachodzie. Jeżeli myślisz, że ta pogoda jest dziwna, będziesz przerażony widząc, co się dzieje na terenach objętych całkowitą władzą Zła!

— Zastanawiam się, czy tym razem nie wzięłeś za dużo na swoje barki. — Moonglum wybrał żagiel, który wyrzucił się gładko i poniósł łódź między dwoma długimi nabrzeżami wprost na otwarte morze.

Gdy mijali migoczące na wietrze latarnie, Elryk mocniej złapał rumpel i obrał kurs południowo-wschodni, okrążając półwysep Vilmir. Ponad ich głowami zimny nienaturalny wiatr gonił postrzępione chmury, które zasłaniały świecące gwiazdy. Rozbryzgi wody smagneły go po twarzy, jak tysiące użądleń, ale Elryk nie zwrócił na to uwagi. Nie odpowiedział również na pytanie Moongluma, ponieważ sam miał wątpliwości, czy był w stanie ocalić świat przed Chaosem.

Jego towarzysz dawno już nauczył się rozpoznawać nastroje Melnibonéanina. Przez kilka lat podróżowali razem po świecie i darzyli się wzajemnie szacunkiem. Ostatnio, odkąd Elryk prawie na stałe osiadł w Karlaak ze swoją żoną, Moonglum kontynuował podróże i objął dowództwo nad niewielkim oddziałem najemników. Ich zadaniem było patrolowanie Południowego pogranicza Pikarayd i przeganianie band barbarzyńców, zamieszkujących tereny przygraniczne. Po usłyszeniu wezwania Elryka porzucił to i znalazł się oto na niewielkiej łódeczce, która niosła ich ku mglistej, obfitującej w niebezpieczeństwa przyszłości. Ponownie poczuł znajome uczucie podniecenia i niepokoju, które towarzyszyło mu, ilekroć razem wyruszyli zwalczać niepojęte nadprzyrodzone siły. Jego los był ściśle powiązany z losem Elryka. Moonglum uważał to za coś normalnego, połączyło ich Przeznaczenie i w głębi serca czuł, że kiedy nadejdzie czas, zginą razem podczas dokonywania wielkich czynów.

Czy śmierć była bliska? — zastanawiał się. Wiał porywisty wiatr i trzeba było ciągle kontrolować żagiel. — Nie za bardzo, ale nie była też zbyt odległa — myślał w fatalistycznym nastroju. Zbliżał się czas, gdy jedyne działania ludzi, wielkie i desperackie czyny, nie będą już w stanie powstrzymać napierających stworów z Chaosu.

Elryk natomiast nie myślał o niczym, chciał mieć umysł świeży i wypoczęty. Poszukiwanie pomocy u Władców Prawa mogło się okazać owocnym, ale wołał się nie cieszyć, póki nie będzie pewien, że uzyska wsparcie.

Od horyzontu nadszedł poranek ukazując im falujący przestwór szarej wody bez skrawka lądu w zasięgu wzroku. Wał purpurowych chmur, poprzecinanych siecią szafranowych i szkarłatnych żył, wznosił się nad ich głowami jak dym z ogromnego stosu. Wkrótce zaczęli się pocić pod wpływem gorącego słońca. Wiatr osłabł, zapanowała cisza, a jednak w tym samym czasie woda zaczęła falować, jak gdyby szalał sztorm.

Morze rzucało się niczym żywe stworzenie, któremu śnią się koszmary. Moonglum spojrział na Elryka ze swojego miejsca na dziobie. Melnibonéanin odwzajemnił spojrzenie, kręcąc głową i rozluźniając nieświadomie zaciśniętą na rumplu dłoń. Sterowanie w takich warunkach na nic by się nie zdało. Dzikie fale miały łądzią, jednak ani kropla nie spadła na pokład ani na nich. Wszystko stało się nie-realne, jak we śnie i przez chwilę Elrykowi wydawało się, że nawet gdyby chciał, nie mógłby wymówić słowa.

Wtem, pierwiej gdzieś z daleka, doleciało ich niskie buczenie, po chwili zmie-

niło się w przenikliwy pisk i ni stąd, ni zowąd ich łódź pomknęła w powietrze, zlatując po sekundzie w dolinę fali. Ponad ich głowami srebrnoniebieska woda wyglądała niby ściana metalu, która raptownie runęła w dół, prosto na nich.

Wyrwany z odrętwienia Elryk złapał się kurczowo rumpla i wrzasnął:

— Łap się łodzi, Moonglum! Trzymaj się, albo zginiesz!

Woda z rykiem runęła w dół i przygniotła ich swoim ciężarem. Mały statek zanurzał się coraz głębiej i głębiej. Kiedy wydawało się, że siła uderzenia już, już rozpląszczy ich na dnie, zaczęli się wynurzać i wyskoczyli na powierzchnię wrzącej wody. Gdy ponownie się zagłębili i wynurzyli, Elryk zauważył trzy wznoszące się w płomieniach i rzygające lawą góry. Zaczęli w panice wylewać wodę z na wpół zatopionej łódki, którą znosiło ku nowo powstałym wulkanom.

Po chwili zmagania z wodą Elryk rzucił się na ster i skierował go w przeciwną stronę. Łódka opornie popłynęła w odwrotnym kierunku. Moonglum w tym czasie próbował rozwinąć zmoczony żagiel. Albinos spojrzął na niebo starając się wyznaczyć ich położenie, lecz słońce, powiększywszy swą objętość, pękło jak balon i jego światło rozbite na miliony drobiny świeciło wszędzie dookoła.

— Moonglumie, to sprawka Chaosu! — krzyknął. — I to jedynie przedsmak tego, co jeszcze może nastąpić!

— Wiedzą o naszym zamierzeniu i próbują nas powstrzymać! — odkrzyknął Moonglum, ścierając wierzchem dłoni pot, zalewający mu oczy.

— Być może, jednak w to wątpię — Melnibonéanin ponownie spojrzął w górę i słońce wydawało się zupełnie normalne. Ustalił położenie statku i stwierdził, że zbczyli wiele mil z obranego kursu. Zamierzał opłynąć wyspę Melniboné od południa i ominąć tym samym Morze Smoków. W tych wodach, jak było powszechnie wiadomo, po dziś dzień roiło się od olbrzymich morskich potworów. Teraz jednak stało się oczywistym, że ich łódź znajdowała się powyżej Melniboné, wciąż znoszona na północ, ku wyspie Pan Tang!

Nie mieli szans, żeby skierować się w kierunku Melniboné, a Elryk zastanawiał się, czy Smocza Wyspa przetrzymała ten wstrząs. Powinien więc teraz płynąć prosto na Wyspę Czarodziei.

Ocean się trochę uspokoił, lecz woda osiągnęła prawie punkt wrzenia i każda kropla spadająca na nieosłoniętą skórę parzyła jak wrzątek. Na powierzchni tworzyły się olbrzymie bąble i wydawało się, że płyną w gigantycznym kotle jakiejś wiedźmy. Taflę oceanu pokryły zdechłe ryby i różne dziwaczne stwory. Zwłoki utworzyły gruby dywan na powierzchni, grożąc zatrzymaniem łodzi. W porę zaczął wiać silny wiatr i grymas ulgi rozjaśnił twarz Moongluma, gdy żagiel wybrzuszył się, popychając łódź.

Powolutku przedzierając się przez kobierzec trupów stateczek popłynął w kierunku północno-zachodnim ku Wyspie Czarodziei. Widoczność pogorszyły chmury pary, tworzące się nad oceanem.

Minęło wiele godzin, zanim zostawili poza sobą gorące wody i nareszcie pły-

nęli pod czystym niebem i po spokojnym morzu. Pozwolili sobie na drzemkę, bo dawały się im we znaki ostatnie przeżycia. Nim minie dzień, znajdą się u celu.

Elryk gwałtownie otworzył oczy. Był pewien, że nie spał długo, jednak niebo było ciemne i padał chłodny deszcz. Krople spadające na głowę i twarz ściekały jak kleista galareta. Parę kropel spadło mu na usta i podrażniło gorzkim smakiem. Szybko wypluł to świństwo.

— Moonglumie! — krzyknął w otaczający mrok. — Która godzina?

— Nie wiem. Ale przysięgłbym, że jeszcze nie ma nocy — odpowiedział przyjaciel zaspanym głosem.

Elryk napał na rumpel, ale bez żadnego efektu. Spojrzał za burzę i wydało mu się, że żeglują przez samo niebo. Naokoło kadłuba unosił się gaz, lekko rozświetlony światłem. Wody nie było widać.

Zadrzał. Czyżby opuścili granice Ziemi i żeglowali teraz po jakimś okropnym niezemskim morzu?

Przeklął siebie za to, że zasnął. Czuł się bezsilny, bardziej niż podczas sztormu. Ciężkie galaretowate krople uderzały mocno, więc naciągnął kaptur na głowę. Z woreczka przy pasie wyciągnął hubkę i krzesiwo. Niewielki płomyczek ukazał przerażone oczy jego towarzysza. Na twarzy Moongluma malował się strach. Jeszcze nigdy nie widział takiej zgrozy na obliczu przyjaciela. Wiedział, że bez samokontroli wyglądałby podobnie.

— Nasz czas nadszedł — zatrząsł się Rudowłosy. — Boję się, Elryku, że już jesteśmy martwi.

— Nie gadaj takich bzdur, Moonglumie. Nigdy nie słyszałem o życiu pozagrobowym takim jak to — rzekł, ale w duchu obawiał się, czy Moonglum przypadkiem nie miał racji.

Łódź poruszała się dość szybko w morzu gazu, jakby przyciągana płynęła ku nieznanemu przeznaczeniu. Elryk mógł jednak przysiąc, że Władcy Chaosu nie wiedzieli nic o tym statku.

W końcu, ku wielkiej uldze, usłyszeli plusk wody pod kilem i wypłynęli na słone morze. Galaretowaty deszcz towarzyszył im jeszcze przez jakiś czas, ale i on wkrótce ustał.

Elwheryjczyk westchnął, gdy światło z wolna wyparło ciemności i zobaczyli wokół siebie najnormalniejszy ocean.

— Co to było? — odważył się w końcu na pytanie.

— Następne szaleństwa wzburzonej przyrody — odpowiedział Elryk z udawanym spokojem. Może jakaś wyrwa w barierze między królestwem ludzi a królestwem Chaosu? Mieliśmy wiele szczęścia, wychodząc z tej przygody nietknięci. Znów zboczyliśmy z kursu i — wskazał na horyzont — sztorm się zbliża.

— Normalny sztorm mogę zaakceptować, bez względu na to, jak niebezpiecz-

ny — wymamrotał Moonglum i zwinawszy żagiel, poczynił przygotowania przed burzą. Wiatr przybrał na sile, miotając łodzią wśród fal.

Elryk nawet ucieszył się, gdy burza w końcu do nich dotarła. Przynajmniej podlegała prawom natury i można było się jej przeciwstawić za pomocą zdobytego wcześniej doświadczenia.

Deszcz odświeżył twarze, wiatr targał włosy, a Elryk i Moonglum stojąc w dzielnym stateczku i odczuwając dziką przyjemność, zmagali się z nieokiełznanym żywiołem.

Jednak wciąż dryfowali na pomocny wschód do podbitego Shazaru, w przeciwnym kierunku niż zamierzali.

Piekielny sztorm szalał tak długo, aż wszystkie myśli o przeznaczeniu i nieziemskim niebezpieczeństwie zostały wymazane z ich pamięci. W mokrych i zziębniętych ciałach czuli tylko zwykły ból mięśni.

Łódka bujała się i kręciła, ręce bolały od ściskania mokrych lin, ale wyglądało na to, że Przeznaczenie wyznaczyło im dłuższe życie, lub przynajmniej nie tak banalną śmierć. Statek wciąż trzymał się na powierzchni i płynął po wzburzonym morzu.

Wtem Elryk oniemiał na widok, który rozpostarł się przed nimi, a Moonglum krzyknął:

— Wężowe Kły!

Kły Węża sterczały w pobliżu Shazaru i handlarze z Zachodu, pływający wśród przybrzeżnych wód, obawiali się tych wystających skał najbardziej. Dwaj przyjaciele widywali je w przeszłości z daleka, lecz teraz sztorm pchał ich prosto na nie. Zmagali się, by zmienić kierunek, ale na próżno. Spotkanie zdawało się nieuniknione, jak również śmierć na ostrych, wyszczerbionych krawędziach skał.

Nadpłynęła duża fala, unosząc łódź do góry. Zanim zdążyła rzucić ich na kamienie, Elryk usłyszał ponad hukiem morza przeraźliwy krzyk Moongluma:

— Żegnaj!

Rozległ się dźwięk rozrywanego drewna i albinos poczuł jak ostre skały kalczą jego spadające ciało. Znalazłszy się pod wodą, zaczął płynąć w kierunku powierzchni. Zdążył zaczerpnąć potężny haust powietrza, zanim porwała go następna fala i ocierając o skałę zdarła skórę z jego ramienia.

Runiczny miecz ciążył mu okrutnie, gdy desperacko próbował dopłynąć do brzegu. Był świadom, że nawet jeżeli przeżyje, to znajdzie się na terenie wroga i jego szansę porozumienia się z Władcami Prawa zmaleją do zera.

Rozdział 3

Wyzuty z sił Elryk leżał na zimnym piachu, przysłuchując się szmerzącej wodzie.

Wśród tego dźwięku pojawił się inny. Był to chrzęst butów. Ktoś się zbliżał. Prawdopodobnie nieprzyjaciel. Elryk przewrócił się na brzuch, próbując wstać. Zebrawszy resztkę sił, jaka mu została, sięgnął po miecz. Lecz zanim wyciągnął go zupełnie, zdał sobie sprawę, że stoi przed nim zgięty wpół Moonglum.

— Bogom niech będą dzięki, ty żyjesz! — uśmiechnął się i wyczerpany padł obok Melnibonéanina. Usiedli podparci rękoma, spoglądali na spokojne teraz morze i majaczące w oddali Wężowe Kły.

— Zgadza się, żyjemy — odezwał się Elryk, podnosząc się i rozglądając dookoła. — Ale jak długo będziemy w stanie unikać śmierci w tym zrujnowanym kraju, tego nie wiem. Musimy znaleźć jakiś statek, a to oznacza, że trzeba udać się do miasta, gdzie nas rozpoznają z łatwością.

Moonglum pokręcił głową i zaśmiał się cicho.

— Przyjacielu, ty wciąż jesteś pesymistą. Powiadam ci, póki co, cieszymy się, że żyjemy.

— Niewielki z tego pożytek, jak na razie — odpowiedział Elryk. — Odpocznij teraz, a ja będę czuwać. Potem się zamienimy. Gdy wyruszyliśmy, nie było chwili do stracenia, a teraz straciliśmy już wiele dni.

Moonglum nie odpowiedział, natychmiast zapadł w sen. Wyruszyli, gdy księżyc wisiał już wysoko.

Szli mozolnie, oświetleni blaskiem miesiąca. Wybrzeże porośnięte trawą zostało z wolna wyparte przez mokrą czarną ziemię. Wyglądało to tak, jak gdyby ten teren stał w płomieniach, a potem przeszła tędy burza deszczowa, pozostawiając po sobie bagno popiołu. Wspomniawszy bujną trawę porastającą okolicę, Elryk czuł żal i strach i nie potrafił zgadnąć, czy była to sprawka ludzi czy stworów z Chaosu.

Dochodziło południe, na niebie kłębiły się jasne chmury, gdy Elryk i Moonglum zobaczyli zbliżających się ludzi. Położyli się na wzniesieniu, obserwując nadchodzących bacznie. To nie było wojsko nieprzyjaciela, lecz wychudzone, za-

głodzone kobiety i dzieci, które zataczając się, brnęły do przodu. Towarzyszyło im kilku wynędzniałych rycerzy z armii walczących przeciw Pan Tang.

— Myślę, że znajdziemy wśród nich przyjaciół — wyszeptał Elryk z ulgą. — Może dowiemy się też czegoś ważnego.

Powstali i ruszyli ku nieznanym. Jeźdźcy, gdy tylko ich zobaczyli, sformowali szyk wokół gromady i dobyli mieczy. Zanim jednak doszło do starcia, z tłumu doleciał ich krzyk:

— Elryk z Melniboné! Elryku! Czy wróciłeś do nas z wieścią o wybawieniu?

Ten, do którego skierowane były słowa, nie rozpoznał głosu mówiącego, ale wiedział, że jego białą skórę i czerwone oczy wszyscy znali z legendy.

— W tej chwili ja sam go potrzebuję, przyjaciele — odpowiedział ze sztuczną wesołością. — Nasza łódź rozbiła się przy waszym wybrzeżu. Podjęliśmy się misji wybawienia tych ziem spod jarzma Jagreena Lerna, ale dopóty, dopóki nie znajdziemy jakiegoś okrętu, nasze szanse są nikłe.

— W którym kierunku żeglowaliście, Elryku? — zapytał głos z grupy.

— Płynęliśmy na południowy zachód, na Wyspę Czarodziei, żeby pozyskać stamtąd pomoc Władców Prawa — odpowiedział Moonglum.

— Więc płynęliście w złym kierunku!

Elryk wyprostował się i spojrzał na ludzi, próbując wzrokiem odnaleźć swojego rozmówcę.

— Kim jesteś, że tak twierdzisz?

Nastąpiło małe poruszenie i na czoło gromady wysunął się zgarbiony mężczyzna w średnim wieku. Stał oparty na kijku. Jego bladą twarz ozdabiały ogromne wąsy.

— Nazywają mnie Ohada Jasnowidz. Kiedyś byłem sławny w Dioperdii jako prorok przyszłych wydarzeń. Ale Dioperdia została zrównana z ziemią. Ja razem z tymi ludźmi ledwo z życiem uszliśmy. Przynoszę ci, Elryku, wiadomość wielkiej wagi. Jest ona poufna, a dostałem ją od tego, kogo znasz, od tego, który może ci pomóc i pośrednio również nam.

— Wzbudziłeś moją ciekawość i napełniłeś moje serce nadzieją — Elryk skinął na niego ręką. — Podejdz do mnie i przekaz mi swoją wiadomość. Miejmy nadzieję, że się nie zawiodę na twoich słowach.

Moonglum wycofał się parę kroków i z resztą ludzi patrzył z zaciekawieniem jak Ohada szeptał coś Elrykowi.

Ten ostatni musiał wytężyć słuch, żeby wszystko dokładnie usłyszeć.

— Przynoszę ci wieści od Sepiriza. On dokonał tego, czego tobie dokonać się nie udało, ale jest coś, co tylko ty jesteś w stanie zrobić. Polecił, żebyś pojechał do Nihrain. Tam dowiesz się wszystkich szczegółów.

— Sepiriz! Jak on się z tobą skontaktował?

— Jestem jasnowidzem. Pojawił się w moim śnie.

— Może to podstęp, żeby wydać mnie w ręce Jagreena Lerna.

— Sepiriz powiedział mi, że spotkamy się dokładnie w tym miejscu. Czy Jagreen Lern wiedziałby o tym?

— Mało prawdopodobne, by ktokolwiek mógł o tym wiedzieć.

Po chwili Elryk przypomniał sobie, że Sepiriz i jego bracia, którzy mu wcześniej pomogli, byli sługami Przeznaczenia. A ono odegrało już ważną rolę w tym wszystkim. Kiwnął głową.

— Dzięki, Proroku — powiedział i głośno krzyknął. — Potrzebujemy pary koni, najlepszych jakie macie!

— Te konie są dla nas bardzo cenne — mruknął jeden z rycerzy w poszarpanej zbroi — one są wszystkim, co mamy.

— Mój towarzysz i ja musimy poruszać się szybko, jeżeli mamy ocalić wasz kraj. Dalej, zaryzykujcie parę koni dla naszego i waszego dobra.

Dwaj rycerze zsiadli z wierzchowców, podprowadzili je do Elryka i Moongluma.

— Zrób z nich dobry użytek, Elryku. Melnibonéanin wziął cugle i wskoczył na siodło.

— Możesz być tego pewien — powiedział. — Jakie są wasze plany?

— Będziemy dalej walczyć. Najlepiej jak potrafimy.

— Czy nie byłoby rozsądniej ukryć się gdzieś wysoko w górach, lub w Mglistych Moczarach?

— Gdybyś był świadkiem deprawacji i terroru, panujących pod rządami Jagreena Lerna, nie mówiłbyś tak — odpowiedział rycerz z pustką w głosie. — Jego słudzy są w stanie rozkazywać samej ziemi, żeby falowała jak ocean, mogą spuszczać z nieba powódzie słonej wody i wysyłać zielonkawe obłoki trujące bezbronne dzieci. I jakkolwiek nie możemy mieć nadziei na zwycięstwo nad takim człowiekiem, będziemy się na nim mścić, jak tylko się da! Ta część kontynentu jest spokojna w porównaniu z tym, co się dzieje gdzie indziej. Wszędzie zachodzą straszliwe zmiany. Nie rozpoznałbyś wzgórza ani lasu dziesięć mil na północ. A tereny, które pozostawiłeś za sobą, już jutro mogą się zmienić lub zniknąć.

— Przeżyliśmy coś podobnego na morzu — Elryk kiwnął głową. — Życzę wam wielu zemst i długiego życia, przyjaciele. Ja mam porachunki do wyrównania z Jagreenem Leniem i jego współnikiem.

— Wspólnikiem? Masz na myśli króla Dharijoru, Sarosta? — na wychudłej twarzy rycerza pojawił się nieznaczny uśmiech. — Na nim już się nie zemścisz. Został zamordowany wkrótce po rozbiciu naszych sił w bitwie pod Seąa. Choć niby nie jest to pewne, wszyscy wiedzą, że go zarżnięto na rozkaz Teokraty, który rządzi teraz całym kontynentem — rycerz westchnął. — A kto może przeciwstawić się kapitanom, którymi dowodzi Jagreen Lern?

— Kim oni są?

— No jakże, Teokrata zwołał do siebie wszystkich Książąt z Piekieł. Jak długo będą się go słuchać, nie wiem. Mówi się, że następnym w kolejce do śmierci jest

właśnie Teokrata, a potem Piekło nieposkromione zajmie jego miejsce!

— Mam nadzieję, że nie — Elryk powiedział cicho — ponieważ nie pozwolę, żeby odebrano mi moją zemstę.

— Z pomocą Książąt z Piekieł, Jagreen Lern wkrótce zapanuje nad światem — rycerz wzruszył ramionami.

— Myślę, że uda mi się usunąć Zło i zabić Jagreena Lerna — powiedział Elryk i skinąwszy im w podzięce, razem z Moonglumem skierowali swe konie w kierunku gór Jharkor.

Niewiele odpoczynku zaznali podczas niebezpiecznej drogi ku górze Sepiriza. Rycerz, z którym rozmawiali, miał rację, gdy mówił, że ziemia poruszała się jak żywa i wszędzie panowała anarchia.

Z tej podróży w pamięci Elryka zostały tylko obrazy przerażenia, piekielne odgłosy, ciemne odcienie złota, czerwieni, błękitu i czerni oraz wszechobecna oznaka Chaosu na Ziemi — jaskrawy pomarańcz.

Podczas drogi Melnibonéanin zdołał poinformować Moongluma o poprzednim spotkaniu z Sepirizem, o swoim przeznaczeniu i o dwóch ostatnich potomkach królewskiego rodu Melniboné, Elryku i Dyvimie Slormie, którzy używając mieczy wykutych w Chaosie, mają obalić rządy zła na Ziemi i przygotować ją do odrodzenia się w nowych czasach, w erze Prawa.

Moonglum nic nie powiedział, lecz zdecydował się wytrwać przy boku Elryka aż do samego końca, jakikolwiek by był.

Gdy dojeżdżali do Nihrain, zobaczyli, że w górzystej krainie Chaos nie sprawował całkowitych rządów. To dowodziło, że Sepiriz wraz z jego dziewięcioma braćmi wciąż włada okolicą, powstrzymując napierające siły Piekła.

Zdradliwe ścieżyny prowadziły ich poprzez głębokie wąwozy o stromych ścianach. Schodzili po zboczach, a spod nóg leciały kamienie, grożąc lawiną. Parli wciąż głębiej i głębiej do serca starożytnych gór. To był najstarszy łańcuch na świecie, w jego głębi kryła się jedna z pradawnych tajemnic — królestwo nieśmiertelnych Nihrain, którzy przez wiele wieków sprawowali rządy, jeszcze zanim pojawili się Melnibonéanie i wzniesli swoje Świetlane Imperium.

W końcu dotarli do miasta ukrytego w bezdennej otchłani. Pałace, świątynie i fortece wyciosane w litym czarnym granicie znajdowały się tu od zarania czasów. Miasto było tak głęboko schowane, że nie dochodziło doń nawet wspomnienie słonecznego światła.

W dół po wąskich ścieżkach prowadzili odporne rumaki, aż dotarli do ogromnej bramy. Po obu jej stronach, górując nad nimi, stały wyciosane w kamieniu figury gigantów i półludzi. Moonglum umilkł, onieśmielony potęgą i geniuszem tych, którzy stworzyli to dzieło.

Sepiriz oczekiwał ich w pieczarach, gdzie bogate reliefy ukazywały sceny z nihraińskich legend. Na jego twarzy jaśniał uśmiech.

— Witaj, Sepirizie — Elryk zsiadł z konia i podał cugle sługom. Moonglum ostrożnie uczynił to samo.

— Widzę, że moje informacje się sprawdziły — Sepiriz wziął Elryka w ramiona. — Dowiedziałem się, że próbowaliście się dostać na Wyspę Czarodziei, by uzyskać tam pomoc Władców Prawa.

— Prawda. Czy taka pomoc jest nieosiągalna?

— Jeszcze nie. My sami przy pomocy pustelników z wyspy próbujemy się z nimi skontaktować, ale na razie Chaos udaremnia wszystkie nasze próby. Dla ciebie jest jednak zadanie o wiele bliżej domu. Chodźcie do moich komnat i odświeżcie się. Mam wino, które postawi was na nogi, a kiedy zaspokoicie swoje potrzeby, powiem jakie zadanie przygotowało teraz Przeznaczenie dla Elryka.

Albinos odstawił kubek i wziął głęboki oddech, czując się teraz odprężony i wzmocniony. Wskazał na dzban z winem i rzekł:

— Pijąc ten napój można łatwo wpaść w nałóg!

— Ja już się stałem nałogowcem — uśmiechnął się Moonglum, nalewając sobie jeszcze jeden kubek.

— To nasze wino ma dziwne właściwości — Sepiriz potrząsnął głową. — Ma dobry smak i przywraca siły strudzonym, lecz gdy człowiek odzyska już siły, trunk przyprawia o przykre zawroty głowy. Właśnie dlatego wciąż jeszcze mamy go trochę w naszych piwnicach. Niewiele jednak zostało. Gatunek winorośli, z której produkowano to wino, dawno zniknął z powierzchni ziemi.

— Magiczny napój — powiedział Moonglum, odstawiając kubek.

— Możesz go i tak nazywać. Elryk i ja pochodzimy z wcześniejszych czasów, gdy magia była na porządku dziennym, jak i władza Chaosu, choć nie tak rozległa jak dzisiaj. Wy, z Młodych Królestw, możecie brzydzić się magią, ale to my tymczasem musimy przygotować Ziemię na rządy Prawa. Wtedy może nowi ludzie zaczną przygotowywać podobne napoje w sposób wymagający więcej pracy, lecz bardziej dla nich zrozumiałą bez użycia magii.

— Wątpię w to — zaśmiał się Moonglum.

— Jeżeli będziemy mieli tylko tyle szczęścia, ile mieliśmy do tej pory — Elryk westchnął — to nie powstrzymamy Chaosu i Prawo zniknie z Ziemi na zawsze.

— Brak również dla nas perspektywy, jeżeli Prawo zatriumfuje, co? — Sepiriz nalał sobie kubek wina, gdyż i on był zmęczony.

— Co masz na myśli? — zapytał Moonglum z ciekawością.

Nihrain opowiedział mu, że chociaż on i Elryk zwalczali Chaos, w gruncie rzeczy pasowali tylko do świata, gdzie dominowało Zło. W świecie, który pragnęli stworzyć, w świecie Prawa, nie będzie dla nich i dla im podobnych miejsca.

Moonglum spojrział uważnie na przyjaciela, pojmując teraz o wiele więcej z biedy Elryka.

— Sepiriz, powiedziałaś, że jest robota dla mnie i mojego miecza — Elryk pochylił się do przodu. — Co to ma być?

— Z pewnością wiesz już, że Jagreen Lern przywołał Książąt z Piekieł, żeby dowodzili jego ludźmi i utrzymywali zdobyte tereny pod kontrolą?

— Tak.

— Rozumiesz wagę tego zdarzenia. Jagreen Lern zdołał uczynić wystarczająco dużą wyrwę w barierze, stworzonej przez Prawo. Dotychczas powstrzymywała ona stwory z Chaosu przed dostępem do Ziemi, lecz teraz Lern w miarę wzrostu swojej siły wciąż ją powiększa. To wyjaśnia, w jaki sposób udało mu się zebrać tę piekielną szlachtę. W przeszłości było to prawie niemożliwe do osiągnięcia. Jednym z nich jest Arioch...

— Arioch! — Arioch był opiekunem Elryka, Bogiem Zasad Moralnych czczonym przez jego przodków. — Więc jestem teraz zupełnym wyrzutkiem i ani Prawo, ani Chaos nie są w stanie mnie chronić!

— Twoim jedynym nadprzyrodzonym sprzymierzeńcem jest twój miecz — powiedział Sepiriz ponuro. — I może jeszcze jego bracia.

— Jacy bracia? Jest tylko jeden bliźniaczy miecz, Żałobne Ostrze, które nosi Dyvim Slorm!

— Czy pamiętasz, kiedy mówiłem ci, że te dwa miecze są tylko ziemskim wcieleniem nadprzyrodzonego bytu? — Sepiriz zapytał cicho.

— Tak.

— No więc, mogę ci teraz powiedzieć, że prawdziwy byt Zwiastuna Burzy jest ściśle powiązany z innymi nadprzyrodzonymi siłami w innym wymiarze. Wiem jak je przywołać. Jest jednak jeden problem. Te stwory są również z Chaosu i dlatego ciężko nad nimi panować. Mogą z łatwością wyrwać się spod kontroli i nawet obrócić się przeciw tobie. Jak wiesz, Zwiastun Burzy jest związany z tobą więzami mocniejszymi niż te łączące go z braćmi, ale istot tych jest dużo więcej i nawet twój miecz runiczny może cię nie obronić.

— Dlaczego o tym nie wiedziałem?

— Wiedziałeś, w pewnym sensie. Czy pamiętasz chwile, gdy wzywałeś pomocy i pomoc nadchodziła?

— Oczywiście. Czy chcesz przez to powiedzieć, że była ona dziełem braci Zwiastuna Burzy?

— Tak. Oni już przywykli przychodzić ci z pomocą. Nie można ich nazwać inteligentnymi w pełnym znaczeniu tego słowa, umieją jednak odczuwać i poprzez to nie są tak mocno związani z Chaosem jak inne sługi. Ktoś kto posiada władzę nad jednym z nich, tak jak ty, jest w stanie do pewnego stopnia kontrolować sprawę. Przypomnę ci zaklęcie runiczne, na wypadek gdybyś potrzebował ich pomocy.

— A jakie jest moje zadanie?

— Musisz zniszczyć Książąt z Piekieł.

— Ale to jest niemożliwe! Oni reprezentują najpotężniejszą grupę z wszystkich stworów Chaosu!

— Prawda. Jednak ty władasz najpotężniejszą bronią. Takie jest twoje zadanie. Mówi się już, że Piekielni Książęta odebrali część mocy Jagreena Lerna. Głupiec. On wciąż nie wierzy, że jest zaledwie marionetką Chaosu i myśli, że może władać taką nadprzyrodzoną potęgą. Jest jednak pewne, że z taką pomocą Jagreen Lern pokona flotę Południa bez większych strat. Bez ich pomocy też by tego dokonał, lecz koszta byłyby znacznie większe i to dałoby nam czas na przygotowanie się przeciwko niemu.

Elryk nawet nie zwracał sobie głowy i nie pytał Sepiriza, skąd on wiedział, że Południowcy postanowili samotnie walczyć przeciwko Jagreenowi. Nihrain najwidoczniej miał wiele nie znanych mu właściwości, jak to zresztą okazał, kontaktując się z Elrykiem poprzez proroka.

— Przysiągłem pomóc Południowcom, pomimo że się z nami nie zjednoczyli przeciwko Teokracie — powiedział.

— I dotrzymasz przysiężenia niszcząc Książąt z Piekieł. O ile ci się to uda.

— Zniszczyć Ariocha, i Balana, i Maluka. . . — Elryk wyszeptał te imiona, w obawie, że nawet tu może ich przywołać.

— Ariocho zawsze był krnąbrnym demonem — zauważył Moonglum. — Wielokrotnie w przeszłości odmawiał ci pomocy.

— Ponieważ — dodał Sepiriz — już wtedy wiedział, że on i ty, Elryku, będziecie ze sobą walczyć.

Pomimo wypitego wina i nowych sił Elryk zaczął odczuwać ból, ale innego rodzaju. Wysilek woli był prawie nie do zniesienia. Walczyć przeciw demonicznemu Bogu, którego praojcowie czcili przez tysiąclecia. . . Stare przyzwyczajenia i nawyki ciągle miały nad Elrykiem władzę, poczucie lojalności było wciąż obecne.

Sepiriz powstał, kładąc dłoń na ramieniu Elryka. Spojrzał przeszywającym czarnym wzrokiem w rubinowe oczy.

— Ślubowałeś, że wypełnisz to zadanie, pamiętaj.

Elryk przytaknął. Wstał również.

— Zgadza się. I nawet gdybym wiedział o tych przyszłych wypadkach, również nie odstąpiłbym od swego postanowienia. Ale. . .

— Co?

— Nie pokładaj we mnie zbyt wiele nadziei. Nie wiem, czy uda mi się sprostać temu zadaniu.

Sepiriz nic na to nie odpowiedział.

Później Sepiriz zostawił Elryka pogrążonego w myślach, a sam poszedł po białą tabliczkę z wrytymi na niej starymi runami.

Albinos wziął tabliczkę, nie wypowiedziawszy słowa.

— Zapamiętaj zaklęcie, a następnie zniszcz to. Ale pamiętaj, że możesz użyć go tylko w wielkim niebezpieczeństwie, ponieważ bracia Zwiastuna Burzy mogą odmówić ci pomocy.

Elryk wysiłkiem woli kontrolował swoje emocje. Przez długi czas ślęczał nad tabliczką. Musiał nie tylko odczytać i zapamiętać runy, lecz także pojąć ich zawiłą logikę i niemal wprowadził się w trans, żeby czary przyniosły zamierzony skutek.

Kiedy razem z Sepirizem byli zadowoleni z efektu, służący odprowadził Elryka do komnaty. Sen, który nadszedł jakby od niechcienia, był niespokojny. Ale rano, gdy sługa przyszedł obudzić albinosa, zastał go w pełnym rynsztunku. Elryk był gotowy do drogi w kierunku Pan Tang, gdzie zebrali się Książęta z Piekieł.

Rozdział 4

Dwaj przyjaciele jechali przez porażone Złem zachodnie ziemie. Niosły ich krzepkie nihraińskie rumaki, nie wiedzące, co to zmęczenie lub strach. Posiadały pewną moc oprócz nadnaturalnej wytrzymałości i siły. Sepiriz powiedział im, że te konie żyły w dwóch wymiarach i w rzeczywistości ich kopyta nie dotykały ziemskiego gruntu, lecz stąpały po powierzchni drugiego wymiaru. To dawało im możliwość galopowania także w powietrzu i po wodzie.

Wszędzie dokoła widać było piekielny terror. Pewnego razu ujrzeli w oddali straszliwy widok. Dzikie stwory z Chaosu niszczyły wioskę rozsiadłą wokół zamku, który stał w płomieniach. Na horyzoncie widniała plująca ogniem i dymem góra. Chociaż grabieżcy mieli ludzkie kształty, zabijali ludzi i pili ludzką krew. Ich poczynaniami kierowało coś, co przypominało trupa siedzącego na żywym szkielecie konia. Dowódca był odziany w jasny strój, w rękę trzymał płomienny miecz, a na głowie miał złoty hełm.

Chyżo przemknęli obok tego koszmaru i odjechali przez tereny spowite oparami przesyconymi zapachem krwi. Po drodze mijali zionące śmiercią rzeki, przejeżdżali szeleszczące wypalone lasy. Nad głowami latały upiorne, skrzydlate kształty, dźwigając jeszcze straszliwsze ciężary.

Od czasu do czasu natykali się na bandy wojowników. Wielu z nich nosiło stroje i barwy zwyciężonych armii, lecz teraz stali po stronie Chaosu.

Jednych omijali, z innymi walczyli, aż w końcu dotarli do wybrzeża Jharkoru i zobaczyli morze, dzielące ich od wyspy Pan Tang. Łąd, który zostawili za sobą, zmieniał się dosłownie w piekło na ziemi.

Nie zatrzymując się, dwaj przyjaciele galopem z ładu pognali nad powierzchnią wody ku Wyspie Zła. Razem ze swoimi diabelskimi sojusznikami Jagreen Lern przygotowywał tam flotę do uderzenia na Południowy Kontynent.

— Elryku! — Moonglum przekrzykiwał świszczący wiatr. — Czy nie powinniśmy być teraz ostrożniejsi?

— Ostrożniejsi? Nie widzę potrzeby. Książęta z Piekieł już na pewno wiedzą, że ich niewierny sługa przybywa!

Moongluma zaniepokoił ten szaleńczy nastrój Elryka. Fakt, że Sepiriz rzucił

na jego miecz i szablę białe zakłęcia, nie uspokoił go ani odrobinę.

Zbliżali się. Jasne wybrzeże klifowe Pan Tang było już w zasięgu wzroku. Obblewało je wzburzone i złowieszcze morze, wyjąc w cierpieniu, jakie mógł zadać tylko Chaos.

Nad wyspą wisiła niesamowita ciemność, która przemieszczała się i zmieniała jak żywa.

Gdy wjechali na stromą kamienistą plażę, ogarnęła ich ciemność. Tą wyspą od zarania dziejów rządził czarny kler, okrutni Teokraci, którzy próbowali naśladować legendarnych, magicznych królów ze Świetlanego Imperium Melniboné. Ale Elryk, ostatni z tych władców, wydziedziczony, z garstką poddanych, wiedział, że gdy dla jego praojców czarna magia była czymś naturalnym i prawym, dla ludzi z Pan Tang była czymś nie do ogarnięcia.

Sepiriz powiedział im, jak mają jechać poprzez te niespokojne ziemie w kierunku stolicy zwanej Hwamgaarl, Miastem Krzyczących Posągów.

Pan Tang była wyspą z obsydianu. Kamień miał kolor czarnozielony i błyszczał w niesamowity sposób, skała zdawała się żywa.

Wkrótce w oddali zamajaczyły mury miasta Hwamgaarl. Gdy podjechali bliżej, na ich spotkanie, niby z pod ziemi, wyrosła armia czarnych, zakapturzonych rycerzy, zawodzących przerażającą pieśń.

Elryk nie miał czasu dla wojowników-kapłanów Jagreena Lerna.

— W górę, rumaku! — krzyknął i nihraiński koń dał ogromnego susa w powietrze, ponad głowami ogłupiałych żołnierzy. Moonglum zrobił to samo, śmiejąc się szyderczo, gdy razem z przyjacielem pomknął do Hwamgaarl!

Przez jakiś czas nic nie stawało im na przeszkodzie, ponieważ Jagreen Lern spodziewał się, że ten oddział powstrzyma ich na dłużej.

Ale gdy mury miasta były już o niespełna milę, ziemia zaczęła trzeszczeć i jej powierzchnię przecięły głębokie rozpadliny. To jednak było bez znaczenia, ponieważ ich konie nie stapały po ziemi.

Niebo nad głowami zdawało się chwiać, a ciemność przeszywały jaskrawe błyskawice. Z powstałych szczelin wyskoczyły gigantyczne postaci!

Mierzące piętnaście stóp lwy o głowach sępów ruszyły w ich kierunku. Wygłodniałe, z powiewającymi grzywami, zaryczały przeraźliwie.

Ku przerażeniu Moongluma, Elryk się śmiał. Rudowłosy zrozumiał, że jego przyjaciel postradał zmysły.

Ale Elrykowi nieobce były te upiory, jako że kilkadziesiąt wieków temu jego przodkowie stworzyli je dla własnych potrzeb.

Najwidoczniej Jagreen Lern odkrył je gdzieś na granicy pomiędzy Chaosem a Ziemią, i użył do własnych celów, nie interesując się ich pochodzeniem.

Stare słowa były pełne uczucia, gdy Melnibonéanin przemówił do straszliwych bestii.

Słowa zmusiły je do zatrzymania się, zastanowienia. Potwory rozejrzały się niepewnie.

Opierzone ogony ze świstem przecinały powietrze, pazury ryły ziemię pod nimi.

Wykorzystując niezdecydowanie stworów, Elryk i Moonglum przejechali między nimi, lecz ledwie je minęli, gdzieś z góry doleciał basowy, przepętniony złością głos. Używając Wysokiej Mowy Melnibonéan, głos ów rozkazał: „Zniszczyć ich!”

Jeden ze lwów-ptaków skoczył niezdecydowanie w kierunku jeźdźców. Inny poszedł za jego przykładem, aż w końcu wszystkie rzuciły się w pogoń.

— Szybciej! — szepnął Elryk swojemu wierzchowcowi, ale koń ledwo mógł utrzymać dotychczasową odległość.

Nie pozostawało im nic innego, jak zawrócić. Elryk przypomniał sobie, że istniało pewne zaklęcie, które znał, będąc dzieckiem. Wszystkie stare czarodziej-skie zaklęcia Melnibonéan zostały mu przekazane przez ojca. Wiedział też, że nie wszystkie miały w obecnych czasach jakąś moc. Ale było jedno zaklęcie przywołujące te bestie i drugie...

Teraz sobie przypomniał! Zaklęcie odsyłające je z powrotem do królestwa Chaosu. Czy zadziała?

Przysposobił swój umysł, wyszukał odpowiednie słowa i krzyknął w kierunku nadbiegających stworów:

*Potwory! Stworzył was Matik Melnibonéanin
Z szaleństwa niesformowanej materii
I jeśli żywiście jak teraz
Precz stąd! Lub Matik w pył was obróci...*

Bestie zatrzymały się, a Elryk rozpaczliwie powtórzył zaklęcie, obawiając się, że zrobił jakiś błąd w słowach lub w nastawieniu swojego umysłu.

Moonglum nie ważył się odezwać ani słowem, bo wiedział, że bladolicy czar-noksiężnik nie może być wytracony z nastroju podczas rzucania zaklęć. Drżąc na całym ciele, patrzył tylko. Przywódca potworów wydał głośny, przeplatany krakaniem ryk.

Elryk odczuł ulgę, gdy go usłyszał. Oznaczało to bowiem, że bestie zrozumia-ły groźbę i wciąż były posłuszne temu zaklęciu.

Opornie zaczęły zagrzebywać się w ziemi, znikając w jamach.

— Jak dotąd szczęście wciąż nam sprzyja! — otarłszy pot, powiedział Elryk z nutą triumfu w głosie. — Jagreen Lern albo nie docenił mojej mocy, albo to jest wszystko, czego może dokonać przy pomocy swojej! Następny dowód na to, że to on jest marionetką w rękach Chaosu, a nie odwrotnie!

— Nie kuś Losu, mówiąc o nim — ostrzegł Moonglum. — Wnioskując z twojej opowieści, te bestie i ci wojownicy, których spotkaliśmy, są niczym w porównaniu z tym, co nas wkrótce spotka!

Elryk rzucił mu ostre spojrzenie, ale przytaknął. Nie podobała mu się ta proroczna wizja.

Zbliżyli się już do samych murów miasta Hwamgaarl. Ściany rozchodziły się od bramy pod kątem w taki sposób, że w jej pobliżu tworzyły wąskie przejście. Takie ustawienie murów utrudniało dostęp do warowni potencjalnym napastnikom. Na murach w pewnych odstępach stały Krzyczące Posągi — mężczyźni i kobiety, których Jagreen Lern i jego praojcowie zamienili w skałę Z nieopisanego złośliwości pozostawiono tych ludzi przy życiu. Żywe posągi mogły mówić, lecz tylko krzyczały. Ich upiorne lamenty rozbrzmiewały w odrażającym mieście jak wrzaski potępionych.

Te krzyki przerażały nawet Elryka.

Po chwili do okropnych dźwięków dołączył inny, gdy potężna krata uniosła się i z bramy runął na dwóch przyjaciół zastęp dobrze uzbrojonych wojowników.

— Magiczne zasoby Jagreena Lerna najwidoczniej już się wyczerpały, a Książęta z Piekieł na razie nie chcą się mieszać do walki przeciwko dwóm zwykłym śmiertelnikom! — powiedział Elryk sięgając do rękojeści Czarnego Miecza.

Moonglum zaniemówił. Po cichu wyciągnął swój miecz i szablę, ciągle obawiając się zaklęcia, rzuconego na nie przez Sepiriza. Wiedział, że najpierw musi przewyciężyć własny strach, zanim zmierzy się z wojownikami Pan Tang.

Z dzikim rykiem, który zagłuszył wycie posągów, Zwiastun Burzy wyskoczył z pochwy, stając pionowo w ręku Elryka. Z niecierpliwością oczekiwał na nowe dusze, by je wysączyć a potem przelać na swojego właściciela, dostarczając mu życiodajnej siły.

Elryk aż się skulił, gdy poczuł zimny metal w spoconej dłoni.

— Patrzcie, szakale! — krzyknął do zbliżających się żołnierzy. — Patrzcie na ten miecz! Wykuty przez Chaos dla zwyciężenia Chaosu! Chodźcie, oddajcie mu wasze życie i dusze! Jesteśmy gotowi!

Ale sam nie czekał, z Moonglumem tuż za plecami, spiął konia i rzucił się na wrogów. Zadawał ciosy, czując coś, co przypominało radość dawnych dni.

Niepojęta jedność z mieczem przepelniła go nienasyconą rozkoszą zabijania, rozkoszą odbierania dusz i przyjmowania siły witalnej, niezbędnej jego niedoskonałemu ciału.

I chociaż ponad setka wojowników stała na jego drodze do otwartej bramy, wyciął sobie między nimi krwawą ścieżkę. Moonglum równie podniecony zdołał zabić każdego, kto się do niego zbliżył.

Chociaż obcy był im strach, żołnierze coraz niechętniej atakowali Elryka, który wywijał ryczącym mieczem. Zwiastun Burzy świecił przedziwnym mrocznym światłem.

Na wpół oszalały albinos triumfował ze śmiechem na ustach. Czuł zmysłową prymitywną radość, jaką musieli odczuwać jego przodkowie, gdy dawno temu rzucili cały świat na kolana przed Świetlistym Imperium.

Rzeczywiście Chaos zwał Chaos, ale ten starszy, lepszego gatunku, przybył by zniszczyć wypaczonych parwenuszy, którym wydało się, że są tak potężni, jak Władcy Smoków z Melniboné!

W szeregach nieprzyjaciela powstała znaczone krwią szeroka ścieżka, wiodąca do samej bramy.

Nie zwalniając, Elryk przejechał pod kratą. Jego śmiech przeraził wszystkich mieszkańców, gdy wkraczał do Miasta Krzyczących Posągów.

— Dokąd teraz? — wykrzyknął Moonglum już bez strachu.

— Do Świątyni Teokraty, oczywiście. Arioch i reszta Książąt oczekują nas tam na pewno.

Dumni i przerażający, jak gdyby podążała za nimi ogromna armia, dwaj przyjaciele jechali przez ulice miasta. Tętent kopyt dźwięczał głośnym echem odbitym od czarnych budynków. Na ulicy nie było ani żywej duszy. Nikt też nie odważył się wyrzeć przez okno. Pan Tang zaplanował podbicie świata, lecz w tej chwili jego mieszkańcy przestraszyli się i umknęli na widok dwóch rycerzy zdobywających szturmem ich potężną stolicę.

Zatrzymali się wjechawszy na ogromny plac. Pośrodku wisiał brązowy relikwiarz, za nim wznosił się pałac Jagreena Lerna. Kolumny i wieże były pogrążone w złowrogiej ciszy.

Nawet posągi przestały krzyczeć i zapadła cisza, gdy Elryk i Moonglum zbliżyli się do relikwiarza. Zbroczony krwią miecz wciąż tkwił w ręku Melnibonéanina. Jednym potężnym cięciem przeciął łańcuchy i wzmocniony ciszą dźwięk najświętszego naczynia padającego na ziemię poniósł się po tym nieczystym mieście. Mieszkańcy Hwamgaarl wiedzieli, co to oznacza.

— Wyzywam cię, Jagreenie Lerne! — krzyknął Elryk, świadom, że wszyscy słyszą te słowa. — Przybyłem spłacić dług, jak obiecałem! Wyjdź, kukło! — przerwał dla zaczerpnięcia tchu, bo nawet chwilowe zwycięstwo nie było wystarczające, aby całkowicie stłumić jego podenerwowanie, na myśl tego co ma powiedzieć. — Wyjdź! Weź ze sobą Książąt z Piekieł!

Moonglum przełknął ślinę, z przerażeniem spojrzął na wykrzywioną twarz albinosa, który kontynuował w te słowa:

— Przyrowadź Ariocha, Balana i Maluka! Przyrowadź dumnych Władców Chaosu, przyjechałem bowiem, aby odesłać demony na zawsze do ich królestwa!

W ciszy, która zapanowała, słychać było tylko zamierające echo jego wyzwania.

Wtem, gdzieś z wnętrza pałacu, doleciały odgłosy ruchu. Serce Elryka waliło jak młot, grożąc wyrwaniem się z ciała, jakby na dowód jego śmiertelności.

Dźwięk niby ogromnych podków i obok tego miarowy odgłos ludzkich kroków odezwały się z głębi pałacu.

Wzrok Elryka był wbity w ogromne złote wrota, ukryte w półcieniu kolumnady.

Drzwi się otworzyły bezszelestnie.

W otworze pojawiła się postać, absurdalnie drobna i krucha w bliskości ogromnych wrót, lecz w oczach płonął gniew, gdy spoglądała na Elryka.

Okrywała tego człowieka szkarłatna zbroja, która wyglądała jakby była rozgrzana do czerwoności. Zasłaniał się tarczą zrobioną z takiego samego materiału, w prawej ręce dzierżył stalowy miecz.

— A więc, Królu Elryku, dotrzymałeś w końcu części swojej obietnicy.

— Mam też zamiar dotrzymać pozostałej części — odpowiedział Elryk ze spokojem. — Podejź, Teokrato. Zmierzymy się w uczciwej walce.

Jagreen Lern parsknęła rubasznie.

— Uczciwej? Z tym mieczem w twojej dłoni? Już raz się z nim spotkałem, lecz przeżyłem, a teraz on płonie krwią i duszami dziesiątek moich najlepszych wojowników-kapłanów. Nie jestem taki naiwny. Nie. Niech ci, których wyzwaleś, zmierzają z tobą — rzekł i odsunął się na bok.

Wrota rozchyliły się szerzej i pojawiły się w nich nowe postacie. Elryk był rozczarowany, spodziewał się bowiem ujrzeć gigantów, a tymczasem Książęta z Piekła przybrali ludzkie kształty.

Jednak wyczuwało się w nich wielką potęgę. Stanęli na najwyższym stopniu, nie zwróciwszy na Teokratę najmniejszej uwagi.

Elryk rzucił okiem na piękne, uśmiechnięte twarze i wstrząsnął nim dreszcz, ponieważ ujrzął miłość i dumę, i pewność siebie, te same które przepełniały jego serce i przez moment miał ochotę zeskoczyć z konia i runąć przed nimi na kolana, błagając o przebaczenie.

— Tak więc, Elryku — zaczął Arioch miękkiem głosem. — Czy żałujesz swoich postępów i chcesz do nas powrócić? — głos był gładki jak polerowane srebro i Melnibonéanin prawie zeskoczył z konia.

Ale nagle zatkał sobie uszy dłońmi i wykrzyknął:

— Nie! Nie! Zrobię to, co muszę! Wasz czas, tak jak i mój, dobiegł już końca!

— Nie mów tak, Elryku — odezwał się Balan przekonywająco. Jego głos przenikał prosto do umysłu albinosa. — Chaos nigdy dotąd nie był tak potężny na Ziemi. Zrobimy i ciebie potężnym. Zrobimy cię Władcą Chaosu takim samym jak my! Proponujemy ci nieśmiertelność, Elryku. Lecz jeżeli nadal będziesz się tak zachowywał, nie zyskasz nic, czeka cię śmierć i zapomnienie.

— Wiem o tym! Nie chcę by o mnie pamiętano w świecie Prawa!

— Do tego nigdy nie dojdzie — zaśmiał się Maluk. — Blokujemy każde posunięcie Prawa.

— I właśnie dlatego musicie zostać zniszczeni! — wrzasnął Elryk.

— Jesteśmy nieśmiertelni, nie można nas zabić — odrzekł Ariocho z nutką zniecierpliwienia w głosie.

— Więc odeśle was z powrotem do Chaosu w taki sposób, byście nigdy tutaj nie powrócili!

Elryk zakręcił młynka runicznym mieczem, który zadrżał i zaskowytał cicho, jakby w niepewności.

— Widzisz! — Balan zszedł do połowy schodów. — Widzisz, nawet twój zaufany miecz wie, że mówimy prawdę.

— Mówicie prawdę tylko poniekąd — odezwał się Moonglum drżącym głosem, zdumiony własną odwagą. — Ale ja pamiętani całą prawdę o zasadzie, która powinna jednoczyć Chaos i Prawo. To Zasada Równowagi. Najwyższy Duch dzierży w swym ręku wielką wagę, a Chaos i Prawo powinny walczyć, by utrzymać ją w równowadze. Czasami szala przechyla się na jedną ze stron. Tak powstają dzieje Ziemi. Jednak przechył o takim jak teraz rozmiarze jest nienaturalny. W swoim dążeniu do władzy Chaos musiał o tym zapomnieć!

— Zapomnieliśmy dla jednej ważnej przyczyny, śmiertelniku. Szala przechyliła się tak bardzo na naszą stronę, że nie może powrócić już do równowagi. To jest nasz wielki triumf!

Elryk wykorzystał tę krótką przerwę, by zebrać się w sobie. Czując powracającą siłę, Zwiastun Burzy odpowiedział mruknięciem.

Książęta spojrzeli po sobie.

Piękna twarz Ariochoa płonęła złością i jego niby-ciało zsunęło się w dół po stopniach. Jego pobratymcy podążali za nim.

Rumak Elryka cofnął się o parę kroków.

W ręku Ariochoa zapłonęła ognista kula i wystrzeliła w kierunku albinosa. Melnibonéanin poczuł lodowaty ból w klatce piersiowej i zachwiał się w siodle.

— Twoje ciało jest nieważne, Elryku, ale pomyśl o podobnym uderzeniu w twoją duszę! — wrzasnął Ariocho, kończąc z udawaniem.

Melnibonéanin odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się w głos. Ariocho się zdradził. Gdyby zachował spokój, miałby większą przewagę, jednak okazał prawdziwe, pełne strachu oblicze, pomimo tego, co wcześniej powiedział.

— Ariocho, manipulowałeś mną w przeszłości. Teraz tego pożałujesz!

— Jeszcze wciąż jest czas, żeby naprawić błędy, śmiertelniku! — powiedział Książę i następna ognista kula poleciała w kierunku Elryka. Ale tym razem albinos uniósł miecz i ujrzał z ulgą, że Zwiastun Burzy obronił go przed atakiem.

Bez nadprzyrodzonej pomocy nie mogli wiele zdziałać przeciwko takiej broni. Elryk nie śmiał wzywać braci swego runicznego miecza. Jeszcze nie teraz. Wpierw musi pomyśleć o innych środkach.

Moonglum schronił się za plecami Elryka i gdy mamrotał jakieś nieudolne zaklęcia, albinos wspomniął o lwich sępach, które wysłał z powrotem do Chaosu. Może mógłby je wezwać teraz dla własnego użytku.

Zaklęcie było wciąż świeże w jego pamięci. Wymagało tylko trochę zmienionego stanu umysłu i kilku słów.

Wygląd Książąt zmienił się z dobrotliwych na wrogich i złych, lecz wciąż byli piękni. Spokojnie, mechanicznie parując uderzenia, Elryk wypowiedział zaklęcie.

*Potwory! Stworzył was Matik Melnibonéanin
Z szaleństwa niesformowanej materii
I jeśli żywiście jak teraz, na pomoc
Przyjdźcie mi! Lub Matik w pył was obróci...*

W ziemi otworzyły się jamy, i wylazły z nich piekielne potwory.

— Ziemska broń nie można was zranić! Ale to są bestie z waszego wymiaru, zasmakujcie ich furii! — krzyknął Elryk do Władców Chaosu i rozkazał lwim sępom zaatakować.

Najwidoczniej pojawienie się potworów zaskoczyło Ariocha i jego kompanów. Cofnęli się na schody. Rzucali w kierunku bestii zaklęcia, lecz bezskutecznie i stwory zbliżały się do nich nabierając szybkości.

Arioch coś krzyczał z wściekłością i nagle jego ciało straciło dotychczasowy kształt i przybrało nową, bezkształtną, postać. Bestie zaatakowały. Postaci zlały się ze sobą i wszystko było już tylko płataniną kolorów, dźwięków i nieuporządkowanej materii.

Z tyłu za walczącymi demonami Elryk zauważył umykającego do pałacu Jagreena Lerna. Mając nadzieję, że bestie, które przywołał, zatrzymają w walce Książąt, albinos wraz z Moonglumem objechali kłębiącą się masę i wpadli do pałacu.

— Twój sojusznicy okazali się słabsi niż myślałeś, Jagreenie — krzyknął Elryk, goniąc swojego wroga. — Jak mogłeś myśleć, żółtodziobie, że twoja wiedza dorówna tej, którą posiada Elryk z Melniboné!

Jagreen Lern, zbyt przerażony, by się obejrzeć, wbiegał tymczasem po kręconych schodach.

Elryk zaśmiał się, zatrzymując konia i patrząc na uciekającego w panice człowieka.

— Książęta! Błagam — zaszlochał Jagreen Lern — nie opuśćcie mnie teraz!

— Wątpię, żeby twoje stwory pokonały arystokrację rodem z Piekieł, jak ci się zdaje? — wyszeptał Moonglum.

— Nie oczekuję tego — pokręcił głową albinos. — Ale gdybym wykończył Teokratę, mógłbym położyć kres podbojom i ściąganiu demonów na Ziemię — spiął ostrogami wierzchowca i skierował go po schodach za Jagreenem. Teokrata usłyszał zbliżającego się Melnibonéanina i rzucił się do najbliższej komnaty. Dźwięki dochodzące ze środka świadczyły, że drzwi zostały starannie zaryglowane.

Elryk roztrzaskał je jednym uderzeniem, lecz gdy znalazł się wewnątrz, stwierdził, że niewielkie pomieszczenie jest puste.

Zsiadłszy z konia albinos podszedł do niewielkich drzwiczek w rogu pokoju i te również rozbił uderzeniem miecza. Wszedł na schody, które doprowadziły go do następnych drzwi.

— Nareszcie dopełni się moja zemsta — pomyślał i uderzył. Jednak drzwi nie puściły.

— Niech będą przeklęte, są chronione magią! — ryknął i już miał zadać drugi cios, gdy usłyszał przynaglające wołanie Moongluma.

— Elryku! Elryku, Książęta pokonali bestie! Wracają do pałacu.

— Póki co, będę musiał zostawić Jagreena Lerna w spokoju — mruknął albinos i szybko zbiegi po schodach. Gdy znalazł się na samym dole w hallu, zobaczył płynące kształty. Moonglum stał przy schodach, cały drżąc.

— Zwiastun Burzy — powiedział Melnibonéanin. — Czas nadszedł, by przywołać twoich braci.

Miecz poruszył się w dłoni, jakby zgadzając się z nim.

Z ust albinosa popłynęła pieśń runiczna, której nauczył go Sepiriz. Dźwięki były szorstkie — istna tortura dla języka i umysłu.

Zwiastunie Burzy zawodził kontrapunktowy refren do pieśni Elryka. W tym czasie Książęta przybrali nowe postaci i zaczęli się niebezpiecznie zbliżać.

Wtem w powietrzu naokoło Melnibonéanin spostrzegł pojawiające się kształty. Były to niewyraźne zarysy przedmiotów, częściowo znajdujących się w innym wymiarze. Kontury wibrowały i nagle powietrze wypełniło się niezliczoną ilością mieczy, z których każdy był wiernym odbiciem Zwiastuna Burzy!

Działając instynktownie, albinos puścił swój miecz i cisnął go ku braciom. Zwiastun Burzy zawisł przed nimi i zdawać się mogło, że nastąpiło swoistego rodzaju powitanie.

— Prowadź ich, Zwiastunie Burzy! Prowadź ich przeciwko Książętom, albo twój pan zginie i nigdy już nie wysączysz ani jednej ludzkiej duszy!

Morze mieczy zaszemrało i wydało przerażający jęk. Książęta rzucili się w kierunku albinosa, który odskoczył unikając pełnego nienawiści uderzenia.

Spoglądając w bok, Elryk zauważył, że Moonglum osunął się z siodła. Nie wiedział, czy przyjaciel zmarł, czy tylko zemdłał.

Miecze zaatakowały napierających Władców Chaosu. Elrykowi zakreśliło się w głowie od widoku milionów mieczy wbijających się w ciała.

Zgiełk walki wypełnił mu głowę, straszliwy widok bitwy zaćmił wzrok. Bez siły życiowej dostarczanej przez Czarny Miecz Elryk czuł się słaby i bezradny. Trzęsły mu się kolana. W pewnym momencie ugięły się pod nim i padł na ziemię. Nie był nic w stanie zrobić by pomóc braciom Zwiastuna Burzy.

Nadchodziło załamanie. Wiedział, że jeżeli trochę dłużej będzie świadkiem takiego horroru, całkowicie straci rozum. Z ulgą poczuł, że wszystko znika, aż w końcu legł bez świadomości, nie wiedząc, która strona zwyciężyła.

Rozdział 5

Swędziało go całe ciało. W rękach i na plecach czuł przeszywający ból. Nadgarstki, rozciągnięte do granic wytrzymałości, groziły rozerwaniem. Elryk otworzył oczy.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był Moonglum, rozpięty na ścianie naprzeciwko niego. Pomieszczenie rozświetlał blask niewielkiego ognia płonącego pośrodku. Albinos spojrział w dół i dojrzał Jagreena Lerna, który napluł na niego.

— Więc — powiedział obojętnie Elryk — przegrałem. Ty w końcu jesteś zwyciężcą.

Teokrata nie wyglądał na triumfatora. Jego oczy wciąż pałały wściekłością.

— Hm, jak mam cię ukarać? — zapytał.

— Ukarać? Znaczący...? — serce Elryka zabiło mocniej.

— Tak, do ciebie należało ostatnie zaklęcie — Teokrata odpowiedział głucho, odwracając się w stronę paleniska. Moi i twoi sojusznicy zniknęli, a wszystkie próby skontaktowania się z Książętami spaliły na panewce. Twoja groźba się spełniła, odesłałeś ich do królestwa Chaosu na zawsze!

— A mój miecz, co się z nim stało?

— To dla mnie jedyna pociecha — Teokrata wykrzywił się w uśmiechu. — Twój miecz zniknął wraz z braćmi. Jesteś teraz słaby i bezbronny. Mogę torturować cię, jak długo będę chciał.

Elrykowi odebrało mowę na wieść o tym, co się stało. Cieszył się, że Władcy Chaosu zostali pokonani. Z drugiej strony opłakiwał stratę miecza. Jagreen Lern trafnie zauważył, że bez Zwiastuna Burzy nie był nawet półczłowiekiem, osłabiał go bowiem albinizm. Wzrok miał już przyćmiony i stracił czucie w członkach.

Jagreen Lern spojrział na Elryka.

— Ciesz się na razie dobrym traktowaniem i pomyśl o przyszłości, o tym, co dla ciebie przygotowałem. Teraz muszę cię zostawić, by przygotować moich ludzi i flotę wojenną przed atakiem na Południe. Nie mam dość czasu, żeby go marnować na ciebie. Ale gdy nadejdzie właściwa pora, przejdziesz przez najgorsze tortury. Przrzekam, że będziesz umierał latami!

Opuścił celę, lecz zanim zatrzasnął drzwi, poinstruował strażnika:

— Utrzymuj na palenisku jak najgorętszy ogień. Niech poczują się niby dusze w piekle. Co trzy dni dawaj im tylko tyle jedzenia, by utrzymać przy życiu. Niedługo zaczną błagać o wodę. Daj tylko tyle, by przeżyli. Zasłużyli na coś o wiele gorszego, ale deser przygotuję ja sam, gdy tylko będę miał trochę czasu by się nimi zająć.

Następnego dnia zaczęły się prawdziwe katusze. Ich ciała wydały z siebie resztki potu, języki spuchły w wyschniętych gardłach. I cały czas, gdy jęczeli w męczarniach, byli świadomi, że te tortury są niczym w porównaniu z nadchodzącym losem. Osłabione ciało Elryka nie reagowało na polecenia umysłu. Wkrótce mózg nie kontrolował już myśli, ciągły ból stał się czymś powszednim. Czas się zatrzymał.

W końcu, poprzez grubą zasłonę oszołomienia, Elryk usłyszał głos. Pełen nienawiści głos Jagreena Lerna.

W celi było więcej osób. Albinos poczuł na sobie czyjeś ręce i nagle jego ciało stało się takie lekkie, jakby się dopiero urodził. Został wyniesiony z celi.

Pomimo szczątkowych fraz, które słyszał, nie mógł zrozumieć, o czym mówił Jagreen Lern.

Wsadzono go do ciemnego pomieszczenia, które bujało się i raniło jego poparzoną klatkę piersiową.

Po chwili usłyszał dolatujące jakby z oddali słowa Moongluma i wyteżył słuch, by je zrozumieć.

— Elryku, co się dzieje? Przysięgnębym, że jesteśmy na morzu na jakimś statku!

Ale Melnibonéanin wymamrotał coś bez ładu, zupełnie obojętny na to, co się działo. Jego ciało traciło resztkę sił. O wiele szybciej niż ciało zwykłego człowieka. Myślał o Zarozinii, której już nigdy więcej nie zobaczy. Wiedział, że nigdy się nie dowie, kto wygrał tę wojnę, ani nawet czy Południowcy przeciwstawili się potędze Pan Tang. A i te problemy przestały go z czasem interesować.

Potem pojawiło się jedzenie i picie. Posiłek ożywił go trochę. Po jakimś czasie Elryk był na tyle silny, że mógł już otworzyć oczy, lecz po to tylko, by zobaczyć ironicznie uśmiechniętą twarz Teokraty.

— Dzięki niech będą Bogom — powiedział. — Bałem się, że już cię straciliśmy. Jesteś bardzo delikatnym przypadkiem, przyjacielu, ale musisz pozostać przy życiu dłużej, o wiele dłużej. Na początek zabawy przygotowałem ci miejsce na moim okręcie flagowym. Właśnie w tej chwili przepływamy przez Morze Smoków. Zabezpieczyłem nas za pomocą odpowiednich czarów przed potworami zamieszkującymi te wody — Jagreen zmarszczył brwi. — Dzięki tobie nie dysponujemy dość potężnymi zaklęciami, by przepłynąć przez terytorium, którym włada Chaos. Na razie morze wygląda normalnie, lecz wkrótce to się zmieni.

Elryka ogarnęła na chwilę nowa nadzieja. Za słaby, by wyrazić swą nienawiść, spojrział tylko na wroga.

Jagreen Lern zaśmiał się cicho i trącił wychudzoną twarz więźnia czubkiem buta.

— Myślę, że mogę przygotować coś, co doda ci trochę siły.

Pożywienie miało ohydny smak i wartownicy musieli karmić Elryka na siłę, lecz już wkrótce był on w stanie usiąść i obserwować skurczone ciało Moongluma. Rudowłosy nie wytrzymał tortury. Ku swemu zdziwieniu Melnibonéanin stwierdził, że nie skuto go łańcuchami i z niesamowitym wysiłkiem zdołał doczołgać się do przyjaciela. Potrzęsął nim, lecz on zareagował tylko cichym jękiem.

Do celi wpadł słaby promień światła i Elryk podniósłszy głowę zauważył, że pokrywa luku została otworzona — a z góry patrzył na niego Jagreen Lern.

— Widzę, że moje lekarstwo poskutkowało. Wyłaź, Elryku, pocuj świeży powiew morza i ciepłe promienie słońca. Zbliżamy się do wybrzeży Argimiliar i nasze statki zwiadowcze doniosły, że na spotkanie płynie ku nam całkiem duża flota.

— Na Ariocha! — przeklął Elryk. — Mam nadzieję, że wyślą was na samo dno!

— Na kogo? — Teokrata wydał usta przedrzeźniając albinosa. — Na Ariocha? Czy nie pamiętasz, co się stało w moim pałacu? Ariocha nikt nie przywoła, ani ty, ani ja. Przyczyniły się do tego twoje parszywe zaklęcia — odwrócił się do stojącego za nim porucznika i rozkazał: — Zwiążcie go i zanieście na pokład. Wiecie, jak z nim postępować.

Dwaj żołnierze skoczyli do celi i związali Elryka. Następnie przetransportowano go na pokład. Światło dnia oślepiło więźnia na parę chwil.

— Postawcie go na nogach, żeby wszystko widział — zarządził Jagreen Lern i dwaj wartownicy ustawili Elryka w pozycji pionowej. Nad głową Melnibonéanina rozpięto ałtarsowy baldachim, trzepoczący na zachodniej bryzie. Pod nim znajdowały się rzędy wioślarzy, a nad ogromnym czarnym flagowcem przyciągał wzrok ciemnoczerwony żagiel.

Za rufą Elryk zobaczył płynącą ich śladem ogromną flotę. Wśród okrętów Pan Tang i Dharijoru znajdowały się statki z Jharkoru, Shazaru i Tarkesh, ale na każdym szkarłatnym żaglu widniał herb Trytona.

Nadzieja opuściła serce albinosa. Jakkolwiek silna była flota Południa, nie mogła się równać z taką potęgą.

— Żeglujemy zaledwie trzy dni — powiedział Jagreen Lern — ale dzięki czarodziejskiemu wiatrowi jesteśmy prawie u celu. Jeden ze statków zwiadowczych zawiadomił nas jakiś czas temu, że flota lormyriańska na wieść o naszej potędze zmieniła zamiary i przyłączyła się do nas. Mądre posunięcie króla Montana, przynajmniej na razie. Wykorzystam go teraz, a potem każę zgładzić za jego zdradliwą naturę.

— Dlaczego mi to wszystko mówisz? — wyszeptał Elryk przez zaciśnięte z bólu zęby. Każdy najmniejszy ruch ciała, nawet mięśni twarzy, był dla niego

męczarnią.

— Ponieważ chcę, byś był świadkiem porażki Południa. Chcę, byś wiedział, że to, czemu starałeś się zapobiec, niedługo już nadejdzie. Po ujarzmieniu Południa i zabranii wszystkich bogactw przyjdzie kolej na Wyspę Purpurowych Miast. Na koniec splądrujemy Vilmir oraz Ilmiore, co będzie łatwym zadaniem, nieprawdaż?

Gdy Jagreen Lern nie usłyszał odpowiedzi, zniecierpliwiony przywołał swoich ludzi.

— Przywiążcie go do masztu, żeby miał dobry widok na bitwę. Nałóż na niego ochronne zaklęcie, żeby jakaś zabłąkana strzała go nie zabiła i by się tym sposobem nie wykpił od swoich cierpień.

Więzień został wyciągnięty do góry i przywiązany do masztu. Półżywy ze zmęczenia nie wiedział, co z nim robią, jego głowa wisiała bezwładnie na prawym ramieniu.

Potężna flota parła naprzód, pewna zwycięstwa w swej sile.

Gdy minęło południe, okrzyk sternika wyrwał Melnibonéanina ze stanu otępienia.

— Żagiel na południowym wschodzie! Zbliża się flota lormyriańska.

W bezsilnej złości Elryk patrzył, jak pięćdziesiąt dwumasztowców o jasnych żaglach podpłynęło do floty Jagreena Lerna i ustawiło się w szyku.

Mniejsze niż Argimiliar, Lormyr posiadało większą flotę. Albinos sądził, że zdrada króla Montana kosztowała Południe ponad jedną czwartą ich sił morskich. Wiedział teraz, że dla Południa nie było żadnej nadziei i że pewność siebie Teokraty miała dobre podstawy.

Zapadła noc i ogromna flota rzuciła kotwicę. Przyszedł wartownik i nakarmił więźnia jedzeniem z odżywczym medykamentem, które tchnęło w niego nowe siły. Z przyływem sił wzrósł gniew albinosa i Jagreen Lern przechodząc, zatrzymywał się obok, by się z nim drażnić.

— Tuż po wschodzie słońca spotkamy się z południową flotą — uśmiechnął się Teokrata. — A po południu pozostawimy za sobą dryfujące resztki, jako jedyne wspomnienie ich okrętów. Potem popłyniemy w kierunku lądu, by ustanowić władzę nad tymi narodami, które tak naiwnie wierzyły w siłę swojej marynarki.

Elryk wspominał ostrzeżenia dane królom Południa, że taki może być ich koniec, jeżeli będą samotnie walczyć przeciwko Teokracie. Pragnął jedynie, by jego przepowiednia się nie sprawdziła. Po ujarzmieniu Południa następnym krokiem będzie podbicie Wschodu. A pod rządami Jagreena Lerna Chaos zapanuje nad światem i przemieni Ziemię na podobieństwo tej, jaką była miliony lat temu.

Przez całą bezksiężycową noc więzień dumał. Zbierał myśli i siłę do zrealizowania planu, będącego wciąż zaledwie iskierką w najodleglejszych zakamarkach jego umysłu.

Rozdział 6

Obudził go dźwięk podnoszonych kotwic.

Trzęsąc się z zimna Elryk zobaczył na horyzoncie płynącą ku nim południową flotę — ustawione w szyku dumne statki.

Królowie Południa albo byli bardzo dzielni, albo nie zdawali sobie sprawy z potęgi Jagreena Lerna.

Na pokładzie dziobowym albinos zauważył ogromną katapultę, naciągniętą i załadowaną kulą płonącej smoły. Normalnie katapulty o takich rozmiarach były tylko zawadą, trudności z ich naciąganiem sprawiały, iż chętniej stosowano lekkie maszyny wojenne. Jednak najwyraźniej inżynierowie Teokraty nie byli głupcami. Elryk zauważył dodatkowy mechanizm do szybkiego i łatwego naciągania katapulty.

Wiatr zupełnie ucichł i aż pięćset par ludzkich rąk napędzało okręt flagowy Jagreena Lerna. Na pokładzie, przy kładkach abordażowych stali zdyscyplinowani wojownicy. Podczas abordażu kładki przytrzymywały wrogi statek, jednocześnie służąc za pomosty.

Elryk musiał przyznać, że Jagreen Lern umiał dobrze przewidywać. Nie polegał jedynie na nadprzyrodzonej pomocy. Jego statki były najlepiej wyposażonymi, jakie Melnibonéanin kiedykolwiek widział.

Południowa flota była zgubiona. Walka z Jagreenem Leniem nie była aktem odwagi, lecz zakrawała na szaleństwo.

Ale w swoich obliczeniach Teokrata popełnił jeden błąd. Goniąc za zemstą, zapewnił Elrykowi życie na kilka godzin. Życie w pełni sił fizycznych i umysłowych.

Zwiastun Burzy zniknął. Bez niego Elryk był bezradny. Takie były fakty, z których wynikało, że jakimś sposobem musi odzyskać swój miecz. Ale jak? Miecz runiczny wrócił z braćmi do królestwa Chaosu.

Musi się z nim skontaktować.

Nie śmiał przywoływać całej bandy za pomocą zaklęcia, bo niezbyt teraz wierzył w swoją władzę nad nimi.

Nagle usłyszał huk i poczuł jak statek drgnął pod wpływem strzału z katapul-

ty. Ognista kula zakreśliła łuk na niebie i wylądowała w morzu. Woda zakipiała i po chwili pochłonęła ogień. Katapulta została szybko naciągnięta i załadowana powtórnie. Elryk zdziwił się, że tak sprawnie przebiegła cała operacja. Widząc jego zdumienie, Jagreen Lern zaśmiał się.

— Zabawa nie potrwa długo. Ich flota okazała się zbyt mała, żeby podjąć porządną bitwę. Patrz na ich zagładę, Elryku!

Więzień nie odpowiedział, udając zamroczonego i przerażonego.

Następna kula ogniowa uderzyła prosto w jeden z najbliższych statków. Małe figurki krzątały się w żalosnej próbie ugaszenia pożaru, ale po minucie płonął już cały pokład. Zrozumiałwszy, że nie da się ocalić statku, załoga ratowała się skacząc do wody.

Powietrze wokół więźnia zaroilo się od świszczących pocisków. Południowa flota odpowiedziała ogniem lżejszych maszyn. Całe niebo było zasnute tysiącem komet, a temperatura dorównywała panującej przedtem w celi Elryka.

W niebo buchnęły kłęby czarnego dymu. Okręty Jagreena Lerna taranowały statki Południa swoimi mosiężnymi dziobami i przekłuwały je, nadziewając na szpikulce jak ryby. Do uszu Elryka doleciały ochryple okrzyki i dźwięk krzyżowanego oręża.

Ale on nie zwracał na to żadnej uwagi, ponieważ całą siłą koncentrował się na czym innym.

Po chwili był gotów. Świadom, że nie będzie słyszany w tym zgiełku, zawołał umęczonym i zdesperowanym głosem: „Zwiastunie Burzy!”

W jego umyśle zadźwięczało echo okrzyku i przez moment wydawało mu się, że patrzy poprzez zasłonę z dymu, poprzez ocean, poza granice tego świata w miejsce pełne cieni i strachu. Coś tam się ruszało. Wiele rzeczy.

— Zwiastunie Burzy!

Albinos usłyszał przekleństwo z pokładu i zobaczył Jagreena Lerna pokazującego w górę.

— Zaknebluj tego przeklętego czarownika — powiedział. Gdy spojrział na więźnia, ich oczy się spotkały. Przez moment Teokrata wahał się i dodał: — A jeżeli to nie pomoże, zabij go!

Porucznik zaczął wspinać się na maszt.

— Zwiastunie Burzy! Twój pan za chwilę zginie! — wrzasnął Elryk i spróbował, bez większego skutku, uwolnić się z krępujących go lin.

— Zwiastunie Burzy!

Całe życie nienawidził miecza, na którym bezgranicznie polegał. Teraz wzywał go, jak zrozpaczony kochanek wzywa narzeczoną.

Wojownik złapał Elryka za nogę i potrząsnął nim.

— Zamknij się! Słyszałeś rozkaz pana!

Z obłędem w oczach Elryk popatrzył na żołnierza, który wisząc na jednej ręce wyciągnął miecz i zamierzył się na niego.

— Zwiastunie Burzy! — załkał Elryk. Musi żyć, bez niego Chaos na pewno zawładnie Ziemią.

Wojownik pchnął albinosa, lecz ostrze ześlizgnęło się po niewidzialnej osłonie. Wtedy Elryk przypomniał sobie z ulgą, że Jagreen Lern nałożył na niego ochronne zaklęcie! Teraz jego magia ocaliła jego wroga!

— Zwiastunie Burzy!

Nagle porucznikowi zabrakło tchu i wypuścił miecz z ręki. Wydawało się, że mocuje się z czymś przy gardle. Wtem palce ręki zostały odcięte i z kikutów bryznęła krew. Z wielką ulgą, z bijącym jak oszalałe sercem, albinos patrzył, jak w powietrzu materializuje się kształt. Czarny Miecz zachłannie wypijał duszę tego człowieka!

Żołnierz spadł na pokład, a wiszący w powietrzu Zwiastun Burzy przeciął więzy trzymające Elryka i ulokował się w jego prawej dłoni.

Natychmiast do żył albinosa popłynęła świeża energia życiowa. Znikły najmniejsze oznaki bólu. Melnibonéanin przeciął resztę krępujących go sznurów.

— Teraz zobaczymy, kto dopełni swojej zemsty — powiedział opuszczając się w dół po linach.

Otworzył luk i spojrzał na ciało przyjaciela. Rudowłosego zostawiono pod pokładem, skazanego na śmierć głodową. Przestraszony światłem szczur uciekł w mrok.

Elryk wskoczył do środka i z przerażeniem zobaczył, że prawa ręka Elwhejczyka była już obgryziona. Upewniwszy się, że serce przyjaciela wciąż bije, przerzucił półtrupa przez ramię i wydostał się na pokład.

Zastanawiał się, jak, nie opuszczając przyjaciela, zemścić się na Jagreenie Lernie, gdy trzech wartowników skoczyło ku niemu.

— Albinos! Bandyta jest na wolności!

Wystarczyło, że Elryk ruszył tylko nadgarstkiem, a Zwiastun Burzy wykonał resztę roboty. Inni odskoczyli, przypomniawszy sobie triumfalne wkroczenie Melnibonéanina do Hwamgaarl.

Świeża energia przepelniła jego ciało. Z każdą następną ofiarą i nową skradzioną duszą jego siła wzrastała. Była to nieczysta energia, lecz potrzebna dla zwyciężenia Chaosu.

Domyśliwszy się, że Teokrata znajdował się na drugim statku, Elryk wskoczył na kładkę i przez nikogo więcej nie niepokojony przebiegł na statek Południowców. Na wyższym pokładzie zobaczył sztandar Argimiliaru, wokół którego bronili się Południowcy, pod dowództwem króla Hozela, człowieka patrzącego w oblicze nieuniknionej śmierci. Śmierci w pełni zasłużonej, pomyślał Elryk ponuro. Tym niemniej będzie ona oznaczała jeszcze jedno zwycięstwo Chaosu.

Wtem usłyszał okrzyk, odmienny od wszystkich pozostałych, okrzyk pełen nadziei. Z początku myślał, że to on został zauważony, lecz zaraz zobaczył, że jeden z Południowców wskazywał na północ i mówił coś z przejęciem.

Z mieszanymi uczuciami Elryk popatrzył na północ, gdzie widniały pełne buty okręty Purpurowych Miast. Żagle były jaskrawe, wesole. Niektóre bogato haftowane, ponieważ tylko najwspanialsze ozdoby miały prawo widnieć na żaglach Portów Purpury.

Lecz ich przybycie było spóźnione. A nawet gdyby wcześniej przyłączyły się do floty Południa, nie na wiele by się zdała ich pomoc i Pan Tang upiekłby dwie pieczenie na jednym ogniu.

W tej chwili Jagreen Lern zauważył Elryka i ryknął na swoich żołnierzy, którzy ostrożnie ruszyli półkolem na albinosa.

Przeklinając Elryk zaatakował napastników.

Zakreślił Czarnym Mieczem i gdy pierwsi wojownicy padli pod ciosami, reszta pierzchła. Droga do Teokraty była wolna.

Ale statki z Purpurowych Miast były już prawie w zasięgu katapult.

Elryk spojrział wprost na przestraszonego Jagreena Lerna i warknął:

— Wątpię, by mój miecz przeciął twoją ognistą zbroję za pierwszym uderzeniem, a tylko tyle czasu mi pozostało. Zostawiam cię teraz, ale pamiętaj, nawet jeżeli uda ci się podbić cały świat, i tak w końcu mój miecz wysączy z ciebie twą brudną duszę.

Powiedziawszy to, rzucił nieprzytomnego Moongluma za burtę i sam skoczył w niespokojne morze.

Chwyciwszy ciało przyjaciela i zagarniając wodę z nadludzką siłą, popłynął w kierunku najbliższego okrętu Kargana.

Teraz Jagreen Lern i jego ludzie zauważyli, że ich własny statek flagowy stanął w płomieniach. Elryk wykonał swoją robotę.

To odwróciło ich uwagę od nadciągającej Purpurowej Floty.

Ufając słynącym ze swej sztuki żeglarskiej Ludziom Morza, Elryk płynął wprost na czołowy galeon, wykrzykując imię Kargana.

Okręt delikatnie zboczył z kursu i Elryk ujrzał wyglądające znad burty brodate twarze, a po chwili opuszczone liny. Albinos złapał jedną z nich i pozwolił się wywindować na pokład.

Kargan gapił się na niego w osłupieniu.

— Elryk! Myśleliśmy, że nie żyjesz, ale teraz widzę, że działo się z tobą coś gorszego!

Melnibonéanin wypluł morską wodę i pospiesznie rozkazał:

— Zawracaj swoją flotę, Karganie! Wracajcie tam skąd przybyliście. Nie ma szans na uratowanie Południowców, oni są zgubieni. Musimy zachować siły na później!

Kargan wahał się przez chwilę, lecz zaraz wydał rozkazy, które zostały przekazane do jego sześćdziesięciu statków.

Elryk spojrział za siebie i pomiędzy statkami Jagreena Lerna zobaczył zaledwie jeden czy dwa statki Południowców. W promieniu mili na wodzie unosiły się

płonące resztki okrętów. Trzask ognia i bulgoczącej wody mieszał się z wrzaskami mordowanych i tonących ludzi.

— Po całkowitym rozgromieniu floty Południa — powiedział Kargan, patrząc na lekarza opatrującego rany Moongluma — podbicie Południowego Kontynentu jest już tylko kwestią czasu. My i Południowcy popełniliśmy ten sam błąd: za bardzo wierzyliśmy w naszą flotę morską. To doświadczenie nauczyło mnie, że muszę powiększyć umocnienia lądowe, jeżeli mamy przetrzymać nawałnice.

— Od teraz będziemy używali waszych portów jako kwatery głównej — powiedział Elryk. — Zrobimy umocnienia na całej wyspie i stamtąd będziemy kontrolować wypadki na Południu. W jakim stanie jest mój przyjaciel, doktorze?

— Nie ma żadnych ran wojennych — odpowiedział lekarz, podnosząc głowę. — Jest straszliwie wyczerpany i stracił dużo krwi, ale przeżyje. Żeby doszedł do pełni sił, potrzeba przynajmniej miesiąca.

— Będzie go miał — obiecał Elryk. Dotknął rękojeści Zwiastuna Burzy i pomyślał jakie jeszcze zadania czekają na nich, zanim rozegra się ostateczna bitwa pomiędzy Prawem i Chaosem.

Pomimo ciosu, który zadał Elryk, odsyłając z powrotem do Chaosu jego władców, siły Zła wkrótce zapanują nad połową tego świata. Im silniejszy staje się Jagreen Lern, tym bardziej wzrasta zagrożenie ze strony Chaosu.

Elryk westchnął i spojrzął na pomoc.

Dwa dni później dopłynęli do Wyspy Purpurowych Miast. Cała flota zgromadziła się w największym porcie Utkel, było bowiem lepiej mieć ją pod ręką i nie rozpraszać sił.

Przez całą noc Melnibonéanin radził z Ludźmi Morza, wysyłał posłańców z wiadomościami do Ilmiory i Vilmiru. Nad ranem do komnaty, gdzie odbywała się narada, ktoś delikatnie zapukał.

Kargan podszedł do drzwi i stanął jak wryty, patrząc na czarnoskórego człowieka, który ledwo mieścił się w przejściu.

— Sepiriz! — krzyknął Elryk. — Jak się tu dostałeś?

— Na koniu oczywiście — uśmiechnął się wielkolud. — Przecież znasz moc nihraińskich koni. Przybyłem cię ostrzec. Udało nam się w końcu skontaktować z Władcami Prawa, ale jak na razie niewiele mogą nam pomóc. Trzeba utorować drogę do ich wymiaru poprzez bariery stworzone przez sługi Chaosu. Wojska Jagreena Lerna zalały Południowy Kontynent i nie jesteśmy w stanie nic zrobić, żeby temu zapobiec. Kiedy Teokrata całkowicie podbije tamten kontynent, jego siła znacząco wzrośnie i będzie mógł ściągnąć na Ziemię więcej sojuszników z Piekieł.

— Więc jakie jest moje następne zadanie?

— Nie jestem jeszcze pewien. Ale nie po to tu przybyłem. Zwiastun Burzy przebywając ze swoimi braćmi zyskał na sile. Zapewne zauważyłeś, jak sprawnie przesyła energię do twojego ciała?

Elryk przytaknął.

— Ta moc jest zdobyta nieczystym sposobem i w swojej naturze jest zła. Siła Czarnego Miecza rośnie, jak również i twoja. Im większa będzie moc, tym bardziej będziesz musiał się z nią zmagać, żeby nie zapanowała nad tobą.

Albinos westchnął i uściskał rękę Sepiriza.

— Dzięki za przestrożę, przyjacielu. Gdy pokonałem Książąt Piekieł, którym wcześniej przyrzekałem wierność, nie spodziewałem się wyjść z tej walki bez zadraśnięcia. Słuchaj, Sepirizie, słuchajcie wszyscy, co ma wam do powiedzenia Elryk z Melniboné.

Wyciągnął warczącego Zwiastuna Burzy i podniósł pod światło, tak że zabłysnął w całej swej straszliwej sile.

— To jest miecz wykuty przez Chaos dla pokonania Chaosu i to jest również moje przeznaczenie. Choć świat przemienia się we wrzący gaz, ja będę żył teraz. Przysięgam na Kosmiczną Równowagę, że Prawo pokona Zło i na Ziemi nastanie Nowa Era.

Zaskoczeni, zmieszani ponurym ślubowaniem Ludzie Morza spojrzeli po sobie.

— Miejmy nadzieję — uśmiechnął się Sepiriz. — Miejmy nadzieję.

KSIĘGA TRZECIA

**TARCZA SMUTNEGO
OLBRZYMA**

*Trzyście po trzyście schodów, do Smutnego
Olbrzyma grotę
I Tarcza Chaosu tam leży
Siedem po siedem stoi drzew odwiecznych
Dwanaście po dwanaście wojowników na straży
Ale Tarcza Chaosu tam leży
I heros bladolicy wkroczy poń odważnie
I czerwony miecz podniesie po Tarczę
Pełnego żałoby dnia*

Z KRONIKI CZARNEGO MIECZA

Rozdział 1

Cień anarchii padł na cały świat. Nikt, ani Bogowie, ani ludzie, ani ci co rządili, nie byli w stanie przewidzieć jaka będzie przyszłość Ziemi. Co pisane jest temu światu pod wciąż silniejszą władzą Chaosu, rządzącego przy pomocy swoich ludzkich sług?

Od gór Zachodu, poprzez wzburzony ocean, aż po Południowe Równiny, Chaos sprawował swe rządy. Umęczone, zrozpaczone i bez odrobiny nadziei w sercach niedobitki zniewolonych narodów uciekały z dwóch opanowanych kontynentów. Na czele ludzkich sług Chaosu stał zdegenerowany, chciwy Teokrata z Pan Tang. Jagreen Lern o orlim nosie i wysokich ramionach, odziany w swoją płonącą szkarłatą zbroję, władał ludźmi i nadprzyrodzonymi stworzeniami, wciąż rozszerzając zasięg wpływów.

Na Ziemi panowały bezład i cierpienie. Tylko jeden kontynent był jeszcze wolny. Słabo zaludniony Wschód i Wyspa Purpurowych Miast przygotowywały się na pierwszy atak Jagreena Lerna. Fala przyptywu pod dowództwem Teokraty wkrótce zaleje cały świat, o ile nie znajdzie się jakaś wielka siła, która mogłaby powstrzymać tę nawałnicę.

Garstka ludzi, zgorzkniałych i bez krzty nadziei, pod dowództwem Elryka z Melniboné omawiała strategię, wiedząc, że potrzeba o wiele więcej, żeby powstrzymać nieczyste zastępy Jagreena Lerna.

Zdesperowany Elryk próbował wykorzystać zamierzchną sztukę magiczną swoich praojców, żeby skontaktować się z Władcami Prawa. Jednak zbyt trudne okazało się to zadanie, jego zamiar był z góry skazany na niepowodzenie. A w końcu słudzy Chaosu stali się tak silni, że Prawo nie mogło wysłać swoich posłańców na Ziemię, tak jak to kiedyś bywało.

Elryk i jego sojusznicy przygotowywali się do nadchodzącej bitwy z ciężkimi sercami, wiedząc, że ich wysiłek nie na wiele się zda. W głębi umysłu, skryty przed światłem dziennym, dręczył Elryka niepokój. Wiedział, że porażka Chaosu będzie oznaczała śmierć tego świata i narodziny nowej Ziemi, niedojrzałej, gotowej do obróbki przez Prawo. Ziemi, na której nie będzie miejsca dla nieokiełzanego, bladoliciego czarnoksiężnika.

Nawet Władcy Prawa i Władcy Chaosu, przebywając w innym wymiarze, na granicy dnia i nocy, nie znali przyszłego losu Melnibonéanina.

Chaos zwyciężał. Blokował wszelkie próby Władców Prawa przedostania się przez Królestwo Zła, jedyną teraz drogę na Ziemię. I Bogowie służący Prawu podzielali rozgoryczenie Elryka.

Ale jeżeli Dobro i Zło obserwowały Ziemię, kto w takim razie obserwował ich? Ponieważ Prawo i Chaos były jedynie dwiema szalkami na wadze, ręka trzymająca wagę rzadko mieszała się w walkę pomiędzy tymi dwiema siłami. Teraz chyba jednak zdecydowała się zmienić status quo. Na którą stronę przeważy się szala? Czy ludzie są w stanie na to wpłynąć? Czy może Bogowie? A może tylko Ręka Wszechświata jest w stanie przemodelować całą Ziemię, zmienić jej skład, zreformować jej duchowe składniki i postawić ją na innej ścieżce, wiodącej ku nowemu, lepszemu przeznaczeniu?

Najprawdopodobniej wszystko i wszyscy będą musieli odegrać swoją rolę, zanim zapadnie ostateczna decyzja.

Wielki Zodiak oddziałujący na Ziemię i jej Ery zakończył swój dwunastostopniowy cykl. Nowy rozpocznie się już niedługo. Koło Zodiakalne już się kręci. Jaki symbol będzie wyznaczał nową Erę, gdy Koło się zatrzyma?

Na Ziemi i poza nią panuje wielkie poruszenie, ważą się losy świata, planowane są niezwykle czyny, jednak czy to możliwe, że pomimo Bogów z Wysokich Światów, pomimo Ręki Wszechświata, pomimo miriad nadprzyrodzonych istot zamieszkujących kosmos, to ludzie zadecydują, jaka będzie przyszłość?

Nie ludzie, a jeden człowiek?

Jeden człowiek, jeden miecz, jedno przeznaczenie?

Elryk z Melniboné siedział zgarbiony w siodle i patrzył na krzątających się wojowników po rynku miasta Bakshaan. W tym mieście przed wielu laty albinos prowadził zbrojną kampanię przeciwko największemu kupcowi, przechytrzył wszystkich i wzbogacił się znacznie. Jednak teraz stare, nie spłacone rachunki zostały zapomniane. Ludzie wiedzieli, że przeżyć mogą tylko pod dowództwem albinosa. Jeżeli to w ogóle ma się udać, to właśnie jemu. Poszerzano i podwyższano mury wokół miasta, wojownicy ćwiczyli obsługę nowych, nieznanych maszyn wojennych. Z leniwego miasteczka kupieckiego Bakshaan zamieniło się w funkcjonalną, gotową do walki twierdzę.

Przez miesiąc Elryk zjeździł Ilmiorę i Vilmir wzdłuż i wszerz, doglądając przygotowań zamieniających dwa kraje w doskonałe maszyny wojenne.

Przeglądając zwoje pergaminu, które właśnie dotarły i przywołując z pamięci stare taktyki wydawał rozkazy porucznikom.

Pod wieczór niebo zasnuły ciężkie czarne chmury, ostro odcinające się od błękitnego nieba. Elryk owinął się połami płaszcza, bo wraz z nocą powietrze ochłodziło się.

Wtem, patrząc na zachodni nieboskłon, Melnibonéanin zauważył na horyzoncie jasno świecący punkt. Kula poruszała się szybko, pędząc w ich kierunku.

Obawiając się jakichkolwiek oznak nadciągającego Chaosu, Elryk krzyknął:

— Wszyscy na swoje pozycje! Uwaga na świecącą kulę! Kuła po chwili znalazła się nad miastem. Wszyscy spoglądali do góry w zachwycie i strachu zarazem, gotowi do walki.

Zapadła noc, zasnuwane chmurami niebo przesłoniło tarczę księżyca. Kula zaczęła powoli opuszczać się w dół. Emitowała przy tym dziwne promieniowanie. Elryk wyciągnął Zwiastuna Burzy. Czarny Miecz zajęczał cicho i również zaświecił — własnym, czarnym światłem. Świecąca sfera osiadła na ziemi i rozpadła się na milion malutkich fragmentów. Zajaśniały i po chwili zgasły.

Gdy Elryk zobaczył, kto stał na miejscu złotej kuli, zaśmiał się z wyraźną ulgą.

— Sepiriz, mój przyjacielu. Wybierasz przedziwne sposoby podróżowania.

Wysoki mąż o czarnej skórze pokazał białe zęby w szczerym szerokim uśmiechu.

— Niewiele mam już takich zaprzęgów, dlatego używam ich tylko w chwili największej potrzeby. Przywożę ci wiele wiadomości.

— Mam nadzieję, że są dobre, ponieważ złych mamy tyle, że starczyłoby nam na całe życie.

— Wiadomości są różne. Gdzie możemy porozmawiać na osobności?

— Moja kwatera znajduje się w tamtym budynku — Elryk wskazał bogato udekorowany dom po drugiej stronie placu.

Gdy znaleźli się w środku, Melnibonéanin nalał swemu gościowi żółtego wina. Ta kamienica należała do kupca Kelosa, przeciwnego rekwizycji i z tego powodu Elryk złośliwie używał wszystkiego, co było tu najlepsze.

Sepiriz wziął puchar i wysączył mocne wino.

— Czy zdołaliście skontaktować się z Władcami Prawa, Sepirizie? — zapytał Elryk.

— Tak.

— Dzięki Bogom. Czy zechcą nam pomóc?

— Zawsze nam pomagali, ale nie zrobili jeszcze wystarczającej wyrwy w barierze, którą Chaos postawił wokół planety. Jakkolwiek fakt, że udało mi się z nimi skontaktować, jest najlepszym wydarzeniem ostatnich miesięcy.

— Czyli, wiadomość jest dobra — poweselał Elryk.

— Nie za bardzo. Flota Jagreena Lerna już wyruszyła w waszym kierunku. Flota złożona z tysiąca statków i wspomagana nadprzyrodzonymi siłami.

— To nic nowego, na tę wiadomość oczekiwaliśmy już od jakiegoś czasu. Moja robota tutaj jest zakończona. Natychmiast wyruszam na Wyspę Purpurowych Miast, żeby objąć dowództwo nad naszymi okrętami.

— Szansę na wasze zwycięstwo są praktycznie zerowe — ostrzegł Sepiriz. — Czy słyszałeś o Piekielnych Okrętach?

— Słyszałem o nich, podobno pływają w głębinach oceanów, biorąc do załogi martwych marynarzy.

— Zgadza się. Te statki są tworamami Chaosu i są o wiele większe niż zwykle okręty. Nigdy nie zdołasz im się oprzeć. Nawet gdyby były tylko one, wasze szansę przeciwko takiej flocie byłyby bardzo nikłe.

— Wiem, że walka będzie ciężka, ale co innego mi pozostało? Moim sojusznikiem w walce przeciwko Złu jest ten oto miecz.

— Twoje ostrze ci nie wystarczy, potrzebujesz ochrony przed Chaosem. I o tym przyjechałem ci powiedzieć. O czymś, co pomoże ci w walce, ale żeby to dostać, musisz wpieryw odebrać od dotychczasowego właściciela.

— Kim on jest?

— Zatopionym w rozpaczliwych myślach olbrzymem, mieszkającym w zamku na krańcu świata za Pustynią Westchnień. Zwał go Mordaga. Był on kiedyś Bogiem, lecz sprawiono, że stał się śmiertelny, za grzechy niegdyś popełnione przeciwko Bogom.

— Śmiertelny? Ale żyje tak długo?

— Racja. Mordaga jest śmiertelny, jednak jego życie jest o wiele dłuższe niż życie zwykłego człowieka. On wariuje na myśl, że pewnego dnia będzie musiał umrzeć. To właśnie sprawia, że jest smutny.

— A broń?

— Właściwie to nie jest broń, ale tarcza. Tarcza wykuta dla pewnego celu, jaki wyznaczył sobie Mordaga wiele lat temu, gdy wzniecił powstanie w Królestwie Bogów, dążąc do uczynienia siebie Największym Bogiem. W dalszych planach zamierzał nawet wydrzeć Wieczystą Wagę z ręki Tego Który Ją Trzyma. Za to wygnano go na Ziemię i powiadomiono, że umrze pewnego dnia, zabity ręką śmiertelnika. Tarcza, jak zapewne się domyślasz, jest odporna na broń Chaosu.

— Jak to jest możliwe? — zapytał Elryk z zaciekawieniem.

— Beładna siła, jeżeli jest wystarczająco potężna, może zniszczyć każdą obronę, stworzoną z uporządkowanej materii. Żadna rzecz zbudowana na zasadach równowagi i porządku nie może zbyt długo opierać się bezpośrednim atakom Chaosu. Zwiastun Burzy jest dowodem, że jedyną efektywną bronią przeciwko Chaosowi jest coś stworzone przez sam Chaos. To samo może być powiedziane o Tarczy Chaosu. Jej struktura jest chaotyczna z natury, nie ma w niej nic zorganizowanego, co nieuporządkowane siły Zła mogłyby zniszczyć. Chaosowi przeciwstawia Chaos i tym sposobem wrogie siły znoszą się nawzajem.

— Rozumiem. Szkoda, że wcześniej nie miałem takiej tarczy. Wypadki mogłyby się potoczyć dla nas o wiele lepiej!

— Nie mogłem ci o niej powiedzieć. Tak jak wspominałem, jestem tylko sługą Przeznaczenia i nie mogę działać dopóty, dopóki nie dostanę wyraźnego polecenia

od moich panów. Możliwe, że oni chcą, by wpierw Chaos zapanował nad całym światem, zanim zostanie ostatecznie pokonany. Jeżeli w ogóle do tego dojdzie. Chcą, by siły Zła całkowicie odmieniły naturę naszej planety, nim rozpocznie się nowy cykl. Ziemia na pewno się przemieni, lecz kto w przyszłości będzie sprawował na niej władzę? Odpowiedź na to pytanie spoczywa w twoich rękach, Elryku z Melniboné!

— Przyzwyczyłem się już do dźwigania tego ciężaru. Jak rozpoznam tę tarczę?

— Po Znaku Chaosu złożonym z ośmiu strzał, które skierowane są odśrodkowo. Jest to ciężka, okrągła tarcza, zrobiona jako osłona dla giganta, ale z twoją energią dostarczaną przez Czarny Miecz będziesz miał wystarczająco dużo siły, żeby ją dźwigać. O to nie musisz się martwić. Natomiast musisz mieć odwagę, by odebrać ją dotychczasowemu właścicielowi. Mordaga zna przepowiednię, którą przekazali mu Bogowie, zanim wysłali go na Ziemię.

— A czy ty też ją znasz?

— Tak. W naszym języku wygląda to jak prosty rym:

*Mordagi dumnego zguba
Ludzi tu czterech przywiódł
I umrze jak człowiek Mordaga
Bo los swój w ręce im oddał*

— Czterech ludzi? Kim są pozostali trzej?

— Dowiesz się, gdy przyjdzie czas, byś wyruszył po Tarczę Chaosu. Czy pojedziesz do Purpurowych Miast, czy odszukasz Tarczę? Co postanowiłeś?

— Chciałbym mieć czas, żeby ją odszukać, ale czasu jest bardzo mało. Muszę gromadzić ludzi, z Tarczą lub bez.

— Będziesz pokonany.

— To się jeszcze okaże, Sepirizie.

— Bardzo dobrze, Elryku. Jako że tak niewielka część twojego losu znajduje się w twoich rękach, pozwolimy ci podejmować jedną decyzję naraz — czarny Nihrain uśmiechnął się życzliwie.

— Przeznaczenie jest łaskawe — ironicznie skomentował albinos, podnosząc się z fotela. Wyruszam natychmiast, nie ma bowiem czasu do stracenia.

Rozdział 2

Z rozwianymi włosami i płonącymi rubinowe oczami jechał Elryk poprzez zimną noc. Zalany ciemnością łąd oczekiwał w niepewności ataku Jagreena Lerna. Napaść ta oznaczała nie tylko śmierć, lecz uwięzienie dusz i służbę sprawie Chaosu.

Do floty Teokraty dołączyły nowe sztandary Południowych i Zachodnich łądów. Królowie podbitych krain zdecydowali się poddać i przejść na jego stronę. W zamian za to Jagreen Lern uwięził ich dusze, a ich samych poprzemieniał w bezmyślne, posłuszne tylko jemu stworzenia. Mordował i torturował kobiety i dzieci, wiele zostało zabitych na ołtarzach Pan Tang, gdzie kapłani odprawiali egzorcyzmy. Władcy Chaosu, dążąc do coraz większej dominacji na Ziemi, gorliwie odpowiadali na wezwania.

Nie same bestie z piekła rodem przedostawały się na Ziemię. Razem z nimi nadchodziła piekielna materia. W miejscach panowania Zła stały łąd falował jak morze, a morze płynęło jak lawa, góry zmieniały kształty, a drzewa pokrywały się straszliwymi, nieznanymi kwiatami.

Na wszystkich podbitych terenach widoczny był wpływ Chaosu. Same żywioły natury były torturowane i zmieniane w to, czym nie powinny być. Powietrze, ogień, woda i ziemia stały się niejednolite, ponieważ Jagreen Lern i jego sojusznicy ingerowali nie tylko w życie i dusze ludzi, lecz także w same składniki planety. Nie było żadnej wystarczająco potężnej siły by temu zapobiec i ukarać ich za zbrodnie. Żadnej.

Z takimi myślami Elryk chyżo posuwał się do przodu, by jak najszybciej objąć dowództwo żałośnie małej floty i stawić czoło nadchodzącej nawałnicy.

Dwa dni później przybył do portu Uhaio, znajdującego się na końcu najmniejszego z trzech Vilmiriańskich Półwyspów. Stamtąd wypłynął w kierunku Purpurowych Miast. Dotarłszy do wyspy, ponownie wsiadł na konia i pojechał w głąb łądu, w kierunku starożytnej fortecy Ma-ha-kil-agra, która przetrzymała wszystkie oblężenia, jakie kiedykolwiek przeciwko niej podjęto. Uważano ją za najpotężniejszą z warowni, na nie objętych Chaosem ziemiach. Jej nazwa brzmiała obco w starożytnym języku, nie znanym mieszkańcom Młodych Królestw. Tyl-

ko Elryk wiedział, co ona oznacza. Forteca ta istniała, gdy nadeszli współcześni ludzie, istniała tu zanim nastąpiła era Świetlanego Imperium. Ma-ha-kil-agra, Warownia-o-Zmierzchu, w której dawno temu swoich ostatnich dni doczekała pewna samotna rasa.

Gdy wjechał na dziedziniec, na jego spotkanie wybiegł Moonglum.

— Elryk! Oczekiwaliśmy twego przyjazdu z niecierpliwością! Czasu jest niewiele. Wkrótce musimy wyruszyć. Wysłaliśmy szpiegów na niewielkich statkach dla oszacowania nieprzyjacielskiej armii. Tylko czterech z nich wróciło. Wszyscy stracili rozum i nie ma z nich żadnego pożytku. Piąty dopiero co przybył, ale...

— Ale co?

— Sam się przekonaj. Ten człowiek został odmieniony.

— Odmieniony! W jaki sposób?! Muszę go zobaczyć. Zaprowadź mnie do niego — Elryk skinął głową witającym go dowódcem i ruszył za Moonglumem przez labirynt słabo oświetlonych korytarzy.

Wprowadziwszy Elryka do sieni, Rudowłosy zatrzymał się przed drzwiami.

— On jest w środku. Czy nie zechciałbyś przesłuchać go sam? Wołałbym nie oglądać go ponownie!

— Bardzo dobrze — Melnibonéanin otworzył drzwi, zastanawiając się, jakim zmianom mógł ulec ten biedak.

Przy drewnianym stole spoczywały szczątki człowieka, coś, co trudno było nawet nazwać. To coś podniosło głowę.

Elryk współczuł odmieńcowi, ale nie czuł obrzydzenia ani strachu, ponieważ w swej praktyce czarnoksiężskiej widywał gorsze widoki. Wydawało się, że cała jedna strona ciała tego człowieka zatrzymała się w trzech różnych stadiach przemiany. W jednym była lepka cieczą, w innym rozpływała się, a w trzecim zwinęła się w nieregularny kształt. Część głowy, barku, ręki, tułowia i nogi zostały zamienione w macki, jak u ośmiornicy. Wystawały z nich grudki ciała o przedziwnych barwach. Szpieg wyciągnął swą ludzką rękę, a część macek drgnęła i zafalowała.

— Jakie czary sprawiły taką przemianę? — zapytał cicho albinos.

Z koślawej twarzy wyrwało się coś w rodzaju chichotu.

— Wkroczyłem do Królestwa Chaosu, panie. To właśnie jego sprawka. Zostałem tam zmieniony w taki sposób. Granice Piekła zostały rozszerzone. Nie wiedziałem o tym. Znalazłem się w środku, zanim zdałem sobie sprawę z tego, co się stało. Chaos powiększa swoje terytorium! — wykrzyknął odmieniec i pochylił się do przodu, głos drżał mu z przejęcia. — Tuż za jego granicą płynie ogromna flota Jagreena Lerna. Zastępy okrętów wojennych i tysiące statków transportowych. Na wszystkich znajdują się wielkie maszyny wraz z mnóstwem żołnierzy. Królowie z Południa zaprzysięgli wierność Jagreenowi, stojącemu na czele tej potwornej floty! Razem ze zbliżaniem się statków, Teokrata rozszerza terytorium Chaosu i chociaż spowalnia to jego żeglugę, gdy przybędzie, Piekło będzie razem z nim. Widziałem też statki, które nie mogą być ziemskiego pochodzenia.

Wielkości zamków, każdy wymalowany w tysiące oślepiających kolorów!

— Więc Jagreen zdołał przywołać więcej nadprzyrodzonych sojuszników — wymamrotał Elryk. — To są Piekielne Okręty, o których mówił Sepiriz. . .

— Tak jest, i nawet jeżeli uda nam się pokonać zwykłe statki, nie mamy szans na zwyciężenie Piekielnych Okrętów i materii Chaosu, która wrze wokół nich i która przekształcała mnie w ten sposób! — krzyczał odmieniec z histerią w głosie. — Ta materia wrze, ulega zniekształceniom i ciągle się zmienia. Co więcej, ona w żadnym stopniu nie wpływa na Jagreena Lerna i jego ludzi, tak jak wpłynęła na moje ciało. Gdy zacząłem się zmieniać, uciekłem na Wyspę Smoków, gdyż oparła się procesowi przemiany i jest jedynym nienaruszonym łodem na terenie rządzonego przez Chaos. Szybko powróciłem do. . . zdrowia i zaryzykowałem podróż z powrotem.

— Postąpiłeś bardzo odważnie — powiedział Elryk spokojnie. — Obiecuję ci, że zostaniesz wynagrodzony.

— Pragnę tylko jednej rzeczy, panie.

— Czego mianowicie?

— Śmierci. Nie mogę dłużej żyć z takim ciałem!

— Zajmę się tym — obiecał Elryk i zamyślił się na chwilę. Pożegnał nieszczęśnika skinieniem głowy i wyszedł.

Na zewnątrz oczekiwał go Moonglum.

— Nasza sytuacja maluje się w czarnych kolorach, Elryku.

— Tak. Może powinienem wpierw odnaleźć Tarczę Chaosu — westchnął Melnibonéanin.

— Co to takiego?

Albinos wyjaśnił wszystko rudowłosemu Moonglumowi.

— Przydałaby się taka ochrona — zgodził się Elwheryjczyk. Ale jest już za późno. Teraz najważniejsze jest poprowadzenie naszej floty. Twój dowódca oczekują cię w komnacie narad.

— Będę tam za moment — obiecał Melnibonéanin. — Przedtem chcę zebrać myśli. Będę w moim pokoju. Powiedz im, że jak tylko się z tym uporam, dołączę do nich.

Wszedłszy do pokoju, Elryk zamknął drzwi na klucz. Wciąż myślał o wszystkim, co powiedział mu szpieg. Wiedział, że bez nadprzyrodzonej pomocy żadna zwykła flotylla, jak wielka by była, nie da sobie rady z Jagreenem Lernem. A rozporządzał jedynie niewielką flotą, nie miał żadnych nieziemskich sojuszników, ani żadnych środków na pokonanie Chaosu. Gdyby tylko zdobył Tarczę Chaosu. Ale nie ma co gdybać. Podjął taką decyzję, jaką uważał za słuszną. Jeżeli wyruszyłyby na poszukiwanie Tarczy, nie mógłby wziąć udziału w walce.

Od wielu tygodni szperał wśród zwojów pergaminu, odczytywał zatarte zapiski na kamiennych tabliczkach, przerzucał stare tomy i ciężkie płyty metalu

z wrytymi znakami. Żywioły pomagały mu w przeszłości, lecz teraz były tak osłabione przez Chaos, że nie na wiele mogły się przydać.

Odpiął pas i rzucił swój piekielny miecz na pokryte jedwabiami i skórami łożo. Uśmiechnął się krzywo na wspomnienie różnych swoich obaw, desperacji, zwątpień i braku nadziei jeszcze zupełnie niedawno, gdy podejmował wyprawy, które w porównaniu z oczekującym go zadaniem były przecież błahostką. Pomimo zmęczenia nie sięgnął po Zwiastuna Burzy by zaczerpnąć ożywczej siły, ponieważ temu, czego wtedy doznawał, towarzyszyło poczucie winy. To poczucie winy tkwiło w nim od samych narodzin, gdy zobaczył wyraz zawodu na twarzy swego ojca, gdy Sadryk pojął, że spłodził ułomne dziecko, albinosa, który bez pomocy leków albo magii niewiele był wart.

Elryk westchnął i podszedł do okna. Jego wzrok błądził po niewysokich wzgórzach, aż zahaczył o morze w oddali. Przemówił na głos, podświadomie żywiąc nadzieję, że głośne słowa przyniosą mu ulgę.

— Nie obchodzi mnie ta odpowiedzialność — rzekł. — Gdy walczyłem z Martwym Bogiem, powiedział mi, że zarówno Bogowie jak i ludzie odgrywają tylko niewielką rolę, zanim rozpoczną się nowe dzieje i człowiek będzie sam kierował własnym losem. Później Sepiriz powiedział mi, że muszę przeciwstawić się Chaosowi i tym samym pomóc zniszczyć ten świat. Wtedy historia rozpocznie się na nowo i dopełni się Wielki Plan Przeznaczenia. Dlatego to właśnie ja muszę być rozdarty na dwoje lecz odporny zarazem, bym wypełnił swój los. To ja nie mogę zaznać spokoju i muszę walczyć z ludźmi i Bogami, i materią Chaosu. Walczyć bez przerwy. Muszę spowodować śmierć tego wieku, żeby w odległej przyszłości na Ziemi pojawili się ludzie nie znający magii, ani Bogów z Wyższych Światów. Na Ziemi, na którą Chaos nie miałby wstępu, gdzie naprawdę panowałyby sprawiedliwość.

Przetarł oczy palcami.

— Czyli los zrobił Elryka męczennikiem, żeby Prawo mogło rządzić światem. Dano mu miecz przepelniony Złem, który zabija zarówno przyjaciół jak i wrogów, wysysa z nich dusze. Jestem związany ze Złem i Chaosem w taki sposób, że mogę je zniszczyć, ale to nie znaczy, że jestem gotów do bezmyślnych poświęceń. Nie, jestem Elrykiem z Melniboné, który nosi w sercu ogromny ciężar.

— Mój pan mówi na głos sam do siebie, mówi rzeczy ponure. Powiedz mi o nich, a pomogę ci je przewyciężyć, Elryku.

Zaskoczony albinos poznał od razu czyj to głos i odwrócił się na pięcie. Za nim stała jego żona, Zarozinia. Na jej młodej twarzy malowało się współczucie.

Postąpił krok naprzód i powiedział ze złością:

— Kiedy tu przybyłaś? Po co? Kazałem ci pozostać w pałacu ojca w Karlaak, aż załatwię tę sprawę, jeżeli w ogóle!

— Jeżeli w ogóle — powtórzyła, opuszczając ręce i wzruszając ramionami. Chociaż ledwo co opuściła wiek dziewczęcy, zachowywała się jak na księżniczkę

przystało. Z pełnymi, czerwonymi ustami i długimi, czarnymi włosami wydawała się starsza niż była w rzeczywistości.

— Nie zadawaj tego pytania — powiedział cynicznie. — Nie zadajemy tu tego pytania. Jednak odpowiedz na moje: Jak się tu dostałaś i dlaczego? — wiedział jaka będzie odpowiedź, ale mówił, żeby wyolbrzymić swoją złość. Złość wynikającą ze strachu, że ona znalazła się tak blisko niebezpieczeństwa, choć raz już ledwie ją uratował.

— Przybyłam tu z moim kuzynem Oplukiem — odpowiedziała zdecydowanie — gdy ten dołączył do obrońców Uhaio. Przyjechałam, żeby być blisko mojego męża, gdy będzie mnie potrzebował. Bogowie wiedzą, że nie miałam sposobu zapytać, czy on mnie potrzebuje!

— Zarozinio, kocham cię, więc uwierz mi, że gdybym miał jakiegokolwiek wytłumaczenie, byłbym teraz z tobą w Karlaak. Ale nie mam, znasz moją rolę i mój los, i moją zgubę. Przynosisz ze sobą smutek, nie pomoc. Jeżeli to wszystko zakończy się pomyślnie, połączymy się ponownie w szczęściu, a nie w smutku jak teraz!

Podszedł do niej i wziął ją w ramiona.

— Och, Zarozinio, nigdy nie powinniśmy byli się spotkać ani pobrać. W czasach takich jak te możemy się tylko ranić. Nasze szczęście było tak krótkie. . .

— Jeżeli tak ma być, to będę cię ranić — powiedziała cicho. — Ale jeżeli ma być inaczej, to jestem tu, żeby cię wspomóc.

— To są kochane słowa, moja pani — Elryk westchnął. — Ale teraz nie jest czas miłości. Odłożyłem miłość na później. Spróbuj uczynić podobnie i w ten sposób unikniemy zbędnych kłopotów.

Bez złości odsunęła się od niego i z ironicznym uśmiechem wskazała na łóżko, gdzie leżał Czarny Miecz.

— Widzę, że twój kochanek wciąż dzieli z tobą łożo — rzekła. — I nigdy więcej nie rozstaniesz się z nim, ponieważ Pan z Nihrain dał ci powód, żebyś go miał na zawsze przy sobie. Przeznaczenie, czy o to chodzi? Przeznaczenie! Ach, jakich to czynów ludzie dokonywali w imię Przeznaczenia. Ale co to jest Przeznaczenie, Elryku? Czy możesz mi odpowiedzieć?

— Jako że zadałaś to pytanie w gniewie — Melnibonéanin pokręcił głową — nie będę nawet próbował.

— Och, Elryku! — wybuchnęła nagle. — Podróżowałam wiele dni, żeby cię zobaczyć. Myślałam, że sprawię ci radość. A teraz mówisz do mnie ze złością!

— Ze strachem — odparł. — To strach, nie złość. Lękam się o ciebie, jak i o przyszłość całego świata! Proszę, odprowadź mnie na statek jutro rano, a potem jak najspieszniej wracaj do Karlaak.

— Jak sobie życzysz — powiedziała i zniknęła w niewielkim pokoju przylegającym do komnaty Elryka.

Rozdział 3

Mówimy tylko o porażce! — zagrzmiał Kargan z Purpurowych Miast, waląc pięścią w stół. Na jego twarzy malowała się furia.

Świt zastał kilku dowódców, którzy pomimo zmęczenia zostali w komnacie spotkań. Kargan, Moonglum, Dyvim Slonn i okrągłolicy Dralab z Tarkesh naradzali się nad taktyką.

— Mówimy o porażce, Karganie, bo musimy być przygotowani na taką ewentualność — odpowiedział Elryk. — Jest ona zresztą bardzo prawdopodobna, zgadza się? Jeżeli przegrana będzie nieunikniona, musimy ewakuować się, oszczędzając siły na przyszłość. Nie będziemy w stanie odeprzeć następnego zmasowanego ataku, więc musimy użyć naszej wiedzy, znajomości terenu, wiatrów i prądów morskich, żeby napadać na wroga z zasadzki. Może w ten sposób obniżymy morale ich armii i położymy trupem więcej żołnierzy.

— Racja, rozumiem o co ci chodzi — wymamrotał Kargan niechętnie, najwyraźniej zaniepokojony tą rozmową. Gdy bitwę przegrają, padnie również Wyspa Purpurowych Miast, bastion stojący na straży Ilmiory i Vilmiru.

Moonglum zmienił pozycję i dorzucił z ironią:

— I jeżeli będą na nas napierać, będziemy się cofać, uginając się przed nimi, ale nie poddając się. Będziemy znikać i pojawiać się w najmniej oczekiwanych momentach, siejąc zamęt w ich szeregach. Będziemy musieli przemieszczać się o wiele szybciej, niż nam siły i zapasy pozwolą — uśmiechnął się słabo. — Och, wybaczcie mi mój pesymizm. Pewnie nie na miejscu.

— Nie — odpowiedział Elryk. — Musimy wszyscy stawić temu czoło, bo inaczej nieprzyjaciel nas zaskoczy. Masz rację. Żeby nasz odwrót nie uległ dezorganizacji, wysłałem już oddziały na Pustynię Westchnień i na Płaczące Pustkowie z rozkazem zakopania zapasów prowiantu i broni. Jeżeli będziemy zmuszeni zapuścić się aż tam, będziemy w o wiele lepszej sytuacji niż Jagreen Lera, zakładając, że rozciągnięcie domeny Chaosu na te tereny zajmie mu trochę czasu i że jego sojusznicy z Wyższych Światów nie są wszechmogący.

— Rozsądnie prawisz. . . — odezwał się Dyvim Slorm. — Tak, ale niektórych rzeczy nie da się przewidzieć, ponieważ wraz z nadejściem całkowitej władzy

Chaosu, nie będziemy potrzebowali żadnych planów. Teraz omawiamy tę drugą ewentualność.

Kargan wypuścił powietrze z ust i wstał od stołu.

— Nie ma o czym więcej dyskutować — powiedział. — Udam się teraz na spoczynek. Musimy być gotowi do wypłynięcia wraz z południowym przyływem.

Wszyscy obecni przytaknęli i opuścili komnatę. Ciszę po naradzie przerywało tylko trzaskanie ognia oraz szelest papierów i map poruszanych ciepłym wiatrem.

Był późny ranek, gdy Elryk się obudził. Zarozinia już nie spała. Przyodziana w spódnicę i stanik wyszywany złotem, na plecy narzuciła srebrzystą pelerynę ciągnącą się po ziemi.

Po porannej toalecie Elryk zjadł przygotowane przez jego żonę owoce.

— Po co tak się wystroiłaś? — zapytał.

— Żeby cię pożegnać z brzegu — odpowiedziała.

— Jeżeli mówiłaś prawdę wczoraj wieczorem, lepiej, gdybyś się ubrała w pogrzebową czerwień — uśmiechnął się i odrzuciwszy nagle powagę, przygarnął ją do siebie. Przycisnął ją mocno, rozpaczliwie. Puścił po chwili, ujął za podbródek i podniósłszy jej twarz, spojrzał na nią z góry.

— W tych ponurych czasach — powiedział — niewiele jest miejsca na grę miłością i ciepłe słowa. Miłość musi być głęboka i silna, musi przejawiać się w czynach. Nie szukaj wielkich słów na moje pożegnanie, Zarozinio, ale pamiętaj nasze wcześniejsze noce, gdy jedynie bicie serc mąciło spokój.

Elryk przyodziął się w melnibonéański strój wojenny. Z przodu osłaniał go błyszczący czarny napierśnik, na ramiona miał narzuconą aksamitną kurtę z wysokim kołnierzem, na nogach czarne, skórzane bryczesy wsadzone w wysokie buty, jego plecy okrywał purpurowy płaszcz. Na palcu błyszczał Pierścień Królów z jednym niezwykłym kamieniem — Aktoriosem. Długie białe włosy spływały na ramiona. Na nich lśniła spiszowa opaska wysadzana drogocennymi magicznymi kamieniami — peryxem, mio i otredosem. Przy lewym boku zwisał Zwiastun Burzy, a przy prawym sztylet o czarnej rękojeści. Na stole pomiędzy otwartymi księgami leżał jeszcze wysoki na dwie stopy hełm w kształcie stożka. Przy otworach na oczy, obok starych znaków runicznych, wystawały małe figurki dwóch smoków z rozpostartymi skrzydłami i rozwartymi paszczami. Było to wspomnienie dawnej świetności przodków Elryka, którzy nie tylko byli Cesarzami Światlanego Imperium, ale również Władcami Smoków. Jednak wielkich jaszczurów zostało niewiele, i choć Elryk był także Władcą Smoków, teraz już jedynie Dyvim Slorm pamiętał mowę smoków i zaklęcia.

Melnibonéanin założył hełm, który osłaniał górną połowę głowy, tak że tylko jego rubinowe oczy świeciły spod przykrycia. Nie opuścił bocznych skrzydełek,

osłaniających policzki.

Zauważywszy milczenie Zarozinii, odezwał się z ciężkim sercem:

— Chodźmy, moja miłości. Pójdźmy na przystań i niech ci wszyscy barbarzyńcy zobaczą prawdziwie elegancki ubiór. Nie obawiaj się, że nie przeżyję tego dnia, Przeznaczenie bowiem nie skończyło jeszcze ze mną i ochrania mnie jak matka ochrania swoje dziecko. Będę jeszcze świadkiem wielu nieszczęść i smutku, aż do dnia, gdy i na mnie zapadnie wyrok.

Wyjechali z Warowni-o-Zmierzchu na nihraińskich koniach i skierowali się ku przystani, gdzie zebrali się już wszyscy dowódcy.

Przyodziani w swoje najlepsze wojenne ubiory, nie mogli się równać z Elrykiem. Wielu z nich zaniepokoił jego widok. Przyczyna niepokoju została dawno temu zakodowana głęboko w ich podświadomości, powód strachu przekazywany był z dziada pradziada od czasów, gdy przodkowie Elryka dowodzili milionem przerażających wojowników. Dzisiaj Melnibonéanina witała zaledwie garstka Imrryrian, gdy jechał wzdłuż nabrzeża, spoglądając to na ludzi, to na zakotwiczone okręty z powiewającymi na bryzie dumnymi sztandarami.

Hełm Dyvima Slorma wykuty był na wzór głowy smoka o czerwonych, zielonych i srebrnych łuskach. Zbroję miał w kolorze żółtym, lecz reszta jego rynsztunku była czarna jak u Elryka. Przy boku zwisał bliźniaczy miecz Zwiastuna Burzy — Żałobne Ostrze.

Dyvim Slorm obrócił przyodzianą w metal głowę ku otwartemu morzu. Ani na spokojnej wodzie, ani na błękitnym niebie nie było widać oznak zbliżającego się nieszczęścia.

— Przynajmniej pogoda nam sprzyja — powiedział.

— Niewielka to pociecha — uśmiechnął się Elryk. — Czy są jakieś wieści na temat ich liczebności?

— Szpieg, który wrócił wczoraj, zanim umarł powiedział, że naliczył przynajmniej cztery tysiące okrętów wojennych, dziesięć tysięcy transportowców i około dwudziestu statków z Chaosu. Na nie trzeba będzie zwrócić szczególną uwagę, nie wiemy bowiem jaką siłą rozporządzają.

Elryk przytaknął skinieniem głowy. Ich flota składała się z około pięciu tysięcy okrętów wojennych. Wiele z nich było wyposażonych w katapulty i inny ciężki sprzęt. I chociaż w liczbie transportowców Jagreen Lern bił ich na głowę, były one powolne i nieprzydatne w bitwie morskiej, gdzie ogromną rolę odgrywały katapulty. Ponadto, jeżeli zwyciężą, to transportowcami zajmą się później, bo najprawdopodobniej one ciągną z tyłu, za flotą Teokraty.

W normalnych warunkach mieliby nawet większe szansę na zwycięstwo, lecz Piekielne Okręty były niepokojącą niewiadomą. Elryk potrzebował więcej obiektywnych informacji, żeby przedsięwziąć jakieś kroki. Teraz dowie się wszystkiego, gdy zobaczy Piekielne Okręty na własne oczy.

Za koszulę miał wsunięty manuskrypt ze skóry zwierzęcej, na którym wypisane było niezwykle silne zaklęcie przywołujące Króla Morza. Po nieudanej próbie na lądzie Elryk miał nadzieję, że na otwartym morzu odniesie lepszy skutek, zwłaszcza że Król będzie rozeźlony z powodu przemian w przyrodzie. Dawno temu Król Mórz pomógł mu i przepowiedział, że Melnibonéanin będzie jeszcze raz potrzebował jego pomocy.

Kargan był ubrany w grubą, lecz lekką zbroję, przez co wyglądał jak brodaty pancernik. Wskazał na zbliżające się do kei łódki i krzyknął:

— Te łodzie zabiorą nas na nasze okręty, moi panowie!

Zebrani dowódcy wzdrygnęli się na te słowa. Każdy stał z poważną miną, zatopiony we własnych myślach, patrzący w głąb swojego serca. Może próbowali odnaleźć strach, który tam siedział, złapać go i odrzucić jak najdalej się dało. Do zwykłego strachu, odczuwanego przed każdą walką, dołączyła teraz wielka trwoga, którą niosło widmo Piekielnych Okrętów, gdyż ich możliwości nikt, nawet Elryk, nie znał.

To była desperacka próba, ponieważ wszyscy zdawali sobie sprawę, że za horyzontem oczekuje ich coś gorszego od śmierci.

Elryk uścisnął dłoń Zarozinii.

— Do zobaczenia.

— Żegnaj, Elryku. Niech wszyscy życzliwi Bogowie, jacy zostali na Ziemi, mają cię w swojej opiece.

— Oszczędź modlitwy dla moich towarzyszy — odpowiedział po cichu. — Im będzie o wiele trudniej sprostać temu zadaniu.

Moonglum zawołał do nich z kei:

— Ucałuj ją, Elryku, i chodź do łodzi. Powiedz jej, że wrócimy zwycięsko wraz z przypiływem!

Dyvim Slorm nie pozwoliłby sobie na taką zażyłość, na jaką pozwalał sobie Moonglum. Albinos wziął to za dobry znak i powiedział ciepło:

— Widzisz, nawet Moonglum, który uchodzi za widzącego przyszłość w czarnych barwach, jest dziś dobrej myśli!

Nic nie odpowiedziała, lecz pocałowałszy go lekko w usta, ścisnęła jego rękę. Potem patrzyła jak szedł po kei i wszedł na łódź, na której byli Kargan i Moonglum.

Wiosła zanurzyły się w wodzie i łódka ruszyła w kierunku okrętu flagowego, zwanego Rozpruwaczem. Gdy podpłynęli do statku, Elryk rzucił ostatnie spojrzenie w kierunku lądu i zaczął wdrapywać się po drabince sznurowej na pokład.

Wioślarze wzięli się do roboty, żeby wspomóc słaby wietrzyk, który wypełniał ogromny purpurowy żagiel.

Wyspa zniknęła już za horyzontem i dookoła floty rozciągał się bezmiar błyszczącego w słońcu oceanu.

Statki sformowały szyk bojowy. Podzieliły się na pięć szwadronów. Na czele każdego stał doświadczony żeglarz z Portów Purpury. Wielu dowódców nie było marynarzami i chociaż skorzy do nauki — nie mieli doświadczenia w taktyce morskiej.

Moonglum, zataczając się, podszedł do Elryka.

— Jak spałeś wczorajszej nocy? — zapytał albinosa.

— Całkiem nieźle, jeżeli nie liczyć kilku koszmarów.

— Więc miałeś więcej szczęścia niż cała reszta. Sen długo nie przychodził, a jak już nadszedł, był niespokojny. Śniłem o potworach i demonach w moich koszmarach.

Elryk przytaknął, ale w rzeczywistości nie zwracał zbytniej uwagi na słowa przyjaciela. Zło ukryte na Ziemi pod różnymi postaciami budziło się do życia pod wpływem zbliżania się Chaosu. Miał nadzieję, że uda im się przeciwstawić rzeczywistości, tak jak udało się przeżyć złe sny.

— Zaburzenia od przodu! — doleciał zmieszany i niespokojny okrzyk z bocianiego gniazda. Elryk przyłożywszy dłoń do ust i odchyliwszy głowę do tyłu, krzyknął:

— Jakiego rodzaju zaburzenia?!

— Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem, panie. Nie umiem tego opisać.

— Przekaż rozkaz wszystkim dowódcom — zwrócił się Elryk do Moongluma.

— Zwolnić tempo do jednego uderzenia na cztery. Niech dowódcy szwadronów czekają rozkazów do ataku — podszedł do masztu i zaczął się wspinać. Gdy dotarł na szczyt, marynarz ustąpił mu miejsca w bocianim gnieździe i zapytał:

— Czy to jest nieprzyjaciel?

Elryk wytężył wzrok, próbując pojąć co się działo na horyzoncie. W oddali panowała oślepiająca ciemność, z której od czasu do czasu wystrzeliwały w powietrze bezkształtne wypustki materii, by na chwilę zawisnąć w bezruchu i powrócić w ciemność. Dymiąca, nieokreślona masa stopniowo przybliżała się do nich, pełznąca i pochłaniająca wody oceanu.

— Tak, to jest nieprzyjaciel — cicho odpowiedział Elryk.

Patrzył jeszcze przez chwilę, jak materia Chaosu przelewa się i porusza. Wydawało się, że to ogromny bezpostaciowy potwór w śmiertelnej agonii. Ale nie była to agonია, na pewno nie Chaosu.

Z tego punktu obserwacyjnego Elryk miał dobry widok na całą flotę. Szyk floty w formie klina miał w najszerszym miejscu prawie milę i był na dwie mile długi. Jego okręt flagowy płynął na czele, trochę wysunięty do przodu, żeby być dobrze widocznym przez statki dowodzące szwadronami. Elryk krzyknął do przechodzącego pod masztem Kargana:

— Przygotuj się do odłączenia, Kargan!

Bez zatrzymywania się Kargan kiwnął głową. Po tylu godzinach narad bardzo dobrze znał plan wojenny. Pierwszy szwadron składający się z najcięższych

okrętów miał, pod dowództwem Melnibonéanina, odłączyć się pierwszy od całej floty i uderzyć w sam środek nieprzyjaciela, by złamać szyk bojowy wroga i zaatakować statek Jagreena Lerna. Gdyby udało się pojmać lub zabić Teokratę, wzrosłyby szanse na zwycięstwo.

Czarna masa zbliżyła się dostatecznie i Elryk mógł już rozróżnić żagle pierwszych statków, płynących jeden za drugim. Po chwili uświadomił sobie, że po obu stronach wiodących statków płynęły błyszczące kształty, swym ogromem przycmiewające nawet wielki masztowiec Jagreena Lerna.

Piekielne Okręty!

Elryk rozpoznał je teraz. To były statki, które w normalnych warunkach przemierzały głębie oceanów, biorąc topielców do załogi i mając bestie za kapitanów. To była flota z najgłębszych i najbardziej ponurych zakątków podmorskiego królestwa. O te tereny od zarania dziejów trwała walka między Królem Morza, Straaszą, i Władcami Chaosu, którzy rościli sobie prawa do głębin morskich, jako ich głównej siedziby na Ziemi. Legendy głosiły, że w zamierzczłych czasach Morzami władał Chaos, a Prawo władało Lądem. To wyjaśniało, dlaczego wielu ludzi bało się wody i dlaczego niektórych do niej ciągnęło.

Faktem jednak było, że płytsze wody dostały się w posiadanie Straashy, a głębiny wraz z Piekielnymi Okrętami ostały się w rękach Zła. Statki te nie pochodziły z żadnej ziemskiej stoczni, ani ich kapitanowie nie byli z tej ziemi. Martwi ludzie stanowili załogi nie do pokonania w żaden ziemski sposób.

Gdy zbliżyli się dostatecznie, Elryk rozpoznał jaskrawy herb Chaosu na żaglach: osiem rozchodzących się ze środka bursztynowych strzał na znak posiadania wszelkich możliwości. Prawo miało ponoć zaprzepaścić swoją jedyną szansę i ulec stagnacji, znakiem Prawa była skierowana do góry pojedyncza strzała, oznaczająca kierunek i kontrolę.

Melnibonéanin wiedział, iż w rzeczywistości to Chaos był prawdziwym zwiastunem stagnacji, bo chociaż ulegał ciągłym przemianom, nigdy nie posuwał się do przodu. Ale Elryk tęsknił w głębi serca do takiego stanu, był bowiem kiedyś oddany wielu Władcom Chaosu, a także jego przodkowie zawsze hołdowali ich celom.

Lecz teraz Chaos musi walczyć z Chaosem, a Elryk musi się zwrócić przeciwko tym, których kiedyś czcił. Przy pomocy broni z Chaosu musi ich teraz zniszczyć.

Albinos zszedł z masztu i zeskoczywszy na pokład z wysokości paru stóp, stanął obok Dyvima Slorma. Opowiedział mu szybko, co widział.

— Ale Flota Umarłych nigdy nie pojawia się na powierzchni — zdumiał się kuzyn. — Chyba że... — jego oczy się rozszerzyły.

— Tak mówią legendy — wzdrygnął się Melnibonéanin. — Flota Umarłych wypłynie na powierzchnię wtedy, gdy dojdzie do ostatecznej bitwy, gdy siły Chaosu powstaną przeciwko sobie, gdy Prawo będzie słabe, a rodzaj ludzki opowie się

za którąś ze stron. W ostatecznej bitwie rozstrzygnie się, kto obejmie całkowitą władzę nad Ziemią.

— Czy to zatem jest ostateczna bitwa?

— Być może. Na pewno jest jedną z ostatnich, a one zdecydują czy Prawo, czy Chaos będą rządzić Ziemią po wsze czasy.

— Jeżeli zostaniemy pokonani, to Chaos niezaprzeczalnie zapanuje nad Ziemią.

— Możliwe, jednak pamiętaj, że nie same bitwy przeważają szalę zwycięstwa.

— Sepiriz tak mówił, ale jeśli zostaniemy pokonani, marne są szanse, że się tego dowiemy — powiedział Dyvim Slorm i złapał rękę Żałobnego Ostrza.

— Ktoś musi użyć tych mieczy w decydującym starciu. Zostaje nam coraz mniej sojuszników, Elryku.

— Racja, ale mam nadzieję, że uda mi się przywołać kilku następnych. Straasha, Król Wodnych Żywiołów, zawsze walczył przeciwko Piekielnym Okrętom. Jest on również bratem Graolla i Mishy, Władców Wiatrów. Może poprzez Króla Morza uda mi się przywołać jego nieziemskich krewniaków. Gdyby mi się powiodło, mielibyśmy przynajmniej jakieś szanse.

— Pamiętam tylko część zaklęcia przywołującego Króla Morza — odrzekł Dyvim Slorm.

— Ja pamiętani całość runicznego przywołania i lepiej będzie jeżeli zacznę je sobie układać w głowie już teraz. Za jakieś dwie godziny obie floty się spotkają i wtedy nie będę miał czasu na przywoływanie nadprzyrodzonych sojuszników.

Elryk przeszedł na dziób i przechyliwszy się, wpatrywał się w głąb oceanu. Zaczął kontemplować zaklęcia stare i dziwne jak sam świat. Był niczym zahipnotyzowany, jego myśli oderwały się od ciała i połączyły z wirującym oceanem. Myśli i woda stały się jednym.

Poza świadomością w jego krtani uformowały się runy, a usta wypowiadały bezdźwięczne słowa. Słowa, które wymówili jego przodkowie, gdy razem z ziemskimi żywiołami zaprzysięgli wzajemną pomoc. Dziesięć tysięcy lat temu, gdy Świetlane Imperium było jeszcze młode.

*Morze dało nam życie
Było mlekiem ssanym od matki
W dniach gdy chmury na niebie wisały
Pierwsi będą zaprawdę ostatni
Władcy mórz nasi ojcowie
Wasza pomoc potrzebna nam jest
Wasza sól naszą krwią waszej soli
Wasza krew krwią człowieka też jest
Straasha pomóż mnie i sobie
Wróg nasz blisko nadszedł już*

*Nasze dusze chce twe morze
Zgnieść by nic nie było tu*

Wyartykułowany wiersz runiczny był jedynie obrazem akustycznym rzeczywistego przywołania, przesłanego umysłem. Mentalne postanie skierowane w głąb oceanu przemierzyło ciemnozielone, wodne korytarze, aż dotarło do Strashy. Poskręcane konstrukcje z koralowców i skał tylko częściowo znajdowały się w ziemskim oceanie. Częściowo bowiem znajdowały się w wymiarze, w którym często przebywali nieśmiertelni Władcy Żywiołów.

Strasha wiedział, że Piekielne Okręty opuściły głębiny i wzniosły się na powierzchnię. Cieszył się, że nareszcie jego królestwo zostało uwolnione od ich obecności, ale wiadomość od Elryka przypomniła mu o rasie Melnibonéan i o zawartym niegdyś pakcie. Wspomniał stare zaklęcie przywołujące i wiedział, że musi na nie odpowiedzieć. Nie tylko ludzie cierpieli, Władcy Żywiołów i ich podwładni równie ciężko odczuwali postępujące zmiany.

Posłuszny wezwaniu, zebrał cześć swoich sług i zaczął wznosić się ku powierzchni, ku Królestwu Powietrza.

Półprzytomny Elryk czuł, że jego magia odniosła pożądany skutek. Czekał, leżąc na dziobie.

W końcu powierzchnia morza zmaćla się, wody się rozstały i na wysokość pokładu wzniosła się postać o turkusowej brodzie i włosach, o jasnozielonej skórze, zdającej się wodą i o głosie, grzmiącym jak fala przyływu.

— Po raz wtóry Straasha odpowiada na twoje wezwanie, śmiertelniku. Nasze przeznaczenia idą po tej samej ścieżce. W jaki sposób mogę użyć ci swej pomocy i tym samym dopomóc samemu sobie?

W mowie, dla której krtań ludzka nie była stworzona, Elryk powiedział mu o nadchodzącej bitwie i o jej następstwach.

— Więc nareszcie do tego doszło! Lękam się, że niewiele pomocy mogę ci udzielić, bo mój własny lud straszliwie cierpi z powodu grabieży czynionych przez naszego wspólnego nieprzyjaciela. Pomożemy ci tyle, ile będziemy w stanie. To jest obietnica.

Król Morza rozpląnął się w wodzie, a Elryk patrzył za nim z wielkim zawodem. Zamyślony opuścił dziób statku i wrócił do kabiny, żeby podzielić się najświeższymi wiadomościami.

Przyjęto je z mieszanymi uczuciami, ponieważ tylko Dyvim Slorm był przyzwyczajony do obcowania z nadprzyrodzonymi siłami. Moonglum odnosił się zawsze z dystansem do prób kontrolowania nieokiełznanych Władców Żywiołów przez Elryka. A Kargan wymamrotał, że Straasha był może sojusznikiem Melnibonéan, ale dla Ludzi Morza był raczej nieprzyjacielem. Mimo wszystko czterej

kapitanowie widzieli teraz przyszłość w jaśniejszych barwach i pewniej patrzyli na zbliżającą się próbę.

Rozdział 4

Flota Jagreena Lerna zbliżała się do nich, a jej śladem ciągnęła wrząca materia Chaosu.

Elryk wydał komendę i wiosłarze natarli na wiosła ze zdwojoną energią. Na razie nie było widać morskich sprzymierzeńców, ale nie mógł pozwolić sobie na zwłokę.

Podczas gdy Rozpruwacz nabierał prędkości, albinos opuścił skrzydełka na hełmie, które ochraniały dolną część twarzy. Podniósł Zwiastuna Burzy do góry i ryknął z całych sił. Był to stary jak świat, świszczący, przepełniony radością zabijania okrzyk wojenny Melnibonéan. Czarny Miecz dołączył do pieśni swego pana, dając upust swej żądzy krwi i dusz.

Okręt flagowy Jagreena Lerna znajdował się teraz za trzema rzędami fregat i za Piekielnymi Okrętami.

Żelazny taran okrętu Elryka rozpruł pierwszy wrogi statek. Cofnął się do tyłu i przygotował do przebicia następnego poniżej linii wodnej. Na pokład runęła chmura strzał odbierając życie kilku wiosłarzom.

Elryk wraz z trzema przyjaciółmi kierowali swoimi ludźmi z górnego pokładu, gdy nagle spostrzegli nadlatujące od strony nieprzyjaciela płonące zielone kule.

— Przygotować się do gaszenia ognia! — wrzasnął Kargan. Grupa wyznaczonych uprzednio żołnierzy skoczyła do beczek zawierających specjalną substancję, sporządzoną według receptury Melnibonéanina. Pokład i żagle zostały spryskane tą cieczą i gdy kula spadła na statek, płomienie wnet zgasły.

— Jeżeli nie zostaniemy zmuszeni, nie będziemy podejmować walki — rozkazał Elryk. — Kierujemy się w stronę okrętu flagowego. Zyskalibyśmy bardzo wiele, gdyby udało nam się go zatopić!

— Gdzie się podziali twoi sojusznicy, Elryku? — zapytał Kargan ironicznie. Przez jego ciało przeszedł dreszcz, gdy w oddali zauważył materię Chaosu, która nagle poruszyła się i wyrzuciła w górę swe czarne macki.

— Nie obawiaj się, przybędą — odpowiedział albinos, choć sam nie wierzył w to, co mówił.

Znajdowali się teraz w samym środku floty nieprzyjaciela. Za nimi płynęły

statki ich szwadronu, kładąc ogień zaporowy z gładów i ognia.

Jedynie garstka okrętów płynących za okrętem flagowym przedarła się przez pierwszy szpaler statków i wypłynęła na otwarte morze.

Gdy wróg uświadomił sobie, że one kierują się ku statkowi Jagreena Lerna, w stronę Teokraty skierowało się kilka zwykłych oraz dwadzieścia iskrzących się, wielkich Piekielnych Okrętów. Z niesamowitą prędkością utworzyły one naokoło niego zaporę nie do sforsowania.

Kargan krzyknął do dowódców pozostałych statków rozkaz ustawienia się w nowej formacji.

— Jak takie ogromne statki mogą utrzymywać się na wodzie? — zapytał Moonglum, kręcąc ze zdziwienia głową.

— Mało prawdopodobne, że w ogóle jej dotykają — odpowiedział Elryk. Jego statek wykonywał manewry, by ustawić się w nowej pozycji, a on stał wpatrzony w okręty, które swym ogromem przyćmiewały wszystko, co znajdowało się w ich pobliżu. Wydawało się, że świeciły barwami tęczy. Ich kształty były rozmyte, trudne do określenia. Na ogromnych pokładach przemykały cienie niewidzialnych postaci.

Nad wodą zaczęły pojawiać się smugi czarnej materii. Dyvim Slorm wskazał na nie i krzyknął:

— Patrzcie! Chaos nadchodzi. Gdzie Straasha z jego ludźmi?

Zaniepokojony Elryk pokręcił głową. Był najwyższy czas, aby Król Morza się pojawił.

— Nie możemy dłużej czekać. Musimy atakować! — ryknął Kargan.

Elryk poczuł nagle dziwną błogość, która wywołała uśmiech na jego twarzy.

— Ruszajmy więc! — powiedział.

Nabierając prędkości, szwadron ruszył w kierunku statków śmierci.

— Płyniemy prosto w paszczę lwa, Elryku — wymamrotał Moonglum. — Nikt o zdrowych zmysłach nie zbliża się z własnej woli do tych okropnych statków. One przyciągają tylko martwych, a i ci nie idą tam z uśmiechem na ustach!

Lecz Elryk zignorował słowa przyjaciele.

Niesamowita cisza zapanowała nad wodą, wzmacniając dźwięk zanurzanych wiosł. Flota Umarłych oczekiwała ich w bezruchu, jak gdyby nie potrzebowali żadnych przygotowań do walki.

Melnibonéanin ścisnął mocniej rękojeść Zwiastuna Burzy. Miecz odpowiadał lekkimi ruchami w takt szybkiego pulsu jego pana, jak gdyby był z nim połączony nerwami i arteriami.

Znajdowali się teraz dostatecznie blisko i można było wyraźnie zobaczyć załogi Okrętów Umarłych, tłoczące się na pokładach. Elryk z przerażeniem zdał sobie sprawę, że rozpoznał kilka twarzy i nieświadomie wrzasnął wzywając Króla Morza.

— Straasha!

Woda dokoła nich wzburzyła się, spieniła, jak gdyby próbując wznieść się do góry, ale opadła, niby wyzuta z sił. Straasha usłyszał wezwanie, lecz ciężko było mu walczyć z siłami Chaosu.

— Straasha!

Na próżno. Tym razem powierzchnia wody ledwo się zmarszczyła.

Elryk popadł w dziką rozpacz.

— Nie doczekamy się pomocy! — krzyknął do Kargana. — Musimy opłynąć flotę Chaosu i spróbować zająć statek Jagreena Lerna od tyłu!

Kargan wydał rozkazy i statek ostro zmienił kurs, żeby opłynąć Okręty Umarłych szerokim półkolem. Na twarz Elryka i na pokład poleciały krople morskiej wody. Niewiele było widać podczas manewru wymijania. Niektóre ze statków-widm starły się z pozostałymi w tyle żaglowcami. Upiorne fregaty zmieniały konsystencję drewna, z którego stworzone były ziemskie żaglowce, statki rozpadały się, a członkowie załóg, skacząc z pokładu, tonęli lub byli odmieniani w niesamowite potwory.

Do uszu albinosa doleciały zrozpaczone krzyki pokonanych i triumfalny grzmot upiornej muzyki z nacierających Piekielnych Okrętów.

Rozpruwacz kołysał się na falach i ciężko było nad nim zapanować, jednak w końcu znaleźli się na tyłach wrogiej floty i natarli na statek Jagreena Lerna od rufy.

Będąc niedawno więźniem na tym statku Elryk rozpoznał go od razu. Taran o kilka stóp minął się z flagowcem Teokraty, jednak Rozpruwacz zszedł z kursu. Musieli powtórzyć cały manewr od początku. Na pokład posypał się rój strzał. Odpowiedzieli tym samym i zbliżywszy się burtą do wrogiej fregaty rzucili liny abordażowe. Wiele z nich zostało odciętych, lecz te które były nienaruszone zmniejszyły odległość między dwoma okrętami. Po chwili opuszczono kładki, po których Elryk wraz z Karganem i grupą wojowników przeszli na wrogi statek w poszukiwaniu Jagreena Lerna.

Zanim Melnibonéanin dostał się na górny pokład, Zwiastun Burzy pochłonał niemało dusz wraz z życiem ich właścicieli. Na górze w otoczeniu kilkunastu oficerów stał kapitan, od którego biło światło. Jednak nie był to Jagreen Lern.

Wbiegłszy po trapie na górny pokład, Elryk odciął rękę żołnierza, zastępującego mu drogę.

— Gdzie jest wasz przeklęty przywódca? Gdzie jest Jagreen Lern? — krzyknął w kierunku stłoczonych wojowników.

Kapitan zachwiał się, błądy na twarzy, widział bowiem w przeszłości do czego byli zdolni Elryk i jego miecz.

— Nie ma go tu, Elryku. Przysięgam.

— Co? Czyżby znowu mnie okpiono? Wiem, że kłamiesz! — Melnibonéanin ruszył w kierunku wycofującej się grupy.

— Nasz Teokrata nie musi chronić się przy pomocy kłamstw, straceńcu! — parsknął młody oficer, odważniejszy od innych.

— Może nie — powiedział Elryk i śmiejąc się dziko natarł na młodzika. — Zabiję cię, a potem sprawdzę prawdziwość twoich słów. Mój miecz i ja potrzebujemy nowych sił, a twoja duszyczka posłuży jako znakomita przekąska, zanim dobiore się do Lerna!

Wojownik zasłonił się mieczem, lecz Zwiastun Burzy rozdaj broń na dwoje i zamachnąwszy się po raz wtóry wpił się w ramię ofiary. Uderzenie nie powaliło oficera na ziemię, wciąż stał z zaciśniętymi pięściami.

— Nie! — wybełkotał. — Nie moją duszę! Nie! — oczy rozszerzyły się, trysnęły łzy. Po chwili Elryk wyciągnął nasycone ostrze, zaczerpnąwszy część wyśączonej energii. Nie odczuwał żadnego współczucia dla tego człowieka.

— Twoja dusza i tak dostałaby się do piekła — dodał — a teraz przynajmniej przysłuży się dobrej sprawie.

Dwaj inni oficerowie daremnie próbowali umknąć przechodząc przez reling.

Jednemu Elryk odciął dłoń, tak że nieszczęśnik z krzykiem spadł na dolny pokład. Drugiego przekłuł na wylot i zostawił przewieszzonego przez liny, jęczącego straszliwie.

Wyzwolona energia dodała skrzydeł Elrykowi i gdy zaatakował oficerów, wydawało się, że leci w powietrzu. Wbił się z impetem w grupę i odcinał kończyny, jak gdyby to były łodygi kwiatów. Po chwili został tylko on i kapitan fregaty.

— Poddaję się. Nie zabieraj mojej duszy — wybełkotał dowódca.

— Gdzie jest Jagreen Lern?

Ofiara wskazała w kierunku Floty Umarłych, siejącej spustoszenie wśród Okrętów Wschodu.

— Tam! Tam jest razem z Pyarayem z Chaosu, do którego należą te piekielne statki. Nie dosięgniesz go, ponieważ zmienisz się w płynne ciało, gdy się zbliżysz. Tam mogą się dostać tylko martwi lub ci, którzy mają właściwą ochronę.

— Piekielne nasienie z tego Jagreena Lerna, znowu mi się wywinął — rzucił Elryk. — Oto zapłata za twoją informację...

Bez odrobiny litości przekłuł zdobioną zbroję. Delikatnie, z wielkim kunsztem połaskotał serce ofiary końcem ostrza, nim przebił je na wylot. Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu Kargana, ale nigdzie go nie widział. Wtem zauważył, że Flota Chaosu zawróciła! Najpierw wydawało mu się, że to Straasha przyszedł z odsieczą, lecz zaraz zobaczył, że resztki ich floty pierzchły w panice.

Jagreen Leni znów zwyciężył. Ich plany, formacje, odwaga nie były w stanie powstrzymać straszliwych przemian kroczących wraz z Chaosem.

A teraz przerażająca flota nacierała na dwa okręty flagowe zczepione ze sobą kładkami abordażowymi. Nie było czasu na odcięcie kładek i uwolnienie jednego ze statków przed przybyciem Floty Umarłych.

Elryk krzyknął do Dyvima Slorma i Moongluma, którzy nadbiegli z drugiego końca pokładu:

— Za burzę! Za burzę! Ratuj się kto może! Płyńcie jak najdalej stąd, zbliża się Flota Chaosu!

Dwaj wojownicy stanęli jak wryci, popatrzyli na Melnibonéanina i nagle uświadomili sobie całą prawdę. Inni już wcześniej zrozumieli, co się święci i skakali do krwistoczerwonej wody. Elryk podążył ich śladem. Morze było zimne. Elrykiem wstrząsnął dreszcz. Rozejrzał się dookoła i popłynął w kierunku rudej głowy Moongluma, obok której wystawały nad fale ciemnoblonde włosy jego kuzyna.

Odwrócił się i poczuł ulgę, że nie było go już na pokładzie statku. Wraz z przybyciem Piekielnych Okrętów obie fregaty zaczęły topnieć, zwijać się i skręcać w niezwykle kształty. Po chwili dopłynął do przyjaciół.

— Nie na wiele się zda nasza ucieczka — powiedział Moonglum, wypływając wodę. — Co teraz, Elryku? Może skierujemy się do Portów Purpury?

Wydawało się, że nawet tak wielka porażka nie ujęła nic z poczucia humoru Moongluma. Wyspa była za daleko.

Wtem tuż obok nich woda spieniła się i uformowała w znajomy Elrykowi kształt.

— Straasha!

— Nie byłem w stanie pomóc, nie byłem w stanie. Próbowałem, jednakże mój odwieczny wróg okazał się zbyt silny dla mnie. Wybacz mi. Zadość czyniąc pozwól zabrać siebie i twoich przyjaciół do mojego królestwa i przynajmniej ocalić was od Chaosu.

— Ale my nie możemy oddychać pod wodą!

— To nie będzie potrzebne.

— Zgoda.

Ufając słowom Straashy, pozwolili zaciągnąć się pod wodę, w dół, w chłodną, zieloną otchłań, coraz głębiej i głębiej, aż światło słoneczne stało się jedynie wspomnieniem, a naokoło była tylko woda i ciemność. Oni wciąż żyli, chociaż w zwykłych okolicznościach zmiażdżyłoby ich ciśnienie.

Wydawało im się, że przemierzają wiele mil, płyną poprzez tajemnicze groty. W końcu dotarli do olśniewających budowli z koralu. Konstrukcje mieniły się tysiącem kolorów i wydawało się, że dryfują pod wpływem słabego prądu, lekko, od niechcienia. Elryk wiedział, gdzie się znajdowali: to pałac Straashy, Króla Morza.

Podpłynęli do największej budowli i jedna z jej części zaczęła znikać, otwierając im przejście. Posuwali się wzdłuż wijących się korytarzy, w przyćmionym, różowawym świetle. Już nie otaczała ich woda, znajdowali się teraz w Wymiarze Żywiołów. Przystanęli w ogromnej kulistej grocie.

Wydając niezwykle szelest, Król Morza usadowił się na tronie z mlecznego jaspisu i oparł zieloną głowę na zielonej pięści.

— Elryku, raz jeszcze wyrażam ubolewanie, że nie byłem w stanie wam pomóc. Jedyne co mogę zrobić to odstawić was na powierzchnię, gdy już odpoczniecie. Najwyraźniej jesteście bezsilni wobec nowej potęgi Chaosu.

— Nic nie powstrzyma przemian Chaosu, chyba że Tarcza Chaosu — przytaknął Elryk.

— Tak, rzeczywiście, Tarcza Chaosu — powiedział Straasha, prostując plecy. — Ona należy do Wygnanego Boga, czy nie tak? Lecz zamek jego jest praktycznie nie do zdobycia.

— Dlaczego?

— Znajduje się na najwyższym stężycie, który wystaje z samotnej góry. Sto trzydzieści i dziewięć stopni prowadzi do niego. Wzdłuż tych stopni czterdzieści i dziewięć starych drzew stoi. Ich obawiać się musisz szczególnie. Jest również stu czterdziestu i czterech strażników.

— Strażników wiem dlaczego mam się obawiać, ale drzew?

— W drzewach znajdują się dusze tych, którzy chcieli pójść w ślady Mordagi. To jest ich wiekuista kara. Drzewa są do cna złe, gotowe do odebrania życia każdemu, kto pojawi się na tej drodze.

— Ciężkie zadanie mnie czeka, żeby dostać Tarczę — rozważał Elryk. — Ale muszę ją zdobyć, inaczej bowiem plan Przeznaczenia zostanie udaremiony. Gdy jednak będę już ją miał, zemszczę się na kapitanie Floty Umarłych i na Jagreene Lernie.

— Zabij Pyaraya, Władcę Floty Umarłych, wtedy okręty znikną. Jego życie i dusza zawarte są w błękitnym kryształ, umieszczonym na czubku głowy. Rozbicie go specjalną bronią jest jedynym sposobem na zgładzenie tego Władcy Chaosu.

— Dzięki za te informacje — odrzekł Elryk z wdzięcznością. — Będzie mi potrzebna, gdy czas nadejdzie.

— Co zamierzasz zrobić, Elryku? — zapytał Dyvim Slorm.

— Odłożę teraz wszystko na bok i udam się na poszukiwania Tarczy Smutnego Olbrzyma. Muszę to zrobić, inaczej każda następna walka będzie tylko powtórzeniem ostatniej bitwy.

— Pójdę z tobą — obiecał Moonglum.

— Ja też — dodał Dyvim Slorm.

— Będziemy potrzebowali czwartego, jeżeli przepowiednia ma się spełnić — powiedział Elryk. — Ciekaw jestem, co się stało z Karganem.

Moonglum opuścił głowę.

— Czy nie zauważyłeś?

— Zauważyłem, co?

— Na pokładzie fregaty Jagreena Lerna, gdy wywijalesz mieczem, żeby dostać się na górny pokład. Czy nie wiedziałeś, co wtedy zrobiłeś, czy raczej, co ten przeklęty miecz zrobił?

Melnibonéanin poczuł, że nagle opuściły go siły.

— Nie. Czy ja, czy on... go zabił?

— Tak.

— O Bogowie! — albinos powstał i zaczął chodzić po jaskini, uderzając pięścią w otwartą dłoń. — Ten piekielny miecz wciąż zbiera zapłatę za usługi jakie mi oddaje. Wciąż zabiera dusze moich przyjaciół. To dziw, że wy dwaj jesteście jeszcze żywi!

— W pełni się z tobą zgadzam, to jest niezrozumiałe — odpowiedział Moonglum z troską w głosie.

— Przykro mi z powodu śmierci Kargana. Był dobrym przyjacielem.

— Elryku — przerwał mu Moonglum. — Wiesz, że nie jesteś odpowiedzialny za jego śmierć, ona mu była sądzona.

— Zgadzam się, ale dlaczego zawsze ja muszę być egzekutorem wyroków Przeznaczenia? Boję się nawet przytaczać imiona przyjaciół i sojuszników, którym życie odebrał Zwiastun Burzy. Nienawidzę go za to, że musi spijać ludzkie dusze, żeby mnie utrzymać przy życiu. Tym bardziej nie mogę go znieść, że niektóre należały do moich przyjaciół. Mam wielką ochotę, żeby pójść w samo serce Chaosu i poświęcić nas obu! Wina pośrednio spoczywa na mnie, gdybym bowiem nie był taki słaby i nie musiał posiadać takiego miecza, wielu moich przyjaciół żyłoby jeszcze.

— Jednak główny cel Zwiastuna Burzy wydaje się szlachetny — odezwał się zbity z tropu Elwheryjczyk. — Zaczynam się gubić w tym całym paradoksie. Czy Bogowie potracili zmysły, czy może ich pomysły są tak wysublimowane, że nie jesteśmy w stanie Mi pojąć?

— W czasach takich jak te trudno jest myśleć o wielkich sprawach — zgodził się Dyvim Slorm. — Wróg naciska na nas z taką siłą, że nie mamy chwili na spokojne przemyślenie wszystkiego i nie skończywszy jeszcze poprzedniej już musimy angażować się w nową bitwę. Często zapominamy, o co właściwie walczymy.

— Czy leżący przed nami cel jest w rzeczywistości mniej istotny niż nam się wydaje? — gorzko uśmiechnął się Elryk. — Jeżeli my jesteśmy zabawkami Bogów, to czy oni nie są jedynie dziećmi?

— Te pytania nie są ważne w tej chwili — odezwał się Straasha.

— Przynajmniej — powiedział Moonglum — przyszłe generacje podziękują Zwiastunowi Burzy, jeżeli uda mu się wypełnić zadanie.

— Zgodnie z przepowiednią Sepiriza — odrzekł albinos — przyszłe generacje nie będą nic wiedziały o żadnym z nas, ani o mieczach, ani o ludziach.

— Może nie świadomie, lecz w głębi duszy będą nas pamiętać. O naszych czynach będą opowiadać, jak o czynach herosów bez imion, po prostu.

— A ja proszę tylko o to, żeby świat o mnie zapomniał — westchnął Melni-bonéanin.

Jakby czując nagły przyływ zniecierpliwienia wobec tej bezowocnej dyskusji, Król Morza powstał z tronu i powiedział:

Chodźcie, pomogę wam teraz wydostać się na stały ląd, jeżeli nie macie nic przeciwko podróżowaniu w taki sam sposób, w jaki się tu dostaliście. — Nie mamy — odrzekł Elryk.

Rozdział 5

Gdy zmęczeni dobrnęli do plaży na Wyspie Purpurowych Miast, Elryk odwrócił się i odezwał do Króla Morza, który pozostał na płyciźnie:

— Ponownie wyrażam ci wdzięczność za uratowanie nas, Władco Wodnych Żywiółów — powiedział z szacunkiem. — Dzięki ci również za udzielenie informacji na temat Tarczy Smutnego Olbrzyna. W ten sposób przyczyniłeś się być może do tego, że Chaos zostanie zepchnięty z powierzchni ziemi i z głębin morza.

— Ach — przytaknął Straasha. — Jeżeli ci się powiedzie, będzie to oznaczało koniec dla nas obu, prawda?

— Prawda.

— Więc niech i tak będzie, jestem już bowiem znużony długim życiem. Ale teraz muszę wracać do moich poddanych. Mam nadzieję, że uda nam się wytrzymać napór Chaosu jeszcze przez jakiś czas. Żegnaj. — Król Morza rozplynął się w falach i zniknął.

Gdy dotarli do Warowni-o-Zmierzchu, na ich spotkanie wybiegli heroldzi.

— Co się stało? Gdzie jest flota? — zapytał jeden z nich.

— Czy niedobitki jeszcze nie wróciły?

— Niedobitki? Znaczą...?

— Zostaliśmy pokonani — odpowiedział Elryk z pustką w głosie. — Czy moja żona jeszcze tu jest?

— Nie, odjechała wkrótce po wypłynięciu floty. Skierowała się do Karlaak.

— To dobrze. Przynajmniej będziemy mieli trochę czasu na wzniesienie nowej obrony, zanim Chaos tu dotrze. Przynieście nam jadła i wina. Musimy obmyślić nowy plan walki.

— Walki, mój panie? Czym będziemy walczyć?

— To się jeszcze okaże — powiedział albinos. — To się jeszcze okaże.

Później obserwowali, jak wyczerpane niedobitki floty zaczęły wpływać do portu. Moonglum liczył statki bez żadnej nadziei.

— Za mało — powiedział. — To jest czarny dzień.

Z głębi dziedzińca zabrzmiała trąbka.

— Przybysz z kontynentu — powiedział Dyvim Slorm.

Zeszli na dziedziniec i zobaczyli ubranego w szkarłatną zbroję rycerza, właśnie zsiadającego z konia. Wydawało się, że jego wychudzona twarz była wyciosana z nagiej kości. Zataczał się ze zmęczenia.

— Rackhir! — krzyknął zaskoczony Elryk. — Ty przecież dowodzisz wojskami na wybrzeżu Ilmiory. Co tu robisz?

— Zostaliśmy wyparci. Teokrata miał niejedną, lecz dwie floty. Ta druga nadpłynęła od strony Białego Morza i całkowicie nas zaskoczyła. Zgnietli nasze linie obronne. Chaos zalał wszystko i zostaliśmy zmuszeni do ucieczki. Wróg rozłożył się obozem jakieś sto mil od Bakshaan i maszeruje w głąb kraju. To nie jest właściwe słowo, on płynie, a nie maszeruje. Chcą się zapewne spotkać z armią, która ma tutaj wylądować.

— Więc zostaliśmy pokonani... — wyszeptał Moonglum.

— Musimy mieć tę Tarczę, Elryku — powiedział Dyvim Slorm.

Elryk zmarszczył brwi, serce ścisnęło się mocno.

— Wszystkie kroki jakie zrobimy przeciwko Teokracie spełzną na niczym, o ile nie będziemy mieli jej ochrony. Ty, Rackhirze, jesteś tym czwartym z przepowiedni.

— Jakiej przepowiedni?

— Wyjaśnię ci później. Czy jesteś w stanie zaraz z nami wyruszyć?

— Daj mi dwie godziny na sen i będę gotowy.

— Dobrze. Masz dwie godziny. A wy, moi przyjaciele, poczyńcie przygotowania przed podróżą. Wyruszamy, żeby odebrać Tarczę Smutnemu Olbrzymowi!

Nie minęły trzy dni, gdy napotkali pierwszych uciekinierów. Ciało wielu z nich były poskręcane i poprzemieniane w niesamowite kształty. Większość z nich brnęła po białej drodze, która prowadziła do Jadmar — jeszcze wolnego miasta.

Dowiedzieli się od nich, że połowa Ilmiory, część Vilmiru i malutkie, niezależne księstwo Org zostały podbite przez Chaos. Jego granice powiększały się z ogromną prędkością.

Gdy dotarli na miejsce, czterej jeźdźcy stwierdzili z ulgą, że Karlaak było wciąż wolnym miastem. Ale szpiedzy donieśli, że wojska Chaosu są już zaledwie dwieście mil stąd i maszerują w tym kierunku.

Zarozinia przywitała Elryka z mieszanymi uczuciami radości i smutku.

— Doszły nas słuchy, że zginąłeś w czasie bitwy morskiej — powiedziała, a Elryk przycisnął ją mocno do siebie.

— Nie mogę tu długo zabawić — rzekł. — Mam do spełnienia misję za Pustynią Westchnień.

— Wiem.

— Wiesz? Skąd?

— Był tu Sepiriz. Zostawił ci w stajni prezent. Cztery nihraińskie konie.

— Użyteczny podarek. Poniosą nas znacznie szybciej niż jakiegokolwiek inne wierzchowce. Ale czy wystarczająco szybko? Nie chcę zostawiać cię tutaj, gdy Chaos jest tak blisko.

— Musisz mnie zostawić, Elryku. Jeżeli nie będzie żadnej szansy, umkniemy na Płaczące Pustkowia. Nawet Jagreen Lern nie zainteresuje się tymi terenami.

— Obiecuj, że tak zrobisz.

— Obiecuję — odpowiedziała, a Elryk wziął ją za rękę.

— Spędziłem w tym pałacu najspokojniejszy czas mego życia — powiedział.

— Zanim odjadę w poszukiwaniu Tarczy, chcę spędzić z tobą tę ostatnią noc i mieć nadzieję, że odnajdziemy w naszej sypialni coś ze starego, błogiego czasu.

Kochali się, lecz gdy zasnęli, ich sny wypełniły koszmary tak straszne, że rozbudzili się nawzajem swoimi krzykami. Leżeli więc przytuleni do siebie, aż nastał ranek i Elryk, ucałowawszy żonę, powstał i skierował się do stajni, gdzie skupieni naokoło czarnej postaci, oczekiwali go trzej przyjaciele. Tą czwartą osobą był Nihrain.

— Sepirizie, dzięki za podarunek. Te konie pomogą nam na pewno nadrobić stracony czas — powiedział szczerze albinos. — Ale dlaczego ty tu wciąż jesteś?

— Ponieważ mogę jeszcze zrobić coś niecoś dla powodzenia waszej wyprawy — odrzekł czarny prorok. — Każdy z was, oprócz Moongluma, posiada jakąś specjalną broń. Elryk i Dyvim Slorm swe runiczne miecze, Rackhir ma Strzały Prawa, które dostał od czarodzieja Ramsara w czasie oblężenia Tanelorn, ale broń Moongluma jest pozbawiona specjalnych właściwości, oprócz umiejętności właściciela.

— Wolę chyba, żeby to tak już zostało — odpowiedział Moonglum. — Widziałem, co taki zaczarowany miecz może zrobić z człowiekiem.

— Nie jestem w stanie dać ci nic równie potężnego, ani złego jak Zwiastun Burzy — powiedział Sepiriz. — Ale mam zaklęcie odpowiednie dla twego oręża. Dostałem je, gdy skontaktowałem się z Władcami Prawa. Daj mi swoją broń.

Nie bez wahania Moonglum podał wygiętą szablę Sepirizowi, który używając małego noża i mrucząc zaklęcia runiczne, wyrzył kilka symboli na ostrzu, tuż przy rękojeści. Po chwili zwrócił oręż właścicielowi.

— Gotowe. Twoja szabla została pobłogosławiona przez Prawo i zobaczysz, że będzie ci najłatwiej pokonywać wrogów Prawa.

— Musimy już jechać, Sepirizie — niecierpliwie odezwał się Melnibonéanin.

— Czasu jest coraz mniej.

— Jedźcie więc. Uważajcie jednak na przemierzające te okolice bandy Jagreena Lerna. Wątpię, czy napotkacie je teraz, ale na pewno natkniecie się na nie w drodze powrotnej.

Dosiedli magicznych koni i opuścili Karlaak. Być może na zawsze.

W niedługim czasie wjechali na Płaczące Pustkowie, gdyż była to najkrótsza droga do Pustyni Westchnień.

Rackhir bardzo dobrze znał te tereny, więc służył im za przewodnika.

Nihraińskie wierzchowce nie stąpały po ziemi, lecz po powierzchni swojego wymiaru i z daleka wydawało się, że lecą w powietrzu, tuż nad wilgotną trawą. Poruszały się z niezwykłą prędkością i Czerwony Łucznik, zanim do tego przywykł, kurczowo ścisnął wodze.

W tym królestwie wiecznego deszczu, trudno było dojrzeć teren, znajdujący się przed nimi. Spływające po twarzach i oczach krople zamazywały widok wysokiego pasma górskiego, oddzielającego Płaczące Pustkowie od Pustyni Westchnień.

W końcu zbliżyli się na tyle, że przed nimi zamajaczyły strzeliste skały, z wierzchołkami ukrytymi wśród chmur. Dzięki niesamowitej chyżości rumaków w ciągu jednego dnia dotarli do gór. Przejechali przez głębokie wąwozy i klimat zmienił się zupełnie. Przestało padać, powiał gorący wiatr. Gdy wyjechali z cienia szczytów, zalały ich promienie gorejącego słońca. Znaleźli się na Pustyni Westchnień. Wiatr szemrał wśród piasku i skał. Ten nie milknący odgłos dał nazwę pustyni.

Nasunęli kaptury na głowy, żeby ochronić się przed wszechobecnymi ostrymi ziarenkami piaskowego pyłu.

Robili tylko kilkugodzinne odpoczynki, a magiczne rumaki niosły ich dziesięciokrotnie szybciej niż zwykłe konie. Niewiele mówili, ponieważ ciężko było cokolwiek dosłyszeć poprzez świszczący wiatr. Każdy z jeźdźców pograżył się we własnych myślach.

Elryk już od dłuższego czasu bezwiednie pozwalał się nieść wierzchowcowi i popadł w pewien rodzaj transu. Walczył z pogmatwanymi myślami i emocjami. Czuł, jak trudno spojrzeć obiektywnie na własne problemy. Jego przeszłość była usiana zbyt wieloma kłopotami, zbyt niespokojna, żeby teraz mógł ogarnąć to wszystko.

Zawsze był niewolnikiem swoich melancholijnych uczuć, fizycznych słabości i krwi płynącej w jego żyłach. Postrzegał życie nie jako logiczne pasmo wydarzeń, lecz jako oderwane epizody. Zawsze zmagał się ze sobą, żeby zebrać myśli w jedną całość, a może zaakceptować chaotyczną naturę rzeczy, nauczyć się z tym żyć. Jeżeli nie liczyć momentów osobistych nieszczęść, nie był w stanie przez dłuższy czas spójnie myśleć. Niemal pielęgnował swoje obsesje, zrodzone z trybu życia jakie prowadził, z albinizmu i zaufania, jakim darzył swój miecz runiczny.

— Co to jest myśl? — pytał sam siebie. — Czym jest uczucie? Co oznaczała kontrola i czy warto do niej dążyć? Może lepiej byłoby żyć kierując się instynk-

tem, niżli teoretyzować i trwać w błędzie; lepiej pozostać marionetką w rękach Bogów i pozwalać im poruszać sobą zgodnie z ich zachciankami, niż samemu martwić się o własny los, sprzeciwiać się woli Bogów z Wyższych Światów i ginąć w cierpieniu.

Tak rozmyślał, jadąc poprzez smagający jak bicz wiatr. A jaka była różnica między ziemskim zagrożeniem, z którym się właśnie zmagał, a niebezpieczeństwem nie kontrolowanych myśli i uczuć? Oba stany miały podobne właściwości.

Pomimo dziesięciu tysięcy lat dominacji jego rasa żyła pod wpływem innej gwiazdy. Oni nie należeli ani do prawdziwych ludzi, ani do ras, które żyły przed ludźmi. Istnieli pomiędzy starym i nowym, lecz Elryk nie był w pełni świadom tego, że on był ostatnim potomkiem melnibonéńskich królów, którzy z wrodzoną sobie naturalnością i łatwością używali magii Chaosu, tak jak inni używają swoich ziemskich umiejętności. Jego rasa wywodziła się z Chaosu, nie potrzebowała samokontroli, ani ograniczeń, jakich więźniami stali się ludzie Młodych Królestw. Ci ostatni, według Sepiriza, również nie byli jeszcze prawdziwymi ludźmi. Jeżeli Elrykowi uda się zniszczyć ten świat, to wtedy prawdziwemu człowiekowi będzie dane stąpać po prawej, rozwijającej się Ziemi, a Chaos tu nie sięgnie.

Rozmyślania przygnębiły albinosa jeszcze bardziej, ponieważ jego przeznaczeniem była śmierć, bo nie miał celu, oprócz tego, jaki wyznaczył mu los. Jaki sens miała walka z tym, zmaganie się z własnymi słabościami i umysłem, skoro w końcu uczyniono go tylko ofiarą złożoną na ołtarzu Przeznaczenia.

Oddychał ciężko, wdychając gorące, suche powietrze, które raniło mu płuca. Wypluł piasek.

Dyvim Slorm znajdował się w podobnym nastroju, lecz nie wyolbrzymiał emocji. Pomimo pokrewieństwa jego życie płynęło spokojniejszym nurtem, bardziej uporządkowane, niż życie Elryka. Podczas gdy Elryk krytykował zwyczaje swoich ziomek, nawet rzekł się tronu na rzecz badania krain Młodych Królestw i porównywania ich sposobu życia ze swoim, Dyvim Slorm nigdy nie zajmował się takimi zagadnieniami. Przeżył wielki zawód, kiedy jego kuzyn zrównał z ziemią Imrryr, Miasto Snów, ostatni bastion rasy Melniboné. Zaznał upokorzeń, gdy razem z niedobitkami Imrryrian wałęsał się po świecie i sprzedawał się jako najemny żołnierz u władców Młodych Królestw, których uważali za gorszych od siebie. Ale Dyvim Slorm nigdy zasadności swego losu nie kwestionował, nawet teraz.

Moonglum nie rozmyślał za bardzo nad sobą i swoim losem. Od czasu, kiedy wiele lat temu razem walczyli przeciwko Dharzi, czuł dla Elryka specyficzną sympatię, nawet zrozumienie. Gdy jego przyjaciel zapadł w przygnębiający nastrój, Moonglum cierpiał, gdyż nie potrafił mu pomóc. Wiele razy szukał sposobów wyrwania Melnibonéanina z przygniatającej depresji, lecz wreszcie pojął, że to było niemożliwe. Z natury wesoły i optymistycznie nastawiony, Elwheryjczyk czuł ciężar, jaki narzuciło na ich barki Przeznaczenie.

Rackhir, mający spokojniejszą i bardziej niż tamci filozoficzną naturę, nie postrzegał wszystkich implikacji, jakie niosła ich misja. Miał nadzieję spędzić resztę życia na kontemplacji i medytacji, mieszkając w spokojnym Tanelorn. To miasto wpływało kojąco na wszystkich, którzy tam przebywali. Jednak nie mógł zignorować wezwania do pomocy w walce przeciwko Chaosowi. Bez wahania założył kołczan ze Strzałami Prawa i wzięwszy łuk, wyruszył razem z grupą ochotników, by wesprzeć Elryka.

Spojrzał poprzez wirujący, unoszony wiatrem piasek i zobaczył przed sobą, wyrastającą ze środka pustyni wysoką górę. Zdumiewał ów pojedynczy szczyt w równinnej okolicy i nie wydawał się dziełem natury.

— Elryku! — zawołał Czerwony Łucznik, wskazując ręką na samotną górę.
— Tam! To musi być Zamek Mordagi!

Elryk zsunął kaptur i wzrokiem podążył za ręką Rackhira.

— Racja — westchnął. — Dotarliśmy na miejsce. Wypoczniemy teraz i zbierzemy siły przed ostatnim odcinkiem drogi.

Zsiedli z koni, pozwalając rozluźnić się i wypocząć obolałym mięśniom, zdrętwiałym kończynom.

Postawili namiot i zjedli posiłek w jego zaciszu. Byli wzajemnie dla siebie niezwykle uprzejmi, wiedzieli bowiem, że gdy dotrą do góry, nie wszyscy przeżyją spotkanie z olbrzymem.

Rozdział 6

Wysoko ponad ich głowami błyszczał zamek. Stopnie okręwały spiralnie całą skałę. W miejscu, gdzie schody zakrzywiały się i znikały, zobaczyli sędziwe drzewo. Wyglądało jak zwykłe drzewo, ale dla nich stało się symbolem — oto pojawił się ich pierwszy przeciwnik. Jakim sposobem będzie walczył? Jaki wpływ na nich wywrze?

Elryk wszedł na pierwszy stopień, wysoki, na miarę giganta.

Zaczął się wspinać, przyjaciele podążali za nim. Gdy dotarł do dziesiątego stopnia, wyciągnął Zwiastuna Burzy i poczuł napływ świeżej energii. Wspinaczka stała się o wiele łatwiejsza.

Zbliżywszy się usłyszał szelest, wśród gałęzi powstało poruszenie. Rzeczywiście, to drzewo miało zmysły.

Znajdował się kilka kroków od drzewa, gdy usłyszał okrzyk Dyvima Slorma: — O Bogowie! Liście! Patrzcie na liście!

Z pulsującymi w słonecznych promieniach żyłkami, zielone liście odrywały się od gałęzi i leciały niby chmara nietoperzy ku grupie intruzów.

Jeden osiadł na nieosłoniętej ręce Elryka. Albinos spróbował go strząsnąć, ale liść się mocno przyczepił. Już inne przyczepiały się do ciała. Leciała ich cała chmara, powietrze przybrało zielony kolor. Melnibonéanin czując ukąszenie zaklął i zerwał liść siłą. Ku swemu przerażeniu w tym miejscu na skórze zobaczył małe kropelki krwi. Poczł mdłości i zaczął odrywać inne liście, przyczepione do twarzy. Wymachiwał mieczem i liście, których dotknął, zeschnięte spadały na ziemię, lecz na ich miejsce pojawiały się setki nowych.

Instynktownie zdał sobie sprawę, że to nie ubytek krwi tak go osłabił, lecz ubytek duszy, gdy jakąś jej cząstkę wysysał z posoką przeklęty liść.

Kompani znaleźli się w podobnym położeniu. Słyszał ich przerażone okrzyki.

Tymi liśćmi ktoś kierował. Elryk wspiał się z wysiłkiem na dzielące go od drzewa stopnie, walcząc z krążącym wokół niego listowiem. Zaczął siec pień. Drzewo wydało pomruk złości, najbliższe gałęzie skierowało ku Elrykowi, próbując go dosięgnąć. Albinos odciął konary bez żadnego trudu i wepchnął Zwiastuna Burzy głęboko w pień kolosa. W powietrze poleciały grudki ziemi, wyrzucone

przez poruszone korzenie. Drzewo wrzasnęło i zaczęło chylić się na albinosa, jakby w przedśmiertnej wściekłości chciało przygnieść człowieka swoim ciężarem. Pociągnął miecz, z dziką chciwością wysysający duszę drzewa, ale nie udało mu się go wyjąć. Kolos runął na stopnie, Elryk jakimś cudem zdążył rzucić się w bok. Śmierć minęła go zaledwie o cal. Jedna gałąź smagnęła go po twarzy, rozcinając skórę do krwi. Jęknął, próbując złapać oddech. Poczul, że z jego ciała umyka energia życiowa.

Zataczając się, podszedł do powalonego drzewa. Wyszło, a razem z nim wszystkie jego liście.

— Szybko! — rzucił albinos do przyjaciół. — Obróćcie to na drugą stronę. Mój miecz jest pod spodem. Bez niego zaraz umrę!

Zabrali się do przewracania dziwnie lekkiego teraz pnia. Albinos z wysiłkiem uniósł rękę i schwycił rękojeść miecza, który wciąż tkwił w drzewie.

Prawie wrzasnął z bólu, gdy ogromna fala energii wpłynęła w jego ciało. Siła przepełniła mięśnie, pulsowała w całym ciele. Czuł się prawie jak Bóg.

Zaśmiał się, jakby wstąpił w niego demon, a oni patrzyli na niego zdumieni.

— Chodźcie, moi przyjaciele. Mogę teraz walczyć z tysiącem takich drzew!

Skoczył na górne stopnie i ignorując następną falę liści, wbił ostrze w pień. Ponownie w powietrzu rozległ się przedśmiertny krzyk.

— Dyvim Slorm! — wrzasnął Elryk, pijany od takiej ilości energii. — Rób tak jak ja! Pozwól swemu mieczowi wysączyć kilka drzew, a będziemy niezwykcie ciężeni.

— Ten smakołyk raczej nie jest przeznaczony dla mojego podniebienia — odezwał się Rackhir, zdejmując z siebie martwe liście. Elryk tymczasem wyszarpnął z pnia swój miecz i pobiegł do następnego drzewa. Las gęstniał z każdym krokiem, gałęzie wyginały się, próbując złapać albinosa i rozerwać go na strzępy.

Dyvim Slorm skutecznie naśladował działanie kuzyna i wkrótce jego ciało także przepełniła wyzwolona energia demonów. Do wrzasków Elryka dołączyły po chwili okrzyki drugiego Melnibonéanina. Jak dwaj szatańscy drwale atakowali zaciekle kolejne drzewa, dostając za każdym razem świeżą porcję energii. Moonglum i Rackhir wymieniali zdumione spojrzenia na widok straszliwej zmiany, jaka zaszła w Melnibonéanach.

Na twarzy kuzynów malował się bojowy zapal dawnych królów z Melniboné, gdy śpiewali prastare pieśni wojenne, a zjednoczone miecze wtórowały im swoją dziką pieśnią zagłady!

Rozwarte usta albinosa ukazały śnieżnobiałe zęby, w oczach płonął śmiertelny, czerwony ogień, białe włosy rozwiewał wiatr. Elryk podniósł Zwiastuna Burzy do góry i odwrócił się do swych kompanów.

— Teraz, przyjaciele, widzicie, jak moi praojcowie z Melniboné podbijali rodzaj ludzki i demony, żeby władać nad całym światem przez dziesięć tysięcy lat!

Moonglum pomyślał, że albinos zasłużył sobie na przydomek, jakim go kiedyś obdarzono. Cała potęga Chaosu, która znajdowała się w Wilku, wzięła górę nad wszystkim innym. Zdał sobie sprawę, że Biały Wilk nie miał wątpliwości, komu musi pozostać posłuszny, nie było już w nim konfliktu. Krew jego przodków zdominowała go całkowicie i wyglądał teraz tak, jak jego praojcowie, kiedy cała ludzkość umykała przed ich potęgą i złem. Dyvim Slorm był opętany w równym stopniu. Rudowłosy tymczasem gorąco dziękował jakimkolwiek życzliwemu Bogu, jeżeli taki jeszcze istniał, za to, że Wilk nie był wrogiem Elwheryjczyka.

Zbliżali się do szczytu. Poruszając się nadludzkimi skokami, Melnibonéanin i jego krewniak szli na przedzie. Stopnie skończyły się u wejścia do ponurego tunelu, do którego, nawołując się nawzajem, weszli obaj kuzyni. Trzymając się trochę z tyłu, posuwali się za nimi Moonglum i Rackhir. Czerwony Łucznik nałożył strzałę na swój łuk i naciągnął cięciwę. Elryk spojrział do przodu. W głowie mu huczało od tak wielkiej ilości energii. Uwidoczniała się ona w każdym calu jego ciała. Usłyszał szcęk broni i metaliczne kroki obutych w żelastwo nóg. Gdy się zbliżyły, zdał sobie sprawę, że to zwykli ludzie. I chociaż było ich aż stu pięćdziesięciu, zbytnio się nimi nie przejął. Z łatwością parował uderzenia najbliższych rycerzy, by następnie zabrać im dusze. Zdobyta energia stanowiła tylko ułamek tego, co już posiadał. Dwaj kuzyni stali ramie przy ramieniu i zarzynali wojowników, jak gdyby to były dzieci. Moonglum i Rackhir zbliżyli się ślizgając po zbrukanej krwi posadzce i ujrzeli przerażający widok. Zapach śmierci stał się nie do zniesienia. Elryk i Dyvim Slorm, pokonawszy pierwszych atakujących, ruszyli dalej, po nowe dusze.

— Chociaż są to nasi wrogowie i słudzy tych, przeciw którym walczymy — burknął Rackhir — nie mogę znieść widoku takiej rzezi. Nie jesteśmy tu potrzebni, przyjacielu. To demony prowadzą tu wojnę, nie ludzie!

— Racja — westchnął Moonglum, i wycofał się z tunelu na światło dzienne.

Na dziedzińcu stali Elryk i Dyvim Slorm, przygotowując się do natarcia na resztki, które próbowały się właśnie pozbierać do kupy. Nad nimi wznosił się zamek. Melnibonéanie ruszyli z przerażającym uśmiechem na twarzach, z żądzą krwi.

Powietrze wypełniły odgłosy ścierającej się stali i wrzaski ludzi. Rackhir wycelował i strzelił prosto w oko jednego z żołnierzy.

— Przynajmniej niektórym z nich zapewnię przyzwoitszą śmierć — wymamrotał, nakładając następną strzałę.

Gdy Elryk i Dyvim Slorm zniknęli w tłumie wojowników, inni, czując, że Rackhir i Moonglum są mniej niebezpieczni, rzucili się na nich.

Rudowłosy po chwili odpierał atak trzech wojowników naraz i odkrył, że jego szabla stała się dziwnie lekka i z łatwością parowała ciosy. Przy uderzeniach wydawała wysoki, czysty ton. Wprawdzie nie dostarczała mu energii, lecz nie tępiła się i wytrzymała uderzenia cięższych mieczy przeciwników.

Rackhir wystrzelał wszystkie strzały i można było to uznać za akt miłosierdzia. Zabił dwóch wrogów mieczem, trzeciego przekłuł od boku w kierunku serca, tym samym ratując życie Moonglumowi.

Z niechęcią ruszyli w kierunku głównych sił i stwierdzili, że na trawie leżało mnóstwo trupów.

— Stój! — krzyknął Rackhir do Elryka. — Pozwól nam ich wykończyć. Nie musisz zabierać dusz. Możemy zabić ich normalnym sposobem!

Ale Elryk zaśmiał się tylko, nie przerywając rzezi.

Widząc, że albinos skończył z kolejnym wojownikiem i że w pobliżu zabrakło wrogów, Rackhir złapał go za rękę.

— Elryku...

Zwiastun Burzy wykręcił się w dłoni Melnibonéanina i wydając radosne pomruki, naparł na łuczника.

Przeczuwając, co się za chwilę stanie, Rackhir spróbował uniknąć uderzenia. Ostrze trafiło go w łopatkę i rozcięło aż do mostka.

— Elryku! — wrzasnął. — Nie moją duszę!

I tak umarł heros, Rackhir zwany Czerwonym Łucznikiem, znany na całym Wschodnim Kontynencie. Zabity przez zdradziecką broń, którą dzierżył przyjaciel; przyjaciel, któremu uratował kiedyś życie, dawno temu, gdy spotkali się po raz pierwszy pod miastem Ameeron.

Teraz przyszło opamiętanie. Elryk próbował wyrwać miecz, ale było za późno. Ponownie wbrew swojej woli, będąc we władaniu własnego miecza, zabił bliską osobę.

— Och, Rackhir! — jęknął, klękając obok ciała i obejmując je ramionami. Nieczysta energia wciąż w nim pulsowała, lecz smutek sprawił, że nie miała już kontroli nad jego czynami. Łzy potoczyły się po twarzy, a z gardła wydobyło się przepełnione boleścią łkanie.

— Znowu — wyszeptał. — Znowu to się powtórzyło. Czy się nigdy nie skończy?

Za nim po obu stronach poboju stali dwaj przyjaciele. Dyvim Slorm skończył rzeź, ponieważ wszyscy wrogowie byli już martwi. Dyszał ciężko i rozglądał się dookoła z niedowierzaniem. Moonglum gapił się na albinosa. W jego oczach malowało się przerażenie, lecz jednak w głębi duszy współczuł Elrykowi. Znał bowiem jego los i wiedział, że za energię, którą mu dostarczał, Zwiastun Burzy, żądał bardzo wysokiej ceny.

— Rackhir! Byłeś najłagodniejszym bohaterem. Nikt bardziej od ciebie nie pożył spokoju i porządku! — Elryk podniósł się na nogi i spojrzał na ogromny zamek z granitu i sinego kamienia, który stał w tajemniczym milczeniu, pogrążony w oczekiwaniu. Na murach obronnych najwyższej wieżyczki zauważył postać. Mógł to być tylko Smutny Olbrzym.

— Przysięgam na twą skradzioną duszę, Rackhirze, że to do czego dążyłeś nadejdziesz, i ja, twór Chaosu, przyczynię się do tego. Prawo zatriumfuje, a Chaos zostanie wygnany! Uzbrojony w miecz i tarczę wykute w Piekło, zmierzę się z każdą bestią, jeżeli przyjdzie taka potrzeba. Chaos był pośrednią przyczyną twojej śmierci i Chaos zostanie za to ukarany. Ale wpierw muszę dostać Tarczę.

Dyvim Slorm nie w pełni świadom tego, co się stało, krzyknął w uniesieniu do kuzyna:

— Elryku! Teraz w odwiedziny do Smutnego Olbrzyma!

Podszedłszy do ciała Rackhira, Moonglum wymamrotał:

— Racja, Chaos jest przyczyną, Elryku. Będę towarzyszył ci w twojej zemście, tak długo, jak długo twój miecz piekielny nie zwróci na mnie uwagi.

Razem, pierś w pierś, wkroczyli przez otwarte wrota i od razu znaleźli się w bogato zdobionej sali.

— Mordaga! — krzyknął Elryk. — Przyszliśmy dopełnić przepowiedni! Oczekujemy cię!

Czekali z niecierpliwością, aż w końcu poprzez wielkie przejście na drugim końcu sali wkroczył olbrzym.

Mordaga był dwa razy wyższy niż oni i trochę się garbił. Miał długie, czarne, kręcone włosy i ubrany był w granatową bluzę, przepasaną w talii. Na nogach nosił zwykłe skórzane sandały. Jego czarne oczy pełne były smutku. Moonglum widział tak smutne oczy tylko u Elryka.

Na rękę miał zawieszoną okrągłą tarczę, na której widniało osiem bursztynowych strzał Chaosu. Była srebrnozielona i bardzo ładna. Olbrzym nie potrzebował żadnej innej broni.

— Znam przepowiednię — powiedział głosem, który przypominał wycie samotnego wiatru. — Ale wciąż chcę ją zmienić. Człowieku, czy weźmiesz ode mnie Tarczę i zostawisz mnie w spokoju? Nie chcę śmierci.

Elryk poczuł coś w rodzaju współczucia dla smutnego Mordagi i wiedział, co Wygnany Bóg musiał w tej chwili odczuwać.

— Przepowiednia mówi o śmierci — powiedział cicho.

— Weź Tarczę — Mordaga zdjął ją ze swojej potężnej ręki i wyciągnął w kierunku Elryka. Weź Tarczę i zmień los ten jeden raz.

— Dobrze — kiwnął głową Melnibonéanin.

Z ogłuszającym westchnieniem olbrzym położył Tarczę na podłodze.

— Od tysięcy lat żyłem w cieniu tej przepowiedni — powiedział prostując plecy. — Teraz przynajmniej umrę w pokoju. Nigdy się tego nie spodziewałem, lecz wydaje mi się, że powitam taką śmierć z otwartymi ramionami.

— Teraz, gdy nie masz już Tarczy, możesz zginąć w inny sposób — ostrzegł go Elryk. — Chaos się zbliża i pochłania wszystko, co znajduje się na jego drodze. Dotrze i tutaj, o ile nie uda mi się go powstrzymać. Wydaje mi się, że będziesz przynajmniej spokojniejszy, gdy to nastąpi.

— Żegnaj i dziękuję — odpowiedział olbrzym i odwróciwszy się ruszył ociężale z powrotem.

Gdy tylko Mordaga zniknął w przeciwległym wyjściu, Moonglum rzucił się do przodu i szybkim krokiem poszedł za olbrzymem. Zniknął z ich oczu, zanim Elryk lub Dyvim Slorm zdążyli go zatrzymać.

Po chwili usłyszeli pojedynczy okrzyk, którego echo długo odbijało się o ściany i uderzenie, które wstrząsnęło salą.

Moonglum pojawił się w przejściu, w rękę trzymał zakrwawiony miecz.

Nie mogąc zrozumieć postępowania przyjaciela, Elryk nic nie mówił, prawie na niego nie patrzył.

— To było morderstwo — powiedział po prostu Moonglum. — Przyznaję. Uderzyłem go od tyłu, zanim zdążył pojąć co się dzieje. Ale to była także dobra, szybka śmierć, a on umarł szczęśliwy. A poza tym, była to lepsza śmierć niż ta, jaką chcieli zgotować nam jego słudzy. A więc morderstwo, ale w moim mniemaniu nieodzowne.

— Dlaczego? — zapytał albinos, wciąż nic nie rozumiejąc.

— On musiał zginąć, tak jak postanowiło Przeznaczenie — kontynuował Moonglum. — My jesteśmy teraz sługami Przeznaczenia, Elryku i zmienianie losu, choćby w najmniejszych szczegółach, mogłoby przeszkodzić w osiągnięciu ostatecznego celu. Ale w rzeczywistości to początek mojej zemsty. Gdyby Mordaga nie wysłał przeciw nam wojowników, Rackhir byłby wciąż z nami.

— Powinieneś mnie winić za jego śmierć — pokręcił głową Elryk. — Olbrzym nie musiał zginąć za zbrodnie mojego miecza.

— Ktoś musiał jednak zginąć — powiedział uparcie Moonglum — i jako że przepowiednia mówiła o śmierci Mordagi, kogo innego mógłbym zabić, Elryku?

Elryk odwrócił się od przyjaciela.

— Chciałbym, żebym to był ja — westchnął. Spojrzał na wielką, okrągłą tarczę, na wymalowane bursztynowe strzały, na jej srebrnozielony kolor. Podniósł ją z łatwością i założył na rękę. Była tak duża, że zakrywała go od stóp do głowy.

— Chodźcie, opuśćmy to miejsce przepełnione śmiercią i smutkiem. Musimy się spieszyć z powrotem do Ilmiory i Vilmiru, które oczekują naszego wsparcia. Jeżeli Chaos już ich nie pochłoniął.

Rozdział 7

Znajdowali się wśród gór oddzielających Pustynię Westchnień od Płaczącego Pustkowia, gdy poznali los ostatniego państwa, należącego do Młodych Królestw. Napotkali na swej drodze sześciu umęczonych wojowników z Voashoonem, ojcem Zarozinii.

— Co się stało? — zapytał Elryk z niepokojem. — Gdzie jest Zarozinia?

— Nasz kontynent został opanowany przez Chaos, Elryku. Co do Zarozinii, nie wiem czy zaginęła, została pojmana, czy nie żyje.

— Czy jej nie szukałeś? — zapytał Melnibonéanin oskarżycielskim tonem.

— Mój synu — stary człowiek wzruszył ramionami. — W ciągu ostatnich dni widziałem takie okropności, że zostałem zupełnie wyczerpany z uczuć. Zależy mi teraz na jednym: żeby się jak najszybciej od tego uwolnić. Dni rodzaju ludzkiego na Ziemi są policzone. Nie idź dalej niż te góry, ponieważ pod wpływem sił Chaosu nawet Płaczące Pustkowia zaczyna się zmieniać. Nie ma nadziei.

— Nie ma nadziei? Nie! My przecież żyjemy, może Zarozinia też żyje. Czy naprawdę nic nie wiesz, co się z nią stało?

— Słyszałem tylko pogłoski, że Jagreen Lern wziął ją ze sobą na statek flagowy Chaosu.

— Znaczy, że jest na morzu?

— Nie, te przeklęte okręty żeglują tak samo po lądzie, jak i po wodzie, jeżeli w chwili obecnej jest jeszcze jakaś różnica. To właśnie one zaatakowały Karlaak, prowadząc ze sobą zastępy konnych i piechoty. Wszędzie panuje Chaos. Tam dokąd jedziesz, znajdziesz tylko śmierć.

— To się jeszcze okaże. Mam już teraz ochronę przeciwko Chaosowi, mój miecz i nihraińskiego rumaka — zwrócił się do swoich towarzyszy. — No więc, przyjaciele, zostajecie tu z panem Voashoonem, czy jedziecie ze mną w objęcia Ciemności?

— Pojedziemy z tobą — odpowiedział Moonglum za siebie i Dyvima Slorma. — Zaszliśmy z tobą zbyt daleko i teraz nasze losy są ściśle połączone z twoim. Nie mamy innego wyjścia.

— Dobrze. Żegnaj, Voashoonie. Gdybyś mógł, skieruj swe kroki do Eshmir

i Nieznanych Królestw, skąd pochodzi Moonglum. Chociaż niewiele im to pomoże, powiedz, żeby przygotowali się na najgorsze.

— Spróbuję — zapewnił Voashoon. — Nie wiem jednak, czy zdążymy w porę tam dotrzeć.

Elryk i jego kompani wyruszyli w drogę, naprzeciw wielkiej armii Chaosu. Trzech wojowników przeciwko niepokromionym siłom Ciemności. Trzech śmiałków, którzy szli wytyczoną trasą tak długo, że nie mogli teraz z niej zboczyć. Ostatnie akty musiały być odegrane bez względu na to, czy miała po nich nastąpić krwawa noc, czy spokojny dzień.

Wkrótce napotkali pierwsze zwiastuny Chaosu. Na terenach, gdzie kiedyś rosła bujna trawa, znajdowało się teraz pole roztopionej żółtej skały. Temperatura gęstej cieczy była niewysoka, lecz falując, lawa parła do przodu, pochłaniała wciąż kolejne mile powierzchni globu. Ich nihraińskie konie nie stąpały po tej ziemi, więc poradziły sobie z łatwością z tą przeszkodą i po raz pierwszy Tarcza Chaosu pokazała swoje możliwości. Pod jej wpływem morze roztopionej skały zamieniało się na parę chwil w bujną trawę.

Po drodze napotkali kuśtykającego człowieka, który jeszcze miał nogi i mógł mówić. Dowiedzieli się od tego nieszczęśnika, że Karlaak nie istnieje. Zostało zamienione we wrzącą, bezkształtną masę. Tam też nieprzyjaciel rozłożył się obozem. Dowiedzieli się również, że Wyspa Smoków jest jedynym miejscem na Ziemi, które oparło się wpływowi Chaosu.

— Kiedy skończymy nasze zadanie, spróbujemy się tam dostać — rzekł Elryk, gdy ruszyli dalej. — Tam mamy szansę przeżycia, aż przybędą Władcy Prawa. Na wyspie w jaskiniach leżą pogrążone we śnie smoki. Byłyby one bardzo użyteczne w walce z Jagreenem Lernem. O ile dałoby się je obudzić.

— Jaki sens ma dalsza walka? — zapytał Dyvim Slorm zrezygnowanym głosem. — Teokrata wygrał, Elryku. Nie wypełniliśmy powierzonego nam zadania. Nasza rola jest skończona. Teraz rządzi tu Chaos.

— Czyżby? Musimy jeszcze się z nim zmierzyć i sprawdzić jego siłę. Dopiero wtedy stwierdzimy, kto rzeczywiście wygrał.

Dyvim Slorm spojrzął z powątpiewaniem na kuzyna, ale nic nie odrzekł.

W tym momencie dojechali do obozu Chaosu.

Żaden koszmar senny nie mógł się równać z tym widokiem. Nad całym terenem dominowały Okręty Umarłych. W niebo wystrzelały różnokolorowe płomienie. Na ziemi różnego rodzaju stwory obcowały z ludźmi. Śmiertelnie piękni Książęta z Piekieł naradzali się z ponurymi królami, którzy zjednoczyli się z Jagreenem Leniem i teraz, być może, żalowali swojej decyzji. Od czasu do czasu w różnych miejscach grunt się kołysał i wybuchał. Ktokolwiek się znalazł w pobliżu takiej erupcji, ginął na miejscu lub podlegał transmutacji w nieopisaną poczwarę. W powietrzu unosił się przerażający hałas. Głosy ludzi i dźwięki Chaosu mieszały się z odrażającym śmiechem diabłów i wraskiem torturowanych dusz

ludzkich. Smród rozkładu, krwi i zła był nie do wytrzymania. Okręty Umarłych płynęły powoli poprzez ogromny obóz, znaczony wielkimi namiotami królów, nad którymi powiewały jedwabne sztandary. Nic nie znacząca duma w porównaniu z potęgą Chaosu. Wielu ludzi niczym się nie różniło od stworów z Piekieł, tak bardzo zostali przemienieni.

— Widzę, że proces mutacji ma coraz większy zasięg wśród ziemskich wojowników — odezwał się Elryk. — To będzie trwało dopóty, dopóki Jagreen Lern wraz z innymi królami nie zostaną całkowicie odmienieni i staną się ułamkiem materii Chaosu.

— Przyjaciele, patrzycie właśnie na ostatnich przedstawicieli rodzaju ludzkiego. Wkrótce nie można ich już będzie odróżnić. Cały ten niestabilny grunt znalazł się we władzy Książąt z Piekła, albo znajdzie się w niedługim czasie. Powoli zostaje on wciągany w ich wymiar, w ich królestwo. Najpierw zmieniają jego kształt, a następnie zabiorą całą Ziemię. Stanie się ona bryłą materii, którą będą mogli przekształcać, w co tylko im się spodoba.

— I my mamy się temu przeciwstawić — powiedział Moonglum bez nadziei w głosie. — Nie jesteście w stanie, Elryku!

— Musimy dalej próbować, aż do samego końca. Pamiętam, co powiedział Król Morza, Straasha. Jeżeli uda nam się pokonać Pyaraya, kapitana Floty Umarłych, Okręty z Piekieł nie będą mogły istnieć. Mam zamiar sprawdzić jego słowa. Nie wolno mi również zapomnieć, że moja żona może znajdować się na jednym z tych statków, ani że Jagreen Lern gdzieś tam jest. Mam trzy przekonywające powody, żeby tam jechać.

— Nie, Elryku! To więcej niż samobójstwo!

— Nie proszę was, żebyście mi towarzyszyli.

— Jeżeli pójdziesz, my również pójdziemy, ale bardzo mi się to nie podoba.

— Nie. Jeżeli nie uda się jednemu, nie uda się i trzem. Pójdę sam. Zaczekajcie tu na mnie. Jeżeli nie powrócę, spróbujcie przedostać się na Wyspę Smoków.

— Ale, Elryku...! — krzyknął Moonglum w ślad za galopującym w stronę obozu Melnibonéaninem.

Tarcza chroniła Elryka przed wpływem Chaosu, lecz był on za to dobrze widoczny. Gdy zbliżał się do statków, został zauważony przez niewielki oddział. Wojownicy rozpoznali go i zaatakowali.

Rozjuszony okropnym widokiem, i smrodem isticie piekielnym, zaśmiał im się prosto w twarz.

— Taka przekąska będzie odpowiednia dla mojej szabli, zanim rozpocznie się prawdziwy bankiet na statku! — krzyknął i odciął głowę najbliższemu napastnikowi, jakby to był kwiat jaskru.

Bezpieczny za okrągłą tarczą, wywijał mieczem w szaleńczym zapale. Od czasu, gdy Zwiastun Burzy pozbawił demony uwięzione w drzewach ich dusz, energia jaką posiadał była nieskończona. Jednak każda dusza, którą Elryk wykradł

Teokracie, przyczyniała się do dopełnienia zemsty. Zwykli ludzie nie mogli mu się przeciwstawić. Jednego wojownika, zakutego w ciężką zbroję, rozciął od głowy aż po krocze. Siła uderzenia była tak wielka, że ostrze przeszło przez siodło i wbiło się do połowy w rumaka.

Wtem reszta przeciwników pierzchła, a albinos poczuł mrowienie połączone z dziwnym uczuciem. Zrozumiał, że dostał się w zasięg wpływu jednego z Okrętów Umarłych. Wiedział, że jest tu bezpieczny dzięki Tarczy. Znajdował się teraz częściowo w ziemskim wymiarze, a częściowo w świecie Chaosu. Zsiadł z konia i kazał mu czekać. Z burty statku zwisały grube liny. Elryk z przerażeniem stwierdził, że jakieś postacie wspinały się po nich na pokład. Rozpoznał niektóre z nich, pochodziły z Karlaak. Nawet teraz Piekielne Okręty rekrutowały umarłych do swych załóg!

Dołączył do nich i wdzięczny za osłonę jaką mu dali, dostał się na statek.

Panował tu specyficzny rodzaj ciemności. Albinos podszedł do podstawy wielokondygnacyjnych pokładów, wznoszących się jak gigantyczne stopnie ku najwyższemu, na którym zobaczył niesamowite postacie. Jedna z nich miała ludzkie kształty, druga natomiast była krwistoczerwoną ośmiornicą. Człowiekiem był najprawdopodobniej Jagreen Lern, a tym drugim Pyaray, Władca Chaosu. Elryk wiedział, że właśnie pod taką postacią pojawił się na Ziemi.

Znalazszy się na pokładzie, Elryk uświadomił sobie skąd pochodziło ciemne światło, które, widziane z daleka, wydawało się mienić wszystkimi kolorami. Źródłem światła były wibrujące, falujące nici, połączone w sieć ciemnej czerwieni, granatu, żółci, zieleni i fioletu. Gdy przez nie przechodził, nici rozpadały się, by złączyć się ponownie tuż za nim.

Ciągle mijał krążące tu trupy i próbował nie patrzeć w ich twarze, ponieważ rozpoznał już kilku marynarzy, których zostawił na pastwę losu w czasie ucieczki z Imrryru.

Zbliżał się powoli do górnego pokładu. Z zadowoleniem stwierdził, że ani Jagreen Lern, ani Pyaray nie wiedzieli o jego obecności. Czuli się bardzo pewnie i bezpiecznie, ponieważ podbili już cały świat. Elryk uśmiechnął się złośliwie i wspinał się dalej. W rękę kurczowo ścisnął uchwyt Tarczy. Wiedział, że jeżeli ją upuści, jego ciało przemieni się w jakiś potworny kształt lub spadnie ze statku i dołączy do wszechobecnej materii Chaosu.

W tej chwili albinos zapomniał o całym świecie. Miał przed sobą tylko jeden cel: zabić Pyaraya. Musi się dostać na górny pokład i rozprawić najpierw z Władcą Chaosu. Następnie zabije Jagreena Lenia i jeżeli Zarozinia rzeczywiście jest na tym statku, uratuje ją i odwiezie w bezpieczne miejsce.

Więc pisał się w górę, przez sieć kolorowych nici. Jego śnieżnobiałe włosy kontrastowały z ponurą ciemnością.

Gdy stanął na przedostatnim pokładzie, poczuł na ramieniu delikatne muśnięcie. Obejrzał się i ze śmiertelnym przerażeniem zrozumiał, że odkryła go jedna

z czerwonych macek Pyaraya. Skoczył do tyłu i uniósł Tarczę.

Macka dotknęła powierzchni Tarczy, odbiła się gwałtownie i zadrżała. Z góry, gdzie znajdował się tułów, do którego należała macka, doleciał potworny ryk.

— Co to jest? Co to jest? Co to jest?

Gdy Elryk zobaczył efekt jaki wywołało dotknięcie jego Tarczy, zawołał zuchwale:

— Elryk z Melniboné przychodzi, żeby cię zgładzić!

Następne trzy macki spuściły się z górnego pokładu, próbując go pojmać. Pierwszą Elryk odciął, przed drugą osłonił się Tarczą z takim samym skutkiem jak za pierwszym razem i uniknąwszy spotkania z trzecią, popędził do przeciwnej burty. Najszybciej jak umiał, wspiął się na ostatni pokład. Jagreen Leni wytrzeszczył oczy poznając Elryka. Teokrata był ubrany w tę samą szkarłatną zbroję, przy pasie zwisał ogromny topór, a w prawym ręku trzymał pałasz. Spojrzał na swoją broń i pojął, że daleko jej do broni Elryka.

— Tobą zajmę się później, Jagreenie Lernie — obiecał albinos.

— Jesteś głupcem, Elryku! Jesteś skończony, cokolwiek zrobisz!

To pewnie była prawda, ale w tej chwili niewiele go to interesowało.

— Z drogi, błaznie — rzucił Elryk i podniósłszy Tarczę, zaczął ostrożnie zbliżać się do ośmiornicy.

— Jesteś zabójcą wielu moich kuzynów, Elryku — odezwał się potwór tubalnym głosem. — Wygnałeś z Ziemi kilku Książąt Chaosu, tak że nie mogą tu powrócić. Musisz za to zapłacić. Ja przynajmniej doceniam twoje możliwości i nie popełnię błędu, którego się dopuściła cała reszta. — Jedna macka wystrzeliła w kierunku albinosa, próbując ominąć Tarczę od góry i złapać go za gardło. Elryk zrobił krok do tyłu i osłonił się.

Wtedy runęła na niego cała chmara macek. Nadlatywały z każdej strony unikając Tarczy. Wiedziały bowiem, że dotknięcie oznaczało dla nich śmierć. Elryk robił uniki i ciał na wszystkie strony, jednak macek było zbyt dużo.

W pewnej chwili przypomniał sobie słowa Straashy: „Jego życie i dusza zawarte są w błękitnym kryształ, umieszczonym na czubku głowy”.

Albinos spojrział na Pyaraya i zobaczył promieniujący błękitny kryształ, który początkowo pomylił z jednym z wielu oczu potwora.

Zaczął poruszać się w kierunku źródła macek. Tył zostawił bez żadnej ochrony, ale nie miał innego wyjścia. Gdy się zbliżył, w głowie potwora otworzyła się ogromna paszcza i macki zaczęły pchać go w jej stronę. Albinos wysunął Tarczę do przodu i z satysfakcją stwierdził, że przy zetknięciu z nią z ciała ośmiornicy pociekła żółta galaretowata maź, a z gardła dobył się okrzyk bólu.

Stał na jedną z macek i zaczął wspinać się po oślizgłej skórce. Za każdym razem, gdy Tarcza stykała się z ciałem Pyaraya, zostawiała w tym miejscu okropną ranę. Władca Chaosu wił się z bólu. Melnibonéanin dostał się w końcu na sam

czubek i zatrzymawszy się na sekundę, z całej siły wbił Zwiastuna Burzy w błękitny kryształ!

Od wewnątrz wstrząsnęły ciałem spazmatyczne drgawki. Z paszczy wydobył się przedśmiertny ryk, któremu triumfalnie zawtórował Elryk, gdy miecz runiczny przekazał mu energię Pyaraya. Energii było tak dużo, że albinos razem z mieczem został odrzucony do tyłu. Poślizgnął się na pokładzie i zleciał z wysokości prawie stu stóp. Wylądował z hukiem i łoskotem, lecz dzięki energii, skumulowanej w ciele, nic mu się nie stało. Natychmiast się podniósł i już chciał wrócić na górę, gdy doleciał go głos Jagreena Lerna, który patrzył na niego z zainteresowaniem.

— W kabinie obok znajdziesz dla siebie prezent, Elryku!

Rozdarty pomiędzy żądzą zemsty na Teokracie a chęcią zbadania kajuty, odwrócił się i otworzył drzwi. Ze środka wydobył się okropny szloch.

— Zarozinia! — wykrzyknął. Rzucił się do ciemnego pomieszczenia i ujrzał swoją żonę, lub raczej to, co z niej zostało.

Jej kochane ciało zostało przemienione w tułów białego robaka. Nie zmieniona została tylko głowa z tą samą piękną twarzą.

— Czy Jagreen Lern tego dokonał? — zapytał i prawie upuścił Tarczę. Widok żony przyprawiał go o mdłości.

— On i jego sprzymierzeniec — przytaknęła głowa.

— Jeszcze jeden rachunek do wyrównania — wymamrotał, nie patrząc na nią.

Nagle robak o głowie kobiety poruszył się i rzucił na obnażony miecz, który albinos trzymał w ręku.

— Tak! — krzyknęła Zarozinia. — Zabierz moją duszę do siebie, Elryku, skoro ciało na nic ci się już nie przyda! Posiądź moją duszę i na zawsze będziemy razem.

Zrozpaczony mąż próbował wyciągnąć chciwe ostrze, ale bez skutku. Energii, którą przekazał mu jego miecz, towarzyszyło zupełnie nowe uczucie. Jak gdyby zalała go fala delikatnego i miłego ciepła. Dusza żony wpłynęła w jego ciało, a on zaszlochał jak dziecko.

— Och, Zarozinio, moja nieustająca miłości!

W ten sposób zginęła Zarozinia. Jej dusza połączyła się z jego duszą, podobnie jak wiele lat temu stało się z Cymoril, jego pierwszą kochanką. Nie spojrzawszy na ciało ani na twarz żony, Elryk powoli opuścił pomieszczenie.

Gdy znalazł się na pokładzie, zauważył, że statek powoli się rozpadał. Jagreen Lern z pewnością umknął już daleko stąd, a Melnibonéanin nie był teraz w stanie myśleć o szukaniu go. Zeskoczył na ziemię i pobiegł do konia.

Wciąż ze łzami w oczach odjechał w kierunku, z którego tu przybył. Za nim Okręty Umarłych rozplywały się w falującym powietrzu. Przynajmniej ta groźba była zażegnana i został wymierzony potężny cios w potęgę Chaosu. Flota Umarłych przestała istnieć. Teraz pozostawało rozprawić się z zastępami wojowników, a to nie stanowiło łatwego zadania.

Dołączył do przyjaciół, którzy nie zadawali zbędnych pytań i powiódł ich poprzez falującą ziemię w kierunku Melniboné — wyspy należącej do jego przodków, na której stanie ostatni bastion przeciw Złu, zanim rozegra się decydująca bitwa i dopełnią się ich przeznaczenia.

W drodze na wyspę wydawało mu się, że słyszy głos Zarozinii, szepczący słowa pocieszenia.

KSIEGA CZWARTA

SPEŁNIENIE SIĘ LOSU ELRYKA

Umysł Człowieka jest bowiem w stanie odkrywać wielką przestrzeń kosmicznej nieskończoności, przewyższać przeciętną świadomość, przemierzać tajemne zakamarki umysłu, gdzie przeszłość i teraźniejszość stają się jednym... A wszechświat zespala się z jednostką, i jeden jest odbiciem drugiego, i jeden zawiera się w drugim.

Z KRONIKI CZARNEGO MIECZA

Rozdział 1

Dawny splendor Miasta Snów był teraz jedynie wspomnieniem. Na tle nieba sterczały szerniałe kikuty wysmukłych wież. U ich stóp słały się ruiny domów. Elryk sprowadził kiedyś na to miasto pożogę i zniszczenie.

Strzępy czarnych chmur płynących po niebie rzucały długie cienie na wzburzone i poplamione czerwienią morze. Wydawało się, że woda pod wpływem przemykających po jej powierzchni cieni staje się spokojniejsza.

Nad ruiną domostwa stał człowiek i przyglądał się falom. Był to wysoki mężczyzna o szerokich plecach, szczupłych biodrach, skośnych brwiach i uszach bez płatków. Miał wystające kości policzkowe i zamyślane oczy świecące w trupio białej, ascetycznej twarzy. Ubrany był w czarny pikowany kubrak i ciężki płaszcz, oba okrycia miały wysokie kołnierze, podkreślały biel jego skóry. Zmienny, ciepły wiatr bawił się muskając fałdy płaszcza, by za moment oddalić się i zawyc wśród zgliszcz Miasta Snów.

Pobudzony szumem wiatru Elryk przypominał sobie słodkie, przepelnione złem i melancholią pieśni Melnibonéan. Wspominał również o jeszcze jednej muzyce, jaką stworzyli jego przodkowie, kiedy odpowiednio dobierali i ustawiali w rzędzie torturowanych niewolników ze względu na wysokość tonacji ich wrzasków. Formowali ich na kształt instrumentu i wygrywali na nich piekielne symfonie. Pogrzywszy się na chwilę we wspomnieniach, albinos poczuł coś w rodzaju żalu, że kiedyś wyrzekł się swej rasy. Żałował, że nie zaakceptował wszystkiego, co mu oferowała, bez stawiania zbędnych pytań. Teraz przynajmniej jego dusza nie byłaby rozdarta na dwoje. Uśmiechnął się gorzko.

Jakaś postać pojawiła się u stóp rumowiska i zaczęła się wspinać. Po chwili stanęła obok niego. Był to mały człowieczek, o rudych włosach, szerokich ustach i oczach niegdyś wesołych i jasnych.

— Patrzysz na Wschód, Elryku — odezwał się Moonglum. — Patrzysz na coś, co nigdy nie powróci.

Melnibonéanin położył rękę na ramieniu przyjaciela.

— Na co jeszcze mógłbym patrzeć, rudowłosy przyjacielu, gdy świat leży u stóp Chaosu? Co byś chciał żebym zrobił? Patrzył w przyszłość i oczekiwał

nadejścia dni nadziei i radości, sędziwego wieku i gromadki dzieci bawiącej się u moich stóp? — zaśmiał się cicho. Moonglum nie lubił tego śmiechu.

— Sepiriz wspominał o pomocy Władców Prawa. Powinna już wkrótce nadejść. Musimy cierpliwie czekać — Elwheryjczyk zmrużył oczy, spojrzał na złowieszcze słońce i wtem jego twarz przybrała zamyślony wyraz. Spuścił wzrok.

Albinos nie odzywał się przez chwilę, obserwując morze.

— Po co narzekać? — wzruszył ramionami. — To mi nie pomaga. Nie mogę działać, kierując się własną wolą. Cała moja przyszłość została już postanowiona. Mam nadzieję, że ludzie, którzy po nas przyjdą, skorzystają z możliwości kierowania własnym losem. Ja nie jestem w stanie tego zrobić — podniósł dłoń do góry. Spojrzał na paznokcie, kostki, ścięgna i żyły, które mocno odznaczały się na bladej skórze. Przygłodził nią swe jedwabiste, białe włosy i wziął głęboki haust powietrza. — Logika! Światu potrzebna jest logika. We mnie nie ma jej ani krztyny, a jednak tu jestem, stworzony jak człowiek, z rozumem, sercem i wszystkimi ludzkimi narządami. Stworzony i rządzący się przypadkiem. Powstały z przypadkowych chaotycznych elementów. Świat potrzebuje logiki. Cała logika świata jest warta tyle, ile jeden przypadkowy strzał w dziesiątkę. Ludzie męczą się wśród logicznych i uporządkowanych rozważań, a inni bezmyślnie zgadują na chybił trafił i dochodzą do takich samych rezultatów. Oto wniosek podsumowujący rozważania proroka.

— Ach — Rudowłosy mrugnął oczami z udaną beztroską — takie są słowa dzikiego podróżnika, cynika. Ale nie wszyscy jesteśmy dzicy i cyniczni, Elryku. Ludzie chodzą innymi ścieżkami i dochodzą do odmiennych wniosków.

— Ja idę po ścieżce, która jest z góry określona. Chodź, pójdziemy teraz do Smoczycich Jaskiń i zobaczymy, czy mojemu kuzynowi udało się obudzić jaszczury.

Zsunęli się po kamieniach i maszerując poprzez poszarpane kaniony, które niegdyś były ulicami Imrryru, wyszli za miasto. Idąc po zielonej ścieżce, wijącej się między jałowcami, przestraszyli stado wielkich kruków. Ptaki wzbiły się w niebo z głośnym krakaniem. Jeden tylko pozostał na gałęzi. Siedział niewzruszony z nastroszonym czarnym płaszczem piór. Dystyngowany król kruków bacznie śledził każdy krok intruzów.

Szli w dół wśród sterczących, ostrych skał w kierunku ciemniejącego w dali wejścia do Smoczycich Jaskiń. Schodzili po stromych schodach, oświetlonych pochodniami. Zagłębiali się w miejsca, gdzie zalegało wilgotne i ciepłe powietrze, przepelnione wonią pokrytych łuską gadów. Dotarli do pierwszej groty. Spały tu ogromne smocze cielska, górujące nad ludźmi nawet gdy leżały. Ich złożone skrzydła ginęły w mroku, zielone i czarne łuski błyszczały w świetle pochodni, w rozwartych paszczach widniały długie, białe kły, sterczące jak stalaktyty. Z wielkich, czerwonych nozdrzy ze świstem dobywało się powietrze. Niepowtarzalny zapach ich oddechu i skóry obudził w Moonglumie pamięć odziedziczoną

po przodkach. Był to niejasny obraz czasu, kiedy smoki wraz z ich jeźdźcami panowały nad całą Ziemią. Trasa ich lotu była znaczone pożarami, spowodowanymi ognistym jadem wydobywającym się z kłków. Przyzwyczajony do tego zapachu Elryk nie zwrócił nań najmniejszej uwagi. Minął pierwsze dwie jaskinie i dotarłszy do trzeciej odnalazł Dyvima Slorma, który chodząc tam i z powrotem z pochodnią w jednej i zwojem pergaminu w drugiej ręce, klął na czym świat stoi.

Usłyszawszy zbliżające się kroki, podniósł głowę, rozłożył ręce i krzyknął:

— Nic! — jego głos odbił się od ścian i echem poleciał w głąb jaskiń. — Nawet nie drgną, ani mrugnięcia powieką! Nie ma sposobu, żeby je obudzić. Będą spały jeszcze przez określoną liczbę lat. Och, gdybyśmy nie używali ich podczas dwóch poprzednich przygód! Teraz są nam o wiele bardziej potrzebne!

— Ani ty, ani ja nie wiedzieliśmy tego, co wiemy teraz. Biadoleniem nic nie osiągniemy — odrzekł Elryk, rozglądając się po ukrytych w cieniu cielskach. Trochę odsunięty od reszty leżał smoczy przywódca. Melnibonéanin rozpoznał go i poczuł przypływ sympatii. Płomienny Kieł, był najstarszym wśród żywych smoków. Miał pięć tysięcy lat, lecz dla wielkich jaszczurów nie znaczyło to wiele. On, jak i cała reszta, również spał niewzruszony.

Elryk podszedł do smoka i powiodł ręką po metalicznych łuskach, przejechał po gładkich kłkach, poczuł ciepło jego oddechu i uśmiechnął się. Zwiastun Burzy zamruczał cicho i poruszył się w pochwie.

— Nie, mój mieczu, tej duszy nie możesz dostać — odpowiedział albinos. — Smoki są niezniszczalne. Przeżyją, nawet jeżeli cały świat zamieni się w nicość.

— Elryku! — krzyknął Dyvim Slorm z drugiego końca pieczary. — Nie mogę nic więcej zrobić. Proponuję wrócić do wieży D'a'rputna i pożywić się.

Albinos przytaknął skinieniem głowy i cała trójka skierowała się ku wyjściu. Na zewnątrz powitało ich słońce.

— Hm — zauważył Dyvim Slorm — wciąż nie nadchodzi noc. Słońce znajduje się w tej pozycji od trzynastu dni, czyli od momentu, gdy opuściliśmy obóz Chaosu i dotarliśmy tutaj. Jaka potęgą musi rozporządzać Zło, skoro jest w stanie zatrzymać gwiazdę?

— Nie Chaos musi być tego przyczyną — odrzekł Rudowłosy. — Chociaż wydaje się, że to jego sprawka. Czas się zatrzymał, czeka. Ale na co? Na większe zamieszanie, nieporządek? Czy na działanie Wielkiej Równowagi, która przywróci ład i zemści się na tych, którzy sprzeciwili się jej woli? A może Czas czeka na nas, trzech zagubionych w tym wszystkim ludzi, odciętych od całego świata, czekających na Czas, tak jak on czeka na nich?

— Możliwe, że słońce czeka na nas — zgodził się Elryk. — Bo czyż nie jest naszym przeznaczeniem przygotować świat do nowej drogi? I jeżeli tak rzeczywiście jest, czuję się czymś więcej niż zwykłym pionkiem. Co się stanie, jeżeli nic nie zrobimy? Czy słońce zostanie tam, gdzie jest teraz, już na zawsze?

Zatrzymali się na chwilę i spojrzeli na pulsujący czerwony dysk, który zalewał

ulice szkarłatnym światłem. Patrzyli na czarne chmury, przemierzające bezkresne niebo. Dokąd one płynęły? Skąd nadchodziły? Wydawało się, że dążą do jakiegoś określonego celu. Możliwe, że to wcale nie chmury, lecz posłańcy Chaosu wysłani z jakimś zadaniem.

Melnibonéanin wzruszył ramionami, świadom bezsensowności takich spekulacji. Szli dalej, w kierunku wieży D'a'rputna, w której wiele lat temu albinos spotkał swą miłość. Związek z kuzynką Cymoril został brutalnie przerwany przez jego łaknący duszy miecz.

Wieża przetrwała pożogę, lecz wśród ognia nabrała czarnego koloru spaliny. Opuścił przyjaciół i poszedł do swojej komnaty. Tak jak stał, ubrany, z bronią przy boku, rzucił się na łożo i natychmiast zapadł w sen.

Rozdział 2

Elryk spał i śnił. Wiedział, że wizje, które mu się ukazywały, były nierealne, lecz wszelkie starania aby się obudzić spełzały na niczym. Wreszcie pozwolił zawładnąć sobą wizjom sennym i przenieść do zalanej słońcem krainy...

Zobaczył Imrryr Piękne Miasto takim, jakim był wiele wieków temu, jakim był przed jego najazdem i pożogą. Taki sam, a jednak jaśniejszy, jakby na nowo zbudowany. Również kolory otaczającej przyrody były żywsze — ciemnopomarańczowe słońce, niebo o głębokim błękitcie i krystaliczne powietrze. Później kolory zaczęły blednąć, jak cała starzejąca się planeta...

Widział ludzi i zwierzęta na błyszczących ulicach; wysocy Melnibonéanie, mężczyźni i kobiety, kroczyli z gracją jak dumne tygrysy; niewolnicy o ogorzałych twarzach, bez cienia nadziei w oczach; długonogie rumaki z gatunku, który już dawno wymarł; niewielkie mastodonty ciągnące barwne zaprzęgi. Lekki wietrzyk przyniósł zapachy ulicy i stłumione dźwięki. Ciche, ponieważ Melnibonéanie nienawidzili hałasu w takim samym stopniu, w jakim kochali harmonię. Ciężkie, jedwabne sztandary powiewały na iskrzących się tysiącem odcieni i lśnień wieżach, zbudowanych z błękitnego kamienia, jaspisu, kości słoniowej, kryształu i czerwonego granitu. Elryk wyciągnął rękę we śnie, chciał być razem z nimi, razem ze złotowłosą rasą, która władała starym światem.

Poprzez wodny labirynt prowadzący do wewnętrznego portu Imrryru wpływały ogromne galery. Na ich pokładach znajdowały się łupy i podatki zebrane z całego obszaru Świetlanego Imperium. A po błękitnym niebie, leniwie poruszając skrzydłami, leciały smoki. Kierowały się do swoich jaskiń, gdzie znajdowały się ich tysiące. Nie tak jak teraz, gdy została zaledwie setka. W najwyższej wieży B'alTnezbett — Wieży Królów jego praojcowie zgłębiali sztukę magiczną, przeprowadzali swe nieczyste doświadczenia, zaspokajali wybredne apetyty. W odróżnieniu od władców z Młodych Królestw, sposób, w jaki to robili, był dla nich naturalny.

Elryk wiedział, że przed jego oczyma ukazało się miasto duchów. Przeniknął wzrokiem przez ściany Wieży i zobaczył, jak magiczni cesarze, będąc pod wpływem narkotyków, toczyli rozmowy; zabawiali się z kobietami-demonami; torturu-

jąc poznawali dziwne metabolizmy i psychikę poddanych im ras; zgłębiali sztukę czarnoksięską; dosięgali takich tajników wiedzy, od których każdy człowiek, nie należący do rasy Melnibonéan, postradałby zmysły.

To musiał być niebyt, zamieszkanym przez wszystkich umarłych, Elryk dostrzegł bowiem cesarzy z różnych wieków. Albinos znał ich z portretów: dwunasty cesarz Rondar IV Kędzierzawy, osiemnasty — Elryk I Bystrooki, trzysta dwudziesty dziewiąty Kahan VII Srogi. Ponad tuzin najznakomitszych i najmądrzejszych imperatorów, wśród nich także Terhali, Cesarzowa w Zieleni, która panowała od roku 8406 po wzniesieniu Świetlistego Imperium aż do roku 9011. Od innych władców i poddanych odróżniała ją zielone zabarwienie skóry i włosów oraz długowieczność. Była ona potężną czarodziejką nawet jak na Melniboné. Mówiło się również, że była owocem związku Cesarza Iuntrica X z demonem.

Elryk, który obserwował to wszystko, jakby stojąc w jednym z ocienionych kątów komnaty, zauważył, że przeciwległe kryształowe drzwi otworzyły się i wszedł ktoś jeszcze. Elryk gorąco zapragnął się w tym momencie obudzić, ale na pragnieniu się skończyło. To był jego ojciec, Sadryk osiemdziesiąty szósty — wysoki mąż o ciężkich powiekach i wypisanym na twarzy smutku. Ruszył w kierunku albinosa, przeszedł przez tłum jak przez powietrze i stanął dwa kroki przed Elrykiem. Patrzył na syna spod ciężkich powiek i mocno zaznaczonych łuków brwiowych. Mężczyzna o posępnej twarzy, rozczarowany spłodzeniem albinosa. Miał długie, ostry nos, wysokie kości policzkowe i trochę się garbił. Wodził ubranymi w pierścienie palcami po aksamitnej, czerwonej szacie. Wreszcie przemówił dźwięcznym szeptem, który Elryk tak dobrze pamiętał. Zawsze mówił w ten sposób.

— Mój synu, więc ty też nie żyjesz? Wydaje mi się, że jestem tu zaledwie chwilę, ale widzę, że i ty się zmieniłeś pod wpływem ciężaru, jaki nałożyły na twoje barki Czas i Przeznaczenie. W jaki sposób umarłeś? Czy podczas jakiejś lekkomyślnej wyprawy, z ręki podludzi? Czy może w twoim białym łożu, w tej wieży? A jak się powodzi teraz naszemu miastu? Czy jest takie jak dawniej, czy może podupało i pograżyło się w marzeniach o dawnej świetności? Mam nadzieję, że linia królewska nadal trwa, nie będę się dopytywał, czy nie zawiodłeś pokładanego w tobie zaufania. Syn. Z pewnością narodzony z Cymoril, którą kochałeś, przez którą twój kuzyn Yyrkoon cię znienawidził.

— Ojciec...

Stary człowiek podniósł dłoń, ze starości prawie przezroczyście.

— Jest jeszcze jedno pytanie, które muszę ci zadać. Pytanie, które spędzało sen z powiek wszystkim, którzy mieszkają w cieniu miasta. Niektórzy z nas zauważyli, że Imrryr niekiedy traci swe kształty, jego kolory matowieją, falują, jak gdyby miały zniknąć. Niektórzy z naszych kompanów minęli ten etap i znaleźli się we władaniu nicości. Na samą myśl o tym przejmuję mnie chłód. Nawet tu w świecie śmierci pojawiają się bezprecedensowe zmiany i niektórzy z nas

obawiają się, że jakieś burzliwe wydarzenia miały miejsce w świecie żywych. Musiały być tak wielkie, że nawet nas dosięgły i zagroziły egzystencji dusz umarłych. Legendy mówią, że dopóki Miasto Snów będzie istniało, dopóty my, duchy, możemy istnieć w pamięci jego wielkiej sławy. Czy taką wiadomość nam przynosisz? Widzę bowiem przy bliższych oględzinach, że ty wciąż pozostajesz wśród żywych, a to, co stoi przede mną, jest jedynie twoim astralnym ciałem, dopuszczonym do wędrówki po Królestwie Śmierci.

— Ojcie... — obraz zaczął się zamazywać, a Elryk był już w drodze powrotnej poprzez nieznaną obszar kosmosu, poprzez wymiary nieobjęte pojęciem ludzkim, dalej i dalej... — Ojcie! — zawołał i usłyszał echo własnego głosu, ale nic poza tym. Nie było żadnej odpowiedzi. W pewnym sensie ucieszyło go to, jak bowiem mógł odpowiedzieć nieszczęśliwemu duchowi i potwierdzić jego domysły? Przyznać się do swoich zbrodni dokonanych na ich królewskim mieście i na własnej rasie? Wszystko tonęło we mgle i smutku, a niezależne echo jego głosu przekształcało się i przybierało inną formę tworząc przedziwne wyrazy: „O-o-o-o-o-jcz-e-e-e-ee... O-o-o-o-o-j-e-e-e... O-o-o-o-oz-e-e-e-e... J-e-e-e... D-a-cz-ja-er-e-e...!

Pomimo całego wysiłku, wciąż nie mógł się zbudzić i poczuł, jak jego duch przemierza teraz odmienne regiony, w których barwy wychodzą poza ziemskie spektrum, poza możliwości ludzkiego pojęcia.

W tej mgle pojawiła się twarz.

— Sepiriz! — Elryk rozpoznał swego mentora. Ale była to tylko głowa czarnego Nihraina, przyjaciel nie słyszał wołania. — Sepirizie, czy ty nie żyjesz?

Twarz zaczęła się rozplýwać i nagle pojawiła się na nowo, razem z całym tułowiem.

— Elryku, nareszcie cię odnalazłem. Widzę, że wędrujesz w astralnym ciele. Dzięki Przeznaczeniu! Myślałem już, że nie uda mi się cię przywołać. Teraz musimy się śpieszyć. W szzańcach ochronnych Chaosu została utworzona wyrwa i udajemy się na naradę do Władców Prawa!

— Gdzie jesteśmy?

— Na razie nigdzie. Podróżujemy do Wysokich Światów. Chodź, pospiesz się, będę twoim przewodnikiem.

Posuwali się w dół przez materię przypominającą najdelikatniejszą wełnę, przez kaniony biegnące wzdłuż gór światła, przez groty nieskończonej ciemności, w której ciała świeciły własnym światłem. Elryk odczuwał na całym ciele okrążającą ich nicość.

I nagle znaleźli się na równinie bez horyzontu, doskonale płaskiej, gdzieś wystawały zielone i niebieskie geometryczne bryły. W opalizującym powietrzu przemieszczały się i przekształcały żywe formy energii. Tu czekały na nich postacie, które przyjęły ludzką formę. Z banalnego powodu, zrobiły to dla dwóch ludzi, z którymi mieli się spotkać.

Pochodzący z Wysokich Światów Władcy Prawa, wrogowie Chaosu, byli cudownie piękni. Ich nieprawdopodobnie symetryczne ciała zdawały się wprost nie-ludzkie. Tylko Prawo mogło stworzyć taką perfekcję, a taka doskonałość uniemożliwia wszelki postęp — myślał Elryk. O tym, że dwie bliźniacze siły uzupełniały się nawzajem, przekonywał się coraz bardziej. Gdy jedna brała górę nad drugą, oznaczało to entropię, stagnację dla całego kosmosu. Nawet jeżeli Prawo zapanuje na Ziemi, Chaos też musi być obecny i vice versa.

Biali Władcy przygotowali się do bitwy, jasno widać to było po ich ziemskich ubiorach. Szlachetne metale i jedwabie błyszcząły na doskonałych ciałach. Wysmukła broń wisiała przy pasach, a na przepięknych twarzach widniało zdecydowanie. Najwyższy wystąpił naprzód.

— Tak więc, Sepirizie, przywiódłeś ze sobą wybrańca, którego przeznaczeniem jest nam dopomóc. Witaj, Elryku z Melniboné. Chociaż powstałeś z Chaosu, dość jest powodów byś był tutaj mile widziany. Czy poznajesz mnie? Jestem tym, kogo na Ziemi nazywacie Donblasem, Twórcą Sprawiedliwości.

— Pamiętam cię, Panie — odezwał się Elryk. — Obawiam się jednak, że swoje imię nosisz na próżno, na świecie bowiem nigdzie nie ma sprawiedliwości.

— Mówisz o swoim świecie, jak gdyby istniał tylko jeden świat — Donblas uśmiechnął się bez urazy, chociaż wydawało się, że nie był przyzwyczajony do impertynencji ze strony zwykłego śmiertelnika.

Elryk nie spieszył się ani trochę. Jego przodkowie przeciwstawiali się Donblasowi i innym Władcom Prawa i trudno mu teraz było uważać ich za sojuszników.

— Rozumiem teraz, jak udało ci się stawić czoło naszym wrogom — Donblas kontynuował z wyraźną aprobatą. — Zgodzę się z twierdzeniem, że w tej chwili brak jest sprawiedliwości na Ziemi. Ale nie na próżno zważ mnie Twórcą Sprawiedliwości. Gdy sytuacja w twoim wymiarze się zmieni, jestem gotów ustanowić tam sprawiedliwość.

Elryk nie patrzył wprost na Donblasa, ponieważ niezziemskie piękno niepokoiło go.

— Więc zabierzmy się do pracy, mój panie, i zmieńmy świat, tak szybko, jak to możliwe. Przywróćmy nowy ład na zalanej łzami Ziemi.

— Pośpiech jest w tym przypadku niemożliwy, śmiertelniku — odezwał się inny Władca Prawa. Poły jego szaty poruszyły się delikatnie, odsłaniając metalowy napierśnik z wymalowaną pojedynczą Strzałą Prawa.

— Myślałem, że jest już wyrwa w barierze — Elryk zmarszczył brwi. — Myślałem, sądząc po waszym ubiorze, że jesteście przygotowani do wojny z Chaosem!

— Jesteśmy przygotowani do walki, ale nie może to nastąpić wcześniej niż przyjdzie wezwanie z twojego wymiaru.

— Od nas! Czy Ziemia nie dość głośno błagała o waszą pomoc? Czy nie wystarczy zakłęb przyzywających, żeby was do nas ściągnąć? Jakiego jeszcze

wezwania potrzebujecie?

— Ostatecznego wezwania — powiedział stanowczo Donblas.

— Ostatecznego wezwania? Bogowie! Czyja mam jeszcze coś do zrobienia?

— Jeszcze jedno, ostatnie zadanie, Elryku — odezwał się cicho Sepiriz. Tak jak ci mówiłem, Chaos uniemożliwia Białym Władcom wszelkie próby dostania się na Ziemię. Trzy razy trzeba zadać w Róg Przeznaczenia, zanim to wszystko się zakończy. Pierwsza nuta zbudzi Smoki z Imrryru, druga otworzy wejście na Ziemię Władcom Prawa, trzecie. . . — Sepiriz zająknął się.

— Trzecie? — zniecierpliwiał się Elryk.

— Trzecie oznajmi śmierć naszego świata!

— Gdzie się znajduje ten potężny róg?

— W jednym z wymiarów — odpowiedział Sepiriz. Takiego instrumentu nie dałoby się stworzyć na Ziemi, dlatego musiał być zrobiony w wymiarze, gdzie magia rządzi się logiką. Musisz się tam dostać i odnaleźć Róg.

— A jak mam to zrobić?

Ponownie odezwał się Donblas:

— My ci w tym dopomożemy. Weź swój miecz i Tarczę Chaosu w tę podróż, mogą ci się przydać. Nie będą jednak tak potężne jak w twoim własnym świecie. Dostaniesz się na najwyższy punkt wieży B'all'nebett i postawisz krok w przestrzeń. Nie upadniesz, o ile nie zawiedzie nas resztką władzy, jaka nam jeszcze została na Ziemi.

— Pociuszające słowa, panie. Bardzo dobrze, zrobię tak, jak sobie życzycie. Jeżeli nie z przekonania, to dla zaspokojenia własnej ciekawości.

— To jeden z wielu światów — Donblas wzruszył ramionami. — Przypomina trochę twój świat, lecz możesz nie zgodzić się z jego zasadami. Zauważysz ostrość i przejrzystość barw i kształtów. To oznacza, że czas nie zostawił tam swojego piętna, że jego struktura jest jeszcze nienaruszona przez nadmiar wydarzeń. Życzę ci szczęśliwej drogi, śmiertelniku, bo lubię cię i mam powody, żeby ci być wdzięcznym. Chociaż jesteś tworem Chaosu, posiadasz cechy, które my, z Prawa, podziwiamy. Idź już, wróć do swego śmiertelnego ciała i przygotuj się na nadchodzącą wyprawę.

Elryk skłonił się i spojrzał na Sepiriza. Nihrain zrobił trzy kroki do tyłu i zniknął w migoczącym powietrzu. Melnibonéanin poszedł w jego ślady.

Ponownie ich astralne ciała przebywały miriady wymiarów nadwszechświata, doświadczały wrażeń nie znanych umysłom ludzkim, gdy bez żadnego ostrzeżenia Elryk poczuł nagle ciężar swego ciała i otworzył oczy. Zobaczył, że leży w łóżku w wieży D'a'rputna. Przez ciężkie zasłony przedostawało się nikłe światło, oparta o ścianę stała Tarcza Chaosu, jej osiem strzał pulsowało w jednym rytmie z padającymi na nią promieniami. Obok niej stał piekielny Zwiastun Burzy, gotowy do drogi do innego wymiaru.

Elryk zasnął zwykłym snem i śniły mu się ziemskie koszmary. Obudził się z krzykiem i zobaczył stojącego w komnacie Moongluma. Na jego twarzy malowała się troska.

— Co się stało, Elryku? Jakie koszmary nawiedzają twoje sny?

— Żadne — albinos wzruszył ramionami. — Zostaw mnie, Moonglum, przyjdę do was, gdy się wyśpię.

— Musi być przyczyna twoich wrzasków. Może jakieś proroctwo sny?

— Proroctwo z pewnością. Wydawało mi się, że moja własna ręka zrobiła zamach na moje życie. Jakie znaczenie ma ten sen w tym momencie? Odpowiedz na to pytanie, przyjacielu, a jeżeli nie umiesz, to zostaw mnie teraz samego, aż ponure myśli same mnie opuszczą.

— Dalej, podnoś się, Elryku. Znajdź zapomnienie w działaniu. Mija już czternasty dzień i Dyvim Slorm oczekuje twojej dobrej rady.

Albinos usiadł na łóżku i spuścił drżące nogi na ziemię. Czuł się osłabiony, wyzuty z wszelkiej energii. Moonglum pomógł mu powstać.

— Odrzuć ponury nastrój i pomóż nam w naszych kłopotach — powiedział z udawaną beztroską.

— Racja — Elryk przeciągnął się. — Podaj mi mój miecz. Potrzebuję jego energii.

Niechętnie Moonglum podszedł do ściany i z wyraźnym wysiłkiem podniósł ciężki oręż. Wstrząsnął nim dreszcz, gdy poczuł, że ostrze poruszyło się w pochwie i cicho zachichotało. Podał je wdzięcznemu Elrykowi, który chciał wyjąć broń, lecz w porę się opamiętał.

— Lepiej wyjdź z pokoju, zanim go wyjmę.

Moonglum zrozumiał i od razu wyszedł. Nie chciał narażać życia.

Po wyjściu Rudowłosego Elryk wydobył z pochwy Czarny Miecz i od razu poczuł delikatne pulsowanie, gdy do jego ciała napłynęła świeża energia. Było jej jednak mało, zbyt mało i wiedział, że jeżeli Zwiastun Burzy nie posili się wkrótce duszami wrogów, wymorduje jego przyjaciół. Albinos schował miecz do pochwy i przypiawszy do pasa, opuścił komnatę.

Bez słów Elryk i Moonglum podążali po kręconych marmurowych schodach w głąb wieży, aż w końcu dotarli na sam dół do głównej komnaty. Tu siedział Dyvim Slorm. Na stole przed nim stała butelka starego melnibonéańskiego wina, a w rękach trzymał pokaźnych rozmiarów czarę. Jego miecz, Żałobne Ostrze, leżał na stole obok butelki. Odnaleźli wcześniej zapas wina w sekretnej piwnicy, której nie zauważyli piraci w czasie, gdy Elryk płądrował Imrryr. Podczas tej bitwy albinos i jego kuzyn walczyli po przeciwnych stronach. W czarze znajdowała się gęsta mikstura, w skład której wchodziły różne zioła, miód i jęczmień. Służyła ona praojcom Melnibonéan za specyfik podtrzymujący witalność w ciężkich chwilach. Dyvim Slorm medytował właśnie nad czarą, gdy nadeszli dwaj przyjaciele. Podniósł głowę i uśmiechnął się do nich. Usadowili się po drugiej stronie

stołu.

— Obawiam się, Elryku — powiedział zrezygnowanym głosem — że zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, żeby je obudzić. Wyczerpałem wszystkie sposoby, a one nadal śpią.

Albinos przypomniał sobie szczegóły sennej podróży, bojąc się, że była to tylko jego wybujała imaginacja, wizja pełna nadziei tam, gdzie w rzeczywistości jej nie było.

— Zapomnij na razie o smokach. Wczorajszej nocy opuściłem swoje ciało, tak mi się przynajmniej wydaje, i przebywałem w odległych miejscach, znajdujących się poza Ziemią. Rozmawiałem z Władcami Prawa, którzy powiedzieli mi, w jaki sposób mogę obudzić smoki. Muszę zagrać na Rogu Przeznaczenia. Mam zamiar zastosować się do ich wskazówek i odnaleźć Róg.

— Będziemy ci oczywiście towarzyszyć — powiedział Dyvim Slorm, odstawiając czarę na stół.

— Nie ma potrzeby. A poza tym to raczej niemożliwe. Muszę iść sam. Czekaćcie mojego powrotu, a jeżeli nie wrócę... Wtedy sami zadecydujecie, czy spędzicie resztę życia na wyspie, czy pójdziecie walczyć z Chaosem.

— Mam przeczucie, że czas się rzeczywiście zatrzymał i jeżeli tu zostaniemy, będziemy żyć wiecznie. Jediną walką jaką stoczymy, będzie walka z nudą — wtrącił się Moonglum. — Jeżeli nie wrócisz, ja na pewno pojedę na podbite tereny i drogo sprzedam swoje życie.

— Zrobisz, jak będziesz uważał, ale czekaj na mnie, aż wyczerpie się cała twoja cierpliwość, bo nie wiem, ile czasu zajmie mi ta podróż.

Elryk podniósł się, a dwaj przyjaciele zdumieni patrzyli na niego, jak gdyby dotąd nie rozumieli wagi jego słów.

— Niech ci się dobrze wiedzie, przyjacielu — powiedział w końcu Moonglum.

— To będzie zależało od tego, co zastanę na miejscu — uśmiechnął się albinos. — Ale i tak dziękuję. Warn również życzę szczęścia, nie zamartwiajcie się. Może jeszcze poderwiemy smoki do lotu.

— Racja — przytaknął Dyvim Slorm z nagłym przyływem energii. Na pewno je poderwiemy! A ich ognisty jad rozleje się po szlamie, który przyniósł ze sobą Chaos i wypali go do czysta! Ten dzień musi nadejść, albo ja nie jestem Dyvim Slorm!

Zarażony tym nagłym entuzjazmem, Elryk poczuł się pewniejszy siebie i pożegnawszy przyjaciół, poszedł po Tarczę Chaosu. Potem udał się do Wieży B'all'nezbett, brnąc wśród ruin — świadków jego straszliwej zemsty sprzed lat.

Rozdział 3

Gdy stanął przed Wieżą, w jego głowie kłębiły się niespokojne myśli. Nerwy dawały mu się we znaki. Chciał zawrócić z drogi, zostać z przyjaciółmi. Zmagał się z tym uczuciem i w końcu je przewyciężył. Przypominał sobie wszystko, co usłyszał od Władców Prawa i trzymając się tego kurczowo przekroczył próg Wieży. W środku panował półmrok i cuchnęło spalenizną.

Wieża była stosem pogrzebowym jego zamordowanej miłości, Cymoril, i jej brata, Yyrkoona. Elryk rozejrzał się dookoła. We wnętrzu wieży ostały się jedynie kamienne schody. Przefiltrowane przez szpary w murze światło ukazało mu, że schody również uległy zniszczeniu i nie dochodzą już do samego dachu.

Albinos odrzucił wszystkie czarne myśli, które nie mogły mu pomóc i zaczął się ostrożnie wspinać. Gdy stanął na pierwszym stopniu, usłyszał cichutki dźwięk nieokreślonego pochodzenia. Możliwe nawet, że dźwięk omijał uszy i wibrował bezpośrednio w umyśle. Po chwili uświadomił sobie, że przypomina to odległą orkiestrę, strojącą instrumenty. W miarę wspinania, dźwięk narastał, rytmiczny, lecz wciąż bez żadnej harmonii. Gdy szczęśliwie dotarł do ostatniego stopnia, w jego umyśle rozlegał się już potężny grzmot, przyprawiający o ból głowy.

Spojrzał w dół i poraził go strach. Zastanawiał się, co miał na myśli Donblas, mówiąc o najwyższym punkcie wieży. Czy taki, do którego łatwo jest dotrzeć schodami, czy faktycznie najwyższy, do którego brakowało mu jeszcze około dwadziestu stóp? Zdecydował, że lepiej interpretować słowa Donblasa dosłownie i zarzucił Tarczę na plecy. Złapał za występ muru nad głową i podciągnął się do góry, stopami próbując znaleźć jakieś oparcie. Zawsze miał problemy z wysokością. Dobrze znał to niepokojące uczucie, którego doznawał spoglądając osiemdziesiąt stóp w dół. Szybko odwrócił głowę i wykorzystując szczeliny powstałe w ścianie, zaczął piąć się do góry. Oczekiwał, że za moment spadnie, lecz szczęście wciąż go nie opuszczało i po chwili dotarł pod dach. Przez otwór wydostał się na pochyłą platformę i cal po calu doczołgał się do najwyższego punktu wieży. Wykorzystując dobrą passę i obawiając się, że strach może go za chwilę sparaliżować, wstał i postąpił krok na zewnątrz, poza obręb dachu, ponad ulice miasta Imrryr.

Dziwaczna muzyka ucichła, zastąpił ją potworny ryk. W kierunku Elryka pomknęły fale czerwieni i czerni, a gdy się przez nie przedarł, zobaczył, że stoi na ziemi. Nad nim świeciło blade słońce, w powietrzu unosił się silny zapach trawy. Przypomniawszy sobie, że świat należący do jego przodków, który widział we śnie, był bardziej kolorowy niż jego własny, rzeczywisty. Ten natomiast był prawie jednobarwny, lecz zarysy przedmiotów były wyraźniejsze, ostrzejsze. Również wiatr, wiejący mu w twarz, był chłodniejszy i świeży. Ruszył przed siebie w kierunku gęstego lasu. Gdy zbliżył się do granicy drzew, poszedł wzdłuż nich i dotarł do strumienia, który wypływał z lasu i oddalał się od niego.

Zauważył ze zdziwieniem, że przejrzysta woda nie poruszała się. Była zamrożona, lecz nie mógł się zorientować w jaki sposób. Miała wszystkie właściwości letniego strumienia, lecz nie płynęła. To dziwne zjawisko kontrastowało z całym otoczeniem, nałożył więc Tarczę na rękę i wyciągnąwszy Zwiastuna Burzy podążył wzdłuż rzeczki.

Zieloną trawę wyparły w niedługim czasie porzucane skały i kamienie, między którymi rosły cierniste jałowce. Od czasu do czasu pojawiały się zarośla paproci. Wydawało mu się, że z przodu doleciał plusk wody, lecz i tutaj strumień był zamrożony. Gdy mijał skałę większą od pozostałych, usłyszał dochodzące z góry wołanie:

— Elryku!

Podniósł głowę.

Na skałę stał młody karzeł. Miał brodę sięgającą mu do pasa i oczy jak dwa kwarcyty o nieugiętym spojrzeniu, radośnie wyzierające spod zielonej czapy. Ubrany w brązową kurtę i bryczesy — nie miał butów. W rękę ścisnął włócznię, jedyną swoją broń.

— Rzeczywiście tak się nazywam — powiedział Elryk z nutką ironii w głosie. — Ale skąd mnie znasz?

— Nie pochodzę z tego świata, przynajmniej nie całkowicie. Nie istnieje w czasie takim, jakim ty go pojmujesz, lecz poruszam się w światocieniach, które tworzą Bogowie. Taką mam naturę. W zamian za to, że Bogowie pozwalają mi istnieć, czasami służę im za posłańca. Nazywam się Jermays Skrzywiony — karzeł zlął ze skały i stanął obok albinosa.

— Po co tu jesteś? — zapytał Elryk.

— Zdaje mi się, że poszukujesz Rogu Przeznaczenia.

— Prawda. Czy wiesz, gdzie on jest?

— Tak — karzeł uśmiechnął się sardonicznie. — Jest zakopany z żywym trupem bohatera z tego świata. Z wojownikiem, którego zwał Roland. Możliwe, że jest to następne wcielenie wiecznego wybrańca.

— Dziwaczne imię.

— Nie bardziej niż twoje dla ich uszu. Chociaż życie Rolanda nie było przepełnione tyłoma nieszczęściami, jest on twoim odpowiednikiem w tym wymiarze.

Śmierć zastała go w dolinie niedaleko stad. Został zdradzony przez przyjaciela i wpadł w zasadzkę. Róg miał ze sobą i przed śmiercią zdążył zadać jeden raz. Legendy mówią, że pomimo, iż Roland zginął wiele lat temu, echo Rogu będzie rozbrzmiewać w tej dolinie przez wieczność. Cel, jakiemu ma służyć Róg, jest w tym świecie nieznanym. Roland również go nie znał. Olifant, jak go tu zważ, i magiczny miecz, Durandal, zostały zakopane pod ogromnym kopcem, który tam widzisz.

Karzeł wskazał ręką w kierunku grobowca, który Elryk wcześniej wziął za pagórek.

— Co muszę zrobić, żeby dostać Róg? — zapytał.

Jermays Skrzywiony wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu.

— Musisz zmierzyć się z Rolandem i jego mieczem. Był on poświęcony przez Siły Dobra, a Zwiastuna Burzy wykuły Siły Ciemności. Zapowiada się interesująca walka.

— Powiedzieliście, że Roland jest martwy, jak więc może ze mną walczyć?

— Róg wisi na jego szyi. Jeżeli spróbujesz mu go odebrać, będzie bronił swojej własności. Obudzi się z nieśmiertelnego snu, jakim śpi większość tutejszych bohaterów.

— Wygląda na to, że ten świat nie cierpi na nadmiar bohaterów — uśmiechnął się Elryk — skoro Bogowie muszą ich konserwować w taki sposób.

— Możliwe — odpowiedział karzeł ostrożnie. — W tej dolinie spoczywa ich chyba tuzin. Mają się obudzić w godzinie wielkiej potrzeby, ale chociaż już nieraz taka godzina biła, oni wciąż śpią. Może oczekują końca świata, który nastąpi, gdy Bogowie uznają ten wymiar za niepotrzebny i postanowią go zniszczyć. W takim wypadku herosi się zbudzą i spróbują temu zapobiec. Jest to jedynie moje nic nie znaczące przypuszczenie. Być może legendy rodzi niewiedza. Cóż wiemy o Panu Wieczności?

Karzeł skłonił się błazeńsko i unosząc włócznię, pożegnał Elryka.

— Żegnaj Elryku z Melniboné. Kiedy będziesz chciał wrócić, będę tu na ciebie czekał. A wrócić musisz, żywy lub martwy. Myślę, że zdajesz sobie sprawę, że twoja fizyczna obecność w tym świecie przeczy całemu otoczeniu. Tylko jedna rzecz tu pasuje. . .

— Co takiego?

— Twój miecz.

— Mój miecz! Dziwne, wydawałoby się, że on pasuje tu najmniej. — Potrząsnął głową, odrzucając absurdalne stwierdzenie karła. Nie miał czasu na płonne dyskusje. — Mnie też się tu nie podoba — skomentował, gdy tymczasem Jermays Skrzywiony wdrapywał się na skałę. Spojrzał w kierunku kopca i ruszył przed siebie. Obok zaszemrał strumień, tym razem z naturalnie płynącą wodą. Miał wrażenie, że mimo dominacji Prawa w tym świecie, musiało ono i tu przeciwstawić się niszczącym wpływom Chaosu.

Ogromny grobowiec był ogrodzony wielkimi, nie ociosanymi głazami. Za nimi rosły drzewa oliwkowe, na których wisały klejnoty o przyblakłych kolorach. Liście drzew stanowiły naturalną ochronę dla wielkich, przyozdobionych złotem mosiężnych wrót.

— Chociaż jesteś potężny, Zwiastunie Burzy — powiedział do miecza, wyciągając go z pochwy — nie wiem czy będziesz na tyle silny, żeby walczyć tu i dostarczać mi energii. Trzeba to sprawdzić.

Podszedł do bramy i zamachnął się z całej siły. Zadźwięczał metal, ale na wrotach pojawiła się jedynie szczyrba. Wziąwszy miecz w obie ręce, uderzył jeszcze raz. Nagle z tyłu doleciało go wołanie.

— Co za demon narusza spokój Rolanda?

— Kto przemawia mową Melnibonéan? — śmiało odrzekł Elryk.

— Mówię językiem demonów, bo widzę, że ty jesteś jednym z nich. Nie znam żadnego Melnibonéanina, pomimo że jestem dobrze obeznana z legendami.

— Dumne przechwałki jak na kobietę — powiedział albinos, chociaż nie widział jeszcze swego rozmówcy. Zza kopca wyszła dziewczyna. Patrzyła na niego błyszczącymi zielenią oczami, spod kruczoczarnych włosów. Miała pociągłą, piękną twarz, prawie tak białą jak jego. — Jak cię zwa? — zapytał. — Czy pochodzisz z tego świata?

— Zwa mnie Vivian, jestem czarodziejką, jak najbardziej z tej ziemi. Twój Pan zna imię Vivian, która kiedyś kochała Rolanda, chociaż bez wzajemności, ponieważ Vivian jest nieśmiertelną wiedźmą — zachichotała sama do siebie. — Tak więc, znane mi są demony twojego pokroju i nie obawiam się ciebie. A kysz, maro nieczysta! A kysz, bo wezwę biskupa Turpina, żeby cię wypędził.

— Niektóre z twoich słów są mi nieznane — powiedział Elryk uprzejmie. — A moja mowa w twoich ustach brzmi dziwnie. Czy jesteś strażnikiem tego grobowca?

— Samozwańczym, tak. Teraz odejdz! — wskazała ręką kamienne ogrodzenie.

— To nie jest możliwe. Ciało zamknięte w środku posiada coś, co ma dla mnie ogromną wartość. Nazywamy to Rogiem Przeznaczenia, ale wy znacie to pod inną nazwą.

— Olifant! Ale to jest przecież święty instrument. Żaden demon nie śmie go dotknąć. Nawet ja. . .

— Nie jestem demonem. Jestem bardzo ludzki, przysięgam. Teraz odsuń się, proszę. Te przekłete wrota stawiają zbyt duży opór.

— Tak — powiedziała z zadumą. — Mógłbyś być człowiekiem, chociaż to mało prawdopodobne. Twoja biała twarz i włosy, czerwone oczy, język, którym przemawiasz. . .

— Czarnoksiężnikiem jestem, ale nie demonem. Odsuń się, proszę.

Popatrzyła uważnie na niego i jej spojrzenie zaniepokoiło Elryka. Położył rękę na jej ramieniu. Poczuł, że Vivian była prawdziwa, jednak była to tylko fizyczna obecność. Patrzyli na siebie w zaciekawieniu i niepokoju.

— Jaką wiedzę posiadasz o moim języku? — wyszeptał. — Czy ten świat jest moim, czy Bogów snem? Wydaje się wielce nierzeczywisty. Dlaczego?

— Tak o nas mówisz? A twój upiorny wygląd? Wyglądasz jak zjawą z zamierzchłej przeszłości!

— Z przeszłości! Aha, znaczy ty jesteś z przyszłości, która nie została jeszcze w pełni wymodelowana. Może powinniśmy wyciągnąć z tego wnioski?

Vivian zmieniła nagle temat i powiedziała:

— Nieznajomy, nigdy nie uda ci się rozbić tych wrót. Jeżeli jednak możesz dotknąć Olifanta, znaczy, że pomimo twego wyglądu jesteś człowiekiem. Potrzebujesz Rogu dla wypełnienia ważnego zadania.

— Dokładnie tak — uśmiechnął się Elryk. — Jeżeli nie uda mi się powrócić z Rogiem tam, skąd przybyłem, wy nigdy nie będziecie istnieć!

— Zagadki! Zagadki! — mruknęła dziewczyna z wyrazem dezaprobaty. — Czuję, że jestem blisko ich rozwiązania, lecz wciąż jeszcze parę kroków z tyłu. To niepodobne do Vivian. Masz — wyjęła wielki klucz z kieszeni sukni i podała albinosowi. — To jest klucz otwierający wrota do trumny Rolanda. Jedyne rozwiązanie. Musiałam zabić, żeby go dostać. Często wchodzę do środka i tęskno spoglądam na twarz ukochanego, marząc o tym, że kiedyś go obudzę i utrzymam na zawsze przy życiu na mojej rodzinnej wyspie. Weź Róg! Zbudź Rolanda, a gdy się z tobą upora, przyjdzie do mnie po wieczne życie, zamiast wracać do tego zimnego miejsca. Dalej, daj się zabić Rolandowi!

Elryk wziął klucz.

— Dzięki, Vivian. Jeżeli byłoby możliwe przekonać kogoś, kto w rzeczywistości jeszcze nie istnieje, rzekłbym, że gdyby Rolandowi udało się mnie zabić, byłoby o wiele gorzej dla was, niż gdyby mi się powiodło.

Włożył klucz do zamka i przekręcił z łatwością. Wrota otwarły się na oścież, odsłaniając długi, wijący się korytarz o niskim sklepieniu. Bez wahania wszedł do środka i podążył w kierunku światła, migoczącego w przejmującej chłodem ciemności. Podczas krótkiego marszu wydawało mu się, że szybuje wśród mgły, jeszcze mniej realnej niż ta, przez którą przedzierał się poprzedniej nocy. W końcu dotarł do komnaty pogrzebowej, oświetlonej świecami, otaczającymi katafalk. Spoczywał tam człowiek. Był zakuty w zbroję nie znanych Elrykowi kształtów, obok leżał miecz, dorównujący rozmiarem Zwiastunowi Burzy. Na szyi, na srebrnym łańcuszku wisiał Olifant, Róg Przeznaczenia!

Twą twarz trupa w blasku świec wyglądała niezwykle. Była stara i młoda zarazem, o skórze gładkiej, bez zmarszczek.

Elryk przełożył miecz do lewej ręki i sięgnął po Róg. Nie wysilał się nawet na ostrożność, zerwał go jednym szarpnięciem.

Z gardła trupa wyrwał się potężny ryk. Martwy bohater podniósł się od razu i usiadł, spuściwszy nogi z mar. W rękach dzierżył miecz. Oczy mu się rozszerzyły, gdy spostrzegł albinosa z Rogiem w ręku. Rzucił się na Elryka, mierząc Durendalem w głowę intruza. Albinos osłonił się Tarczą i schowawszy Róg za kurtę, wziął Zwiastuna Burzy w prawą rękę. Roland wykrzykiwał coś w nieznanym języku, którego Melnibonéanin nawet nie próbował zrozumieć. Złość emanująca z tonu i barwy głosu sugerowała, że zmartwychwstały rycerz nie zamierza z nim pertraktować. Osłaniając się Tarczą, Elryk zaczął wycofywać się ku wyjściu. Za każdym razem, gdy miecz herosa uderzał w Tarczę Chaosu, dawał się słyszeć metaliczny, głośny szczęk. Roland bezustannie napierał na intruza, waląc w Tarczę z niesłychaną siłą. Wtem wypadli na światło dzienne. Herosa na moment oślepiło słońce. Elryk zauważył kątem oka obserwującą ich wzruszoną Vivian, zdawało się jej, że bohater bierze górę nad czarnoksiężnikiem.

Gdy wydostali się na zewnątrz, Elryk nie mógł więcej unikać rozeźlonego rycerza, więc zaatakował go z całej siły, jaką zachował na tę chwilę. Z wysoko uniesioną tarczą i świszczącym mieczem, albinos rzucił się na bohatera. Nieprzyzwyczajony do takiego oporu ze strony przeciwnika, Roland był szczerze zaskoczony. Zwiastun Burzy warczał, gdy wgryzał się w źle wykutą żelazną zbroję rycerza z matowoczerwonym krzyżem wymalowanym na piersi. Był on marnym symbolem dla tak sławnego bohatera. Jedno nie ulegało wątpliwości: niezwykła siła Durendala. Bo chociaż równie niedbale wykuty jak zbroja, nie szczerbił się i za każdym uderzeniem zostawiał ślad na Tarczy Chaosu. Lewa ręka Melnibonéanina była obolała od parowania potężnych uderzeń, prawa — od zadawania ciosów. Donblas nie przesadził, mówiąc, że siła jego broni będzie o wiele mniejsza w tym świecie.

Roland przestał walczyć na chwilę i zaczął coś wykrzykiwać, ale Elryk niewiele sobie z tego robił. Korzystając z nieuwagi herosa napał na przeciwnika swoją Tarczą. Rycerz zatoczył się i zachwiał. Durendal wydał z siebie płaczliwy dźwięk. Elryk uderzył w prześwit, który utworzył się między hełmem a naszyjnikiem. Głowa odskoczyła z ramion i potoczyła się po ziemi. Nie poląła się ani kropla krwi. Oczy były wciąż otwarte i wpatrywały się w swego zabójcę.

Vivian wrzasnęła i krzyczała coś przeraźliwie w języku, jakiego używał Roland. Elryk odsunął się z ponurą twarzą.

— Och, legenda, legenda nie żyje — krzyczała dziewczyna. — Jedyna nadzieja ludzi, że pewnego dnia Rolad pocwałuje im z odsieczą, zginęła na zawsze. Ty ją zniszczyłeś! Diable!

— Opętany może i jestem — powiedział cicho — ale działam z rozkazu Bogów. Muszę już opuścić wasz szary świat.

— Czy nie masz wyrzutów sumienia?

— Żadnych, pani. Ponieważ jest to jeden z wielu czynów jakie popełniłem w imię wyższego celu. A że czasami wątpię w sens tego wszystkiego, to nie po-

winno cię interesować. Wiedz jedno: tacy jak Roland i ja nigdy nie giną i zawsze się odradzają. Żegnaj — powiedział i odszedł z Rogiem Przeznaczenia. Przez oliwkowy gaj, minawszy kamienne ogrodzenie, wyszedł poza obręb grobowca.

Podążał wzdłuż rzeki, aż do miejsca, w którym na wysokim kamieniu siedziała skulona postać. Doszedłszy do skały, Elryk popatrzył na karła i pokazał mu Róg.

— Więc Roland nie żyje — zachichotał Jennays — a ty zostawiłeś kawałek legendy w tym świecie, o ile on w ogóle będzie jeszcze istniał. Zaprowadzić cię teraz do twojego świata?

— Tak i pospiesz się.

Karzeł zeskoczył z kamienia i spojrzał uważnie na albinosa.

— Hmm — zastanowił się. — Ten Róg może nam sprawić kłopoty, lepiej będzie, gdy wsadzisz go pod kurtę i osłonisz Tarczą.

Elryk zastosował się do zalecenia przewodnika i znaną już drogą podążył za nim wzdłuż biegu strumienia. I znów woda zdawała się płynąć, lecz nie płynęła. Jermays wskoczył do wody, i co zdumiało Elryka, zaczął się zanurzać.

— Szybko, za mną!

Przez moment Melnibonéanin stał na zamrożonej wodzie i nagle on również zatonął. Chociaż strumień był płytki, oni zagłębiali się tak długo, aż całe podobieństwo do wody zniknęło. Szli teraz przez ciepłą i pachnącą ciemność. Jermays pociągnął go za rękaw.

— Tędy! — powiedział i obaj skręcili w prawo pod kątem prostym. Karzeł prowadził go to w górę, to dół, to w lewo, to w prawo, poprzez, widzialny tylko dla niego, labirynt. Elrykowi wydawało się, że Róg próbuje się wydostać spod kurty, więc przycisnął go mocniej Tarczą. Wtem oślepiło go światło. Po chwili dopiero zorientował się, że stoi na szczycie Wieży B'all'nezbett pod błękitnym niebem, w promieniach czerwonego słońca. Jeszcze przez moment Róg drżał, jak pojmany ptak, lecz wkrótce się uspokoił.

Melnibonéanin zsunął się po pochyłej platformie i doczołgał do otworu, przez który się tu dostał.

Nagle nad jego głową odezwał się znajomy głos. Spojrzał w górę i zobaczył unoszącego się w powietrzu i szczerzącego zęby karła.

— Muszę już iść, ponieważ ten świat ani trochę mi się nie podoba — Jermays zachichotał. — Było miło wziąć w tym udział. Do widzenia, Wybrańcu. Przypomnij o mnie, o niedokończonym karle, Bogom z Wysokich Światów. Może mógłbyś napomknąć im, że im wcześniej poprawią sobie pamięć lub możliwości tworzenia, tym prędzej będę szczęśliwy.

— Wydaje mi się, że powinieneś być zadowolony z tego, co masz, Jermays. Równowaga też ma swoje ujemne strony — odpowiedział albinos.

Karzeł wzruszył ramionami i zniknął.

Znużony Elryk powoli opuszczał się po nierównej ścianie. Z wielką ulgą stanął na najwyższym stopniu i prędko zszedł na dół. Chciał jak najszybciej podzielić się nowinami ze swymi przyjaciółmi.

Rozdział 4

Trzej zamyśleni wojownicy wyszli z miasta i skierowali się ku Smoczym Jaskiniom. Róg Przeznaczenia wisiał na srebrnym łańcuszku na szyi Elryka. Melnibonéanin był odziany w czarną skórę. Głowę miał nieosłoniętą, tylko złota opaska przytrzymywała włosy. Ze Zwiastunem Burzy przy pasie i Tarczą Chaosu na plecach wiódł swoich towarzyszy w dół do grot, do śpiącego Płomiennego Kła, smoczego przywódcy.

Elryk miał wrażenie, że pojemność jego płuc jest za mała dla takiego instrumentu. Stał na szeroko rozstawionych nogach, spojrzał na towarzyszy i zadał w róg z całej siły.

Wydobyty dźwięk był niski, donośny i odbijał się echem od ścian jaskini. Melnibonéanin poczuł, że ulatuje z niego cała energia życiowa. Coraz słabszy opadł na kolana. Róg wciąż trzymał przy ustach, chociaż dźwięk się załamywał. Jeszcze chwila i przed oczami zawirowały mu obrazy, ręce zaczęły drżeć i zwałił się twarzą na ziemię. Instrument zadźwięczał smutno na posadzce.

Moonglum rzucił się do Elryka i gdy zamierzał się schylić, stanął oniemiały. Prosto na niego patrzyło zimne jak lód oko Płomiennego Kła. Usłyszał radosny okrzyk Dyvim Slorma:

— Płomienny Kle! Bracie Płomienny Kle, obudziłeś się nareszcie!

Wszędzie dookoła Rudowłosego budziły się smoki, podnosiły się, rozprostowywały skrzydła i przeciągały szyje. Moongluma przytłoczyła ich wielkość. Zaniepokoiło go pytanie, jak te bestie zareagują na obecność kogoś, kto nie jest władcą Smoków. Lecz przypomniał sobie o leżącym przyjacielu i ukłękął obok niego. Dotknął jego ramienia i odezwał się:

— Elryku! Czy ty żyjesz?

Albinos wymamrotał coś pod nosem i spróbował przekręcić się na plecy. Moonglum pomógł mu usiąść.

— Jestem osłabiony. Tak słaby, że nie mam siły się podnieść. Róg zabrał całą moją energię!

— Wyciągnij Zwiastuna Burzy, on ci da nową siłę.

— Posłucham twojej rady — pokręcił głową Elryk — chociaż wątpię, czy

masz tym razem rację. Ten bohater, którego zabiłem, musiał nie mieć duszy, albo była ona niedostępna, bo nie zyskałem żadnej energii.

Jego ręka bezwiednie podażyła jednak do rękojeści Czarnego Miecza. Wyciągnął go z wielkim wysiłkiem i poczuł, jak do jego ciała wsączyła się znikoma ilość energii, nie pozwalająca na żaden większy wysiłek. Podniósł się na nogi i zataczając się podszedł do Płomiennego Kła. Bestia rozpoznała go i zaszeleściła skrzydłami na znak powitania. W jej oczach pojawił się przebłysk ciepła. Gdy albinos chciał obejść smoka, żeby pogłodzić jego szyję, potknął się i upadł. Wstawanie na nogi było niewiarygodną męką.

W czasach Imperium Melnibonéanie rozporządzali niewolnikami, którzy siodłali smoki, lecz teraz trzech przyjaciele byli zmuszeni zrobić to sami. Poszli do siodła i wybrali odpowiednie siodła, ponieważ każdy smok miał swoją własną, dopasowaną kulbakę. Elryk, zbyt słaby, żeby unieść wykwintnie zdobione, zrobione z drewna i stali, inkrustowane drogocennymi kamieniami i metalami siodło Płomiennego Kła, ciągnął je po prostu za sobą po ziemi. Szanując dumę przyjaciela, Dyvim Slorm i Rudowłosy udawali całkowicie pochłoniętych siodłaniem swoich bestii. Smoki zrozumiały najwidoczniej, że Moonglum to przyjaciel, ponieważ nie sprzeciwiały się, gdy ostrożnie podszedł do wyznaczonego wierzchołka i zaczął zakładać wysokie, drewniane siodło. Po obu bokach kulbaki wisiały srebrne strzemiona, z jednej strony lśniła lanca, na której końcu powiewał proporzec z herbem szlachetnej melnibonéańskiej rodziny.

Gdy Rudowłosy i Dyvim Slorm uporali się ze swymi siodłami, zdecydowali się pomóc Elrykowi. Zobaczyli go, opartego plecami o ciało smoka i dyszącego z wysiłkiem. Gdy zapięli popręg, kuzyn zapytał albinosa:

— Czy starczy ci sił, żeby nas poprowadzić?

— Myślę, że tak — odpowiedział Elryk z westchnieniem. — Nie starczy mi ich natomiast na nadchodzącą walkę. Musi być jakiś sposób, żebym trochę się wzmocnił.

— A te zioła, których kiedyś używałeś?

— Te które miałem, straciły już swoje właściwości, a świeżych teraz nigdzie nie znajdziesz, nie na Ziemi, opanowanej przez Chaos.

Zostawiwszy Moongluma samego z siodłem Elryka, Dyvim Slorm poszedł do miasta i powrócił z czarką wzmacniającego napoju. Albinos wypił miksturę i wdrapał się na siodło.

— Przynieście rzemienie — zarządził.

— Rzemienie? — zdziwił się kuzyn.

— Tak. Jeżeli nie będę przywiązany do siodła, to spadnę, zanim ulecimy jedną milę.

Dwaj przyjaciele przywiązali Melnibonéanina do siodła. Elryk uśmiechnął się do smoka.

— Naprzód, Płomienny Kle, prowadź swoich braci i siostry — krzyknął z wysokiego siodła, dzierżąc w ręce mieniącą się błękitem, zielenią i srebrem chorągiew.

Ze złożonymi skrzydłami i opuszczoną głową Płomienny Kieł ruszył w kierunku wyjścia. Za nim jechali Moonglum i Dyvim Slorm na równie wielkich smokach. Ich myśli były pełne troski o bezpieczeństwo Elryka. Reszta bestii poszła w ślad za smoczym przywódcą. Ociężałym krokiem jaszczury wydostały się na zewnątrz i zatrzymały się na skalnym urwisku ponad wzburzoną morzem. Czerwone słońce wciąż stało w tym samym miejscu. Wydawało się, że pulsuje w jednym rytmie z morskimi falami. Wydając z siebie na wpół syk, na wpół okrzyk, Elryk uderzył lanca po szyi smoka.

— W górę, Płomienny Kle! W górę za Melniboné, ku spełnieniu zemsty!

Smok, jakby czując zmianę i nienormalny stan świata, zawahał się, pokręcił głową i parsknął. Potem wyskoczył w górę i rozłożywszy ogromne skrzydła wznosił się w powietrze. Wydawało się, że jego ruchy są bardzo powolne, ale w rzeczywistości smok leciał z niesamowitą prędkością.

W górę, w górę do gorejącego słońca, w górę przez gorące, niespokojne powietrze, w górę na Wschód, gdzie oczekuje obóz Chaosu. Tuż za Płomiennym Kiełem leciały dwa smoki niosące Rudowłosego i Dyvima Slorma, który miał własny, zawieszony na szyi róg, służący do kierowania smokami. Za przywódcami dziewięćdziesiąt pięć smoków jak chmura przesłoniło niebo. Samice i samce, zielone, czerwone i złote. Ich łuski błyszczały w promieniach słońca, skrzydła uderzały z ogromną mocą. Jaszczury leciały z rozwartymi paszczami i bacznie rozglądały się zimnymi oczami ponad nieczystym oceanem.

Elryk obserwował wodę, nad którą przelatywali. Widział wiele intensywnych kolorów, wszystkie ciemne i ciągle ulegające zmianom od jednego krańca spektrum do drugiego. To już nie była woda tam w dole, lecz ciecz składająca się z wymieszanych naturalnych i nadprzyrodzonych składników, rzeczywistych i nierealnych zarazem. Ból, tęsknota, smutek i śmiech jawiły się jako widzialne elementy fal. Albinos dojrzał tam również namiętności i frustracje, a od czasu do czasu na powierzchni wody materializowały się kawałki żywego ciała.

Widok cieczy przyprawił Elryka o mdłości, więc skierował wzrok na Wschód, tam, dokąd podążali.

Wkrótce znaleźli się nad tym, co kiedyś stanowiło główną część Wschodniego Kontynentu — wielki Półwysep Vilmirski. Teraz ziemia straciła wszystkie swoje właściwości i były z niej w niebo słupy czarnego dymu. Omijali je starannie. Na odległym gruncie wrzała lava. Na powierzchni i ponad nią przemykały odrażające kształty. Były to potworne bestie i hordy niesamowitych jeźdźców na szkieletach koni. Gdy postacie zauważały smoki, ogarniał je paniczny strach i czym prędzej umykały do swych obozów.

Świat przypominał trupa, któremu darowano życie, by robactwo miało na

czym żerować.

Po ludzkości nic nie zostało, prócz trzech jeźdźców na smokach.

Elryk wiedział, że Jagreen Lern i jego ludzcy sojusznicy dawno porzucili wszelkie atrybuty człowieczeństwa i nie przyznawali się do jakiegokolwiek podobieństwa z gatunkami, które zmiotli z powierzchni Ziemi. Przywódcy mogli zachować ludzką postać, tak jak to robili Władcy Ciemności, lecz ich dusze były odmienione. Ciała żołnierzy pod wpływem Chaosu zostały przemienione w piekielne kształty. Chaos władał całą Ziemią, a do jego serca zdążył zastęp smoków, z Płomiennym Kłem na czele i jadącym na nim Melnibonéaninem. Torturowana natura wydała z siebie bolesny wrzask. Jej podstawy zostały zburzone, jej składniki zamienione w obce formy.

Śpieszyli się w kierunku miasta, zwanego niegdyś Karlaak, a które teraz zmieniło się w obóz Zła. Wtem ponad głowami usłyszeli głośnie krakanie i zobaczyli lecące ku nim czarne kształty. Elryk nie miał nawet siły by coś krzyknąć, więc poklepał lekko po szyi Płomiennego Kłła i tym samym spowodował, że smok uniknął niebezpieczeństwa. Moonglum i Dyvim Slorm poszli za jego przykładem, a Władca Smoków zagrał na rogu, rozkazując jaszczurom, żeby wyminęły napastników. Jednak sygnał zabrzmiał za późno i niektóre jaszczury ze straży tylnej rozpoczęły walkę z czarnymi zjawami.

Melnibonéanin obejrzał się za siebie i przez kilka sekund widział odcinające się od jasnego nieba ryczące stwory o wielorybich paszczach. Smoki strzelały jadem i rozrywały napastników kłami i pazurami. Ich skrzydła biły powietrze dla utrzymania wysokości, lecz nagle następna fala ciemnozielonej mgły zasłoniła widoczność i Elryk nigdy się nie dowiedział, jaki los spotkał tuzin smoków.

Albinos zasygnalizował Płomiennemu Kłłowi, żeby przeleciał nisko nad niewielkim oddziałem jeźdźców, uciekających poprzez zamęczoną równinę. Na lancy dowódcy powiewał sztandar Chaosu z ośmioma strzałami. Smoki obniżyły lot i strzeliły jadem. Ludzie z satysfakcją obserwowali, jak wojownicy i ich bestie wrzeszcząc płonęli, zanim ogień zamienił ich w popiół, który pochłonęła ruchoma ziemia.

Tu i ówdzie wyrastały z gruntu potężne zamki, dopiero co wzniesione przez czarnoksiężnika. Może była to nagroda dla jakiegoś króla-zdrajcy, albo siedziba Dowódców Chaosu, zadomowionych na Ziemi. Przelecieli nad każdym zamkiem i jad smoków spalił je doszczętnie. Twierdze płonęły niesamowitym ogniem, a dym mieszał się z otaczającą mgłą. W końcu jeźdźcy ujrzeli obozowisko Chaosu. Było to niedawno postawione miasto, nad nim świecił bursztynowy symbol Piekła. Ostatni na Ziemi trzej ludzie dotarli do serca Chaosu. Ale Melnibonéanin nie czuł triumfu, a tylko rozpacz z powodu swej słabości i lęk, że w walce z Jagreenem Lernem poniesie klęskę. Co mógł uczynić? Jakim sposobem mógł zyskać energię życiową, potrzebną mu do ponownego zadęcia w Róg?

Nad miastem zalegała cisza. Wydawało się, że gród czegoś oczekuje. Miał

on złowieszczy wygląd i zanim Płomienny Kieł znalazł się nad zamkami, Elryk rozkazał mu skrócić i długo krążyć w powietrzu.

Dwaj pozostali jeźdźcy i reszta smoków postąpili tak samo. Dyvim Slorm krzyknął do albinosa:

— Co teraz, Elryku? Nie spodziewałem się, że w tak krótkim czasie stanie tu miasto!

— Ani ja. Ale spójrz. . . — wskazał drżącą ręką, którą ledwo mógł utrzymać wzniesioną. — Oto sztandar Jagreena Lerna, a tam. . . — wskazał na lewo i prawo — chorągwie wielu Książąt z Piekieł! Lecz nie widzę żadnych flag ludzi.

— Do nich należały zamki, które zniszczyliśmy — krzyknął Moonglum. — Podejrzewam, że Jagreen Lern podzielił już podbity ład pomiędzy swoich poddanych. Nie można osadzić, ile rzeczywiście minęło czasu od chwili, kiedy to wszystko się skończyło.

— Racja — przytaknął Elryk, przyglądając się niebu. Nachylił się do przodu i prawie mdlejąc wyprostował się. Tarcza Chaosu ciążyła mu okrutnie, lecz trzymał ją dzielnie przed sobą.

Zadziałał pod wpływem impulsu. Spiał swego smoka, który ruszył w dół w kierunku zamku Jagreena Lerna.

Nic się nie stało, gdy się znalazł nad miastem, nic nie próbowało go zatrzymać. Wylądował na placu pomiędzy wieżyczkami. Wszędzie królowała cisza. Zaskoczony rozejrzał się dookoła, lecz zobaczył tylko wyniosłe budowle z czarnego kamienia.

Rzemienie trzymały go w siodle, ale nawet nie zsiadając ze smoka zobaczył wystarczająco dużo, żeby stwierdzić, że w mieście nie było żywego ducha. Gdzie u licha podziały się hordy z Piekieł? Gdzie był Jagreen Lern?

Moonglum i Dyvim Slorm dołączyli do niego po chwili. Reszta smoków krążyła ponad ich głowami. Na kamieniach zaskrobały pazury, skrzydła zatrzepotały i jaszczury siadły obok Płomiennego Kła. Ich głowy poruszały się w lewo i w prawo. Nastroszyły łuski, przestępowały z nogi na nogę niespokojne. Raz obudzone, wołały być w powietrzu niż na ziemi.

Dyvim Slorm napatrzył się na plac i stwierdził, że warto rozejrzeć się po mieście. Latał nisko pomiędzy budynkami i wieżami, gdy nagle pozostali jeźdźcy usłyszeli jego okrzyk. W tym momencie Dyvim Slorm zniknął im z oczu. Usłyszeli czyjś wrzask, lecz nie widzieli, co go spowodowało. Nie minęła minuta, a ujrzeli wznoszącego się smoka. Przewieszona przez siodło przed Dyvimem Slormem, szamotała się i wrywała jakaś postać. Elryk i Moonglum widzieli, że choć jeniec przypominał wciąż człowieka, jego ciało ulegało znacznym zniekształceniom. Z wystającą dolną wargą, niskim czołem, bez podbródka, z ogromnymi, kwadratowymi zębami i niesamowicie owłosionymi rękoma był odrażająco brzydki.

— Gdzie są twoi panowie? — zapytał Dyvim Slorm.

Więzień bez strachu w głosie zachichotał i odpowiedział:

— Oni przewidzieli wasze przybycie i jako że miasto krepuje ruchy wojsk, zebrali swoją armię na równinie, którą stworzyli pięć mil na pomocny wschód — kreatura spojrzała na Elryka. — Jagreen Lern przesyła pozdrowienia i mówi, że przewidział twój bezsensowny powrót.

Elryk wzruszył na to ramionami.

Dyvim Slorm wyciągnął swój miecz runiczny i dźgnął więźnia. Poczwarą zarechotała przed śmiercią, ponieważ wraz ze zdrowym rozsądkiem pozbawiono go również strachu. Żałobne Ostrze przełał świeżą energię życiową w ciało swojego pana. Dyvim zaklął i spojrzał na Elryka.

— Pospieszyłem się, powinienem był tobie go zostawić.

— Kierunek pole bitwy. Szybko! — odpowiedział Elryk ledwie słyszalnym głosem.

Dołączyli do reszty latających jaszczurów i cały oddział skierował się na pomocny wschód.

Zdumienie przerosło ich oczekiwania, gdy zobaczyli zastępy Teokraty, które tak sprawnie i szybko przegrupowały się. Wydawało się, że wszystkie demony i wojownicy na Ziemi połączyli się pod jednym sztandarem Jagreena Lerna. Nad armią wisiały ciemne chmury. Nawet wywołane nadprzyrodzonym sposobem błyskawice, szalejące nad równiną, nie rozjaśniały tego mroku.

W to pełne hałasu zgromadzenie wdarł się oddział smoków. Pododdział Jagreena Lerna natychmiast zauważyli, gdyż powiewał nad nim jego sztandar. Innymi zastępami dowodzili Książęta z Piekieł: Malohin, Zhortra, Xiombarg i kilku jeszcze. Elryk zauważył również trzech najpotężniejszych Władców Chaosu, przyćmiewających całą resztę. Byli to Chardros Żniwiarz o wielkiej głowie, z wygiętą kosą w ręku, Mabelode Beztwarzy, którego oblicze zawsze pozostawało w cieniu, bez względu na to, z jakiej strony się nań patrzyło, i Slotar Stary, szczupły i piękny, uważany za jednego z najstarszych Bogów. Stanowili oni siłę, z jaką tyśiąc potężnych czarowników miałoby trudności się uporać, a sama myśl o ataku wydawała się czystym szaleństwem.

Elryk nie zaprzętał sobie głowy takimi myślami, ponieważ miał zamiar doprowadzić swoje postanowienie do końca, pomimo iż każde działanie przybliżało jego ostatnią godzinę.

Mieli przewagę atakując z powietrza. Ale będzie to przewaga dopóty, dopóki nie wyczerpie się zapas smoczego jadu. Gdy to nastąpi, będą musieli zejść niżej. Na tę chwilę Elrykowi przydałoby się dużo energii, a tej na razie nie miał wcale.

Smoki zaatakowały. Strzeliły ognistym jadem w kierunku zastępów Chaosu.

W normalnych warunkach żadna armia nie miała szans w walce z taką bronią, ale chronione przez magię Zło było w stanie skierować dużą część jadu w inną stronę. Wydzielina smoków spływała jak po jakiejś niewidzialnej kopule, tracąc

zapalne właściwości. Jednak część jadu dotarła do celu i setki wojowników stanęły w płomieniach.

Raz za razem smoki opadały nad wojsko i wznosiły się w niebo. Elryk chwiał się w siodle. Półprzytomny, z każdym następnym atakiem coraz mniej orientował się w sytuacji.

Wzrok miał zamglony, a na dodatek z ziemi unosił się gryzący dym. W rękach żołnierzy zabłyśły lance, powoli pozęgłowały w powietrze. Jak bursztynowe pioruny, włócznie Chaosu uderzyły w smoki. Ugodzone bestie z rykiem spadały na ziemię, gdzie konały w konwulsjach. Smoczy rumak Elryka zniżał się coraz bardziej nad kolumną dowodzoną przez samego Jagreena Lerna. Melnibonéanin zauważył Teokratę, który siedział na upiornym odrażającym koniu i wywijał mieczem. Na jego twarzy widniał szyderczy uśmiech. Albinos ledwie dosłyszał słowa.

— Żegnaj, Elryku, to jest nasze ostatnie spotkanie, dziś bowiem pochłonę cię Otchłań!

Melnibonéanin pochylił się do przodu i szepnął do ucha smoka:

— To ten, bracie, to ten!

Z potwornym rykiem Płomienny Kieł bluznął jadem w kierunku śmiejącego się Teokraty. Wydawało się, że Jagreen Leni powinien spłonąć na popiół. Jednak, gdy jad już prawie go dosięgał, rozprysnął się na wszystkie strony. Zaledwie kilka kropel spadło na żołnierzy, podpalając ich ubrania i ciała.

Nie przestawszy się śmiać, Jagreen Lern wypuścił w stronę Elryka bursztynową włócznie, która pojawiła się w jego ręku. Z wysiłkiem albinos wysunął Tarczę by osłonić się przed uderzeniem.

Cios był tak potężny, że Melnibonéanina odrzuciło do tyłu. Prawy ramię pękł i człowiek zawisł nagle na boku smoka. Przed upadkiem uchronił go drugi ramię. Wdrapał się z powrotem na siodło i schował za Tarczą, która odpierała zaciekle ataki nadprzyrodzonych sił. Płomienny Kieł również znajdował się pod osłoną Tarczy, lecz jak długo mogła wytrzymać nawet tak potężna ochrona?

Wydawało mu się, że atak trwał wieczność, lecz w końcu Płomienny Kieł zatrzepotał skrzydłami i wznosił ich wysoko w górę.

Elryk umierał.

Z każdą minutą opuszczały go siły życiowe, jak gdyby był starcem na łożu śmierci.

— Nie mogę umrzeć — wybełkotał. — Nie wolno mi umrzeć. Czy nie ma wyjścia z tej sytuacji?

Wydawało się, że Płomienny Kieł usłyszał słowa swego jeźdźca. Przez chwilę nic się nie działo, lecz nagle smok jak strzała pomknął ku ziemi. Zniżył się tuż nad wrogimi wojskami i wylądował na niestabilnym gruncie. Ze złożonymi skrzydłami oczekiwał na grupę żołnierzy, którzy, spostrzegłszy ich, rzucili się ku nim z rykiem.

— Co ty zrobiłeś, Płomienny Kle? Czy na niczym już nie można polegać? Oddałeś mnie w ręce wroga! — wyrzucił z siebie Elryk.

Oślonił się Tarczą przed włócznią pierwszego napastnika, który przejechał obok niego, szczerząc zęby w uśmiechu, ponieważ wyczuwał słabość Władcy Smoków. Z niesamowitym wysiłkiem Elryk wyciągnął miecz. Zrobił to w samą porę, gdyż z obu stron atakowali go już następni żołnierze. Podniósł miecz do uderzenia, lecz Zwiastun Burzy przejął od niego kontrolę i ciął jeźdźca w ramię. Melnibonéanin natychmiast poczuł się troszeczkę silniejszy i pojął, że smok i miecz porozumiały się między sobą i zrobiły to, czego potrzebował by odzyskać potrzebną energię. Jednak miecz zatrzymał dla siebie znaczną część witalności napastnika. Musiała być ku temu przyczyna i albinos poznał ją po chwili. Miecz runiczny przejął całą inicjatywę i kierował ręką swojego pana. Tym sposobem kilku następnych jeźdźców oddało dusze. Elryk uśmiechnął się, czując napływającą do jego ciała energię. Poprawił mu się wzrok i reakcje powróciły do normy. Teraz on sam prowadził atak na resztę oddziału. Gdy niedobitki zaczęły uciekać w kierunku głównych sił, Płomienny Kle wzbił się do góry. Albinos nie zwracał już na nich uwagi, gdyż posiadał energię ponad tuzina wojowników i to mu wystarczyło.

— W górę, Kle! Wznies się do góry. Poszukamy teraz potężniejszych wrogów!

Posłuszny rozkazom, smok machnął skrzydłami i wzniósłszy się w powietrze, zataczał kręgi nad wrogą armią.

Elryk wylądował w samym środku oddziału dowodzonego przez Xiombarga. Rzucił się na zastępy diabelskich wojowników. Odporny na wszelkie ataki ciął i rąbał, cokolwiek spotkał na swojej drodze. Wraz z przyływem energii rosła również zaciętość bojowa albinosa. Był jak klin, który wcinał się coraz głębiej i głębiej w nieprzyjacielskie szeregi, aż w końcu dotarł do samego dowódcy. Xiombarg przybrał na Ziemi postać szczupłej, ciemnowłosej kobiety. Elryka nie zmyliły kobiece kształty. Bez lęku skoczył w kierunku Księcia Piekieł, który dosiadał byka o głowie lwa.

Dziewczęcy głos Xiombarga słodko zabrzmiał w uszach Melnibonéanina.

— Śmiertelniku, ty sprzeciwiłeś się wielu Książętom z Piekieł, a innych na zawsze odesłałeś do Wysokich Światów. Nazywają cię tam Zabójcą Bogów. Czy mnie też zechcesz zabić?

— Xiombargu, wiesz, że nikt ze śmiertelników nie jest w stanie zabić żadnego Władcy z Wysokich Światów, bez względu na to czy należy do Prawa, czy do Chaosu. Jednak jeżeli śmiertelnik dysponuje wystarczającą siłą, może zniszczyć jego ziemską postać i tym samym wygnać go stąd!

— Czy możesz mi to zrobić?!

— Zobaczymy! — Elryk rzucił się na Władcę Ciemności. Xiombarg był uzbrojony w topór wojenny osadzony na długim trzonku. Promieniowało z niego granatowe światło. Byk o głowie lwa stanął dęba, a Księżę zamachnął się na nie-

osłoniętą głowę Elryka. Albinos osłonił się Tarczą, która wydała ostry metaliczny okrzyk i na ziemię poleciały iskry. Melnibonéanin podszedł bliżej i ciął kobiecą nogę. Z bioder jeźdźca spłynęło światło, zatrzymując Zwiastuna Burzy na miejscu. Ponowny cios toporem przyniósł takie same skutki jak poprzednio. Również razy Elryka nie dawały pożądaných rezultatów. Cały czas natomiast roznosił się słodki jak u czarownicy śmiech Xiombarga.

— Twój pozorny wygląd ludzki i piękno zaczynają zanikać, mój panie! — krzyknął Elryk, odstąpiwszy na chwilę do tyłu dla zebrania energii i dostrzegłszy pierwsze efekty cięć Czarnego Miecza.

Dziewczęca twarz rzeczywiście zaczynała tracić powabny kształt pod wpływem ataków Elryka. Książę Ciemności spiął swego rumaka i rzucił się na przeciwnika.

Albinos odskoczył na bok i uderzył w nogę dziewczyny raz jeszcze. Zwiastun Burzy zadrżał i przebił się przez osłonę Xiombarga, który zawył i uderzył Elryka toporem. Melnibonéanin ledwo zdążył się osłonić Tarczą. Demon zawrócił swego rumaka i kręcąc młynka toporem ponownie natarł na przeciwnika.

Melnibonéanin skoczył w bok i wybił broń z ręki napastnika. Pobiegł za wrogiem, który zawróciwszy wierzchowca, trzymał w swej delikatnej, dziewczęcej ręczce ogromny miecz o ostrzu trzy razy szerszym niż ostrze miecza runicznego. Jego rozmiary jasno wskazywały na moc jaką posiadał. Elryk ostrożnie postąpił parę kroków w tył. Zauważył, że noga, którą ugodził mieczem, zniknęła i została zastąpiona odnóżem jakiegoś insekta. Gdyby udało mu się zniszczyć resztę ziemskiego przebrania Xiombarga, byłoby to równoznaczne z wygnaniem go z Ziemi.

Śmiech demona ze słodkiego zamienił się teraz w nienawistny rechot, któremu wtórował ryk jego bestii. Rumak i jeździec ponownie zaatakowali. Elryk osłonił się Tarczą przed uderzeniem. Potężny cios powalił go. Pod plecami poczuł swędzenie i poruszający się grunt. Schował się cały za Tarczę i wystawił tylko rękę, trzymającą miecz runiczny. Bestia demona, chcąc stratować ukrytego za Tarczą Elryka, zbliżyła się do niego. Melnibonéanin tylko na to czekał. Wysunął się i dźgnął mieczem podbrzusze wierzchowca. Nie od razu Zwiastun Burzy dosięgnął! cielska bestii, ale po sekundzie niewidzialna ochrona pękła i miecz zaczął spijać drogocenną energię życiową. Melnibonéanin był zaskoczony niezwykłością uczucia, jakiego doznał wraz z napływem nieznaney witalności. Wytoczył się spod padającej bestii i skoczył na nogi.

Xiombarg również stał już na ziemi. Miał niewielki problem z utrzymaniem równowagi, lecz nie bacząc na to, pokuśtykał szybko w kierunku Elryka. Jego miecz poruszał się w płaszczyźnie poziomej, z lewa na prawo i z powrotem i byłby przeciął albinosa na pół, gdyby ten w porę nie uskoczył. Posiadłszy świeżą energię, Melnibonéanin zablokował drugie uderzenie. Żaden z mieczy nie ustąpił pola przeciwnikowi. Zwiastun Burzy zawył w złości, ponieważ nie przywykł do podobnego oporu. Albinos podparł swoje ostrze krawędzią Tarczy, skierowując

oba ostrza w górę. Przez moment Xiombarg był bezbronny, stojąc tak z unieruchomionym mieczem. Korzystając z okazji, Melnibonéanin wepchnął Zwiastuna Burzy głęboko w ciało Władcy Ciemności.

Demon zakwilił i jego ziemską formą zaczęła się rozpadać. Miecz runiczny wysysał z niego energię. Elryk wiedział, że była to jedynie cząstka energii Xiombarga istotna w tym wymiarze. Ogromna większość znajdowała się w Wysokich Światach, ponieważ żaden z Bogów nie mógł przybyć na Ziemię z całą swoją mocą. Gdyby albinos posiadał pełnię sił Xiombarga, jego ciało nie wytrzymałoby napływu takiej energii i zostałoby rozerwane na strzępy. Jednak z rany Zwiastun Burzy wysączył dość, by jeszcze raz Elryk z Melniboné stał się nadczołowiekiem.

Xiombarg ulegał przemianie. Był już jedynie plamą migającego, różnokolorowego światła, która rozpływała się, aż ostatecznie zniknęła. Demon wrócił do swojego wymiaru.

Elryk spojrzawszy w górę i ku swemu przerażeniu stwierdził, że w powietrzu zostało jedynie kilka smoków. Jeden z nich właśnie spadał na ziemię. Na jego grzbiecie widniała jakaś postać, ale z tej odległości nie mógł rozpoznać, kto to był.

Ruszył biegiem w kierunku miejsca upadku.

Doleciał go odgłos uderzenia, potem dziwne zawodzenie, bulgot i nastąpiła cisza.

Przedzierał się przez zastępy wojowników, z których żaden nie stanowił większej przeszkody niż drobny robak. Po chwili dotarł do martwego smoka. Po mieczu runicznym nie było śladu. Obok ogromnego cielska leżało bezwładne ciało człowieka.

Ciało Dyvima Slorma, ostatniego z krewnych Elryka.

Nie było czasu na żałobę. Melnibonéanin, Rudowłosa i garstka smoków nie mieli szans na wygraną z armią Jagreena Lerna. Ich atak ledwo zadrasnął jego potęgę. Stojąc obok ciała kuzyna, albinos przyłożył do ust Róg Przeznaczenia, wziął głęboki haust powietrza i zagrał.

Czysta, melancholijna nuta płynęła nad polem bitwy i wydawało się, że dźwięk rozchodzi się we wszystkich kierunkach kosmosu, poprzez miriady wymiarów i bytów, poprzez wieczność, aż po krańce wszechświata, aż na sam koniec Czasu.

Gasła powoli, a gdy ostatecznie skończyła, zapanowała absolutna cisza. Świat zamarł w oczekiwaniu.

Wtedy przybyli Władcy Jasności.

Rozdział 5

Przenikając granice Czasu i Przestrzeni, na czarne pole bitwy padł promień pulsującego światła, jak gdyby wysłany przez olbrzymią gwiazdę, tysiąc razy większą niż ziemskie słońce. Tą ścieżką światła, stworzoną przez niezwykłą moc Rogu, kroczyli Władcy Prawa. Nie dosiadali wierzchowców. Ich ziemską postać była tak piękna, że graniczyła z niemożliwym i Elryk tylko z trudem, mrużąc oczy, mógł znieść ten blask. Oto zjawili się olśniewający Bogowie w świetlistych zbrojach i szeleszczących oponczach, na których widniała pojedyncza Strzała Prawa.

Na przedzie z uśmiechem na ustach podążał Donblas, Twórca Sprawiedliwości. W prawej ręce dzierżył wysmukły miecz, prosty i ostry jak czysty promień światła.

Elryk pobiegł tam gdzie stał Płomienny Kieł. Dosiadł go i wznieśli się w powietrze.

Płomienny Kieł był teraz jakby ociężały. Elryk nie wiedział, czy z powodu zmęczenia, czy pod wpływem Prawa. Smok przecież był tworem Chaosu.

Wkrótce znaleźli się obok Moongluma. Rozejrzawszy się dookoła, Elryk stwierdził, że pozostałe jaszczury zawróciły i leciały na Zachód. Nad polem bitwy pozostali tylko oni dwaj na swych wierzchowcach. Reszta smoków, czując prawdopodobnie, że ich rola się już skończyła, wracała do Smoczycich Jaskiń, by dalej spać.

Elryk i Rudowłosy wymienili spojrzenia, lecz nie wypowiedzieli ani słowa, gdyż widok poniżej przepełniał serca zbyt wielkim przerażeniem, by o nim mogli mówić.

Promień, po którym przybyli Biali Władcy, zniknął, lecz z nich samych zaczęło promieniować niesamowite, białe światło. Bogowie skierowali się ku czekającym Władcom Chaosu.

Napotkane na drodze sługi Piekła i przeobrażeni ludzie uciekali w panice lub padali, gdy zostali dotknięci białym światłem, takich pozbywano się szybko i bez wysiłku, ale prawdziwa potęga Książąt z Piekła i Jagreena Lerna wciąż stała niewzruszona.

Władcy Prawa byli nie więksi niż zwykli ludzie, lecz dostojeństwem i potęgą

gą przyćmiewali wszystko. Nawet Elryk, znajdując się wysoko w górze, czuł się w ich obecności jak mała muszka.

Skrzydła Płomiennego Kłā uderzały ociężale, gdy zataczał koła nad polem bitwy. Wszędzie ciemne kolory były poprzątkane plamami o jaśniejszym i lżejszym zabarwieniu.

Władcy Prawa dotarli do miejsca, gdzie oczekiwali ich odwieczni wrogowie i Elryk usłyszał przemawiającego Donblasa.

— Wy z Chaosu sprzeciwiście się edyktowi Kosmicznej Równowagi i dążyście do całkowitej dominacji nad tą planetą. Przeznaczenie nie zgadza się na to i dlatego życie tej Ziemi musi się teraz zakończyć, aby odrodzić się w nowej formie, w której wasz wpływ będzie znikomy.

Z zastępów Zła doleciał słodki, drwiący głos Slotara Starego.

— Ośmielasz się, bracie, snuć zbyt daleko idące przypuszczenia. Los Ziemi nie został jeszcze do końca postanowiony. Nasze spotkanie, tylko ono, zadecyduje o dalszych losach planety. Jeżeli my wygramy, na Ziemi będzie władać Chaos. Jeżeli wy zwyciężycie, wtedy godne pożałowania, pozbawione naszych możliwości Prawo ustanowi tu rządy. Ale to my wygramy, pomimo oporu Przeznaczenia!

— Niech więc ta kwestia zostanie rozstrzygnięta — odpowiedział Donblas i jaśni Władcy Prawa ruszyli na mrocznych przeciwników.

Ziemia i niebo zatrzęśły się, gdy nastąpiło starcie. Powietrze rozdarł ryk, przez powierzchnię planety przeszła gwałtowna fala drżenia. Wszystkie pomniejsze stworzenia uciekały w panice, a od strony walczących Bogów rozchodził się dźwięk tysiąca harf, z których każda grała w nieco innej tonacji.

Elryk zauważył Jagreena Lenia, gdy ten opuścił swoich sojuszników i umykał cwałem w szkarłatnej zbroi. Pewnie zdał sobie sprawę, że jego czyny mogły teraz zostać nagrodzone jedynie śmiercią.

Melnibonéanin spał Płomiennego Kłā i wyciągnął Zwiastuna Burzy. Wykrzykując imię Teokraty i wyzwanie do walki, skierował smoka ku szkarłatnej postaci.

Jagreen Lern spojrział w górę, lecz tym razem się nie śmiał, pośpieszył natomiast swego wierzchowca. Elryk zorientował się dokąd zmierza jego wróg: gnał do miejsca, w którym ziemia zamieniła się w ciemnofioletowy gaz, kłębiący się w szaleńczym wirze, niczym trąba powietrzna, jakby pragnąc oderwać się od atmosfery. Teokrata zatrzymał konia i wyciągnął swój topór wojenny. Podniósł do góry ognistą magiczną tarczę.

Smok spadał w dół jak kamień. Przez sekundę Elryk miał trudności ze złapaniem oddechu. Wylądowali w odległości kilku jardów od Teokraty, który powitał ich z filozoficznym wyrazem twarzy. Czuł zapewne, że ich walka będzie odbiciem toczącej się walki Bogów i że wynik jednej bitwy odzwierciedli się w rezultacie drugiej. Jakakolwiek zresztą była przyczyna, Jagreen Lern nie przechwalał się, jak to zwykł dawniej robić, lecz czekał w ciszy.

Nie zastanawiając się, kto ma przewagę, Elryk zsiadł ze smoka i przemówił półgłosem do niego:

— Wracaj, Płomienny Kle. Wracaj do swoich braci. Cokolwiek się stanie, czy wygram, czy przegram, twoja rola już się skończyła — wielki smok poruszył się niespokojnie i spojrział w oczy jeźdźca. W tym czasie obok nich wylądował drugi gad. Moonglum zsiadł z wierzchowca i poprzez ciemnopurpurową mgłę podszedł do Elryka.

— Nie potrzebuję teraz żadnej pomocy, Moonglumie! — krzyknął Melnibonéanin.

— Nie przychodzę ci pomagać, lecz obejrzeć widowisko jakie mi zgotujesz! Albinos spojrział na Teokratę, którego twarz wciąż była bez wyrazu.

Zatrzepotały skrzydła i Płomienny Kieł wraz z drugim smokiem wzbily się w powietrze, by nigdy nie powrócić.

Z wysoko uniesioną Tarczą i z Czarnym Mieczem ponad głową Elryk z Melniboné ruszył w kierunku Jagreena Lerna. Wtem ku swemu zdumieniu zobaczył, że Teokrata zsiadł z groteskowego wierzchowca i klepnąwszy go po zadzie odesłał z pola bitwy. Stał teraz w lekkim rozkroku, masywny, mocny. Rysy pociągłej, ciemnej twarzy były napięte, wzrok jak przykuty do zbliżającego się Elryka. Usta rozchyliły się w nerwowym uśmiechu, powieki trzepotały niczym skrzydła ptaka.

Albinos zatrzymał się tuż poza zasięgiem miecza przeciwnika i przemówił:

— Jagreenie Lerne, czy jesteś gotów zapłacić za zbrodnie, które popełniłeś przeciwko mnie i światu?

— Płacić? Za zbrodnie? Zaskakujesz mnie, Elryku. Widzę, że całkowicie przejąłeś idee nowych sprzymierzeńców. W moich podbojach nieodzowne było wyeliminowanie niektórych twoich przyjaciół, gotowych mi przeszkadzać. Ale to była po prostu wojna. Zrobiłem to, co musiałem zrobić i to, co zamierzałem. Jeżeli nawet wszystko się okazało daremne, i tak niczego nie żałuję, ponieważ żal jest całkowicie bezużytecznym uczuciem, właściwym głupcom. Nie ja ponoszę winę za to, co się stało z twoją żoną, i ty wiesz o tym. Czy będziesz usatysfakcjonowany, jeżeli mnie teraz zabijesz?

Elryk potrząsnął głową i odpowiedział:

— Rzeczywiście moje poglądy uległy zmianie, lecz my z Melniboné byliśmy mściwym ludem i zemsta jest tym, czego szukam.

— Ach, teraz cię rozumiem — Jagreen Lern zmienił postawę i uniósł topór. — Jestem gotów.

Albinos rzucił się na niego. Zwiastun Burzy wył dziko, gdy trzykrotnie uderzał w przeciwnika i trzykrotnie Teokrata zdołał osłonić się tarczą. Po trzecim uderzeniu nastąpił kontratak i szczęśliwie Elryk zdołał w porę sparować cios, tak że ostrze topora ledwo drasnęło jego prawe ramię. Napał Tarczą na Jagreena Lenia i ciężarem swego ciała spróbował go przewrócić. Ciął przy tym przeciwnika ponad obiema tarczami. Trwali w tej pozycji przez parę chwil, a dookoła nich

rozlegały się dźwięki większej bitwy. Prosto z ziemi, jak gigantyczne rośliny, wystrzelały w powietrze słupy o niezliczonych barwach. Wtem Teokrata skoczył do tyłu i zamachnął się na albinosa, który osłoniwszy się przed ciosem podążył za przeciwnikiem. Zamierzył się na jego nogę, lecz nie wcelował. Jagreen Lern zamachnął się z góry w głowę Elryka, ale ten rzucił się w bok, a Teokrata wytracony z równowagi siłą własnego uderzenia, postąpił kilka kroków naprzód. Elryk skoczył na nogi i kopnął go w plecy. Wróg zachwiał się i upadł na twarz. Padając zgubił tarczę i miecz, ponieważ chcąc zrobić zbyt wiele rzeczy naraz, nie zdołał zrobić ani jednej. Melnibonéanin przycisnął wroga do ziemi stawiając nogę na jego szyi. Zwiastun Burzy wysoko uniesiony niecierpliwie oczekiwał uczty.

Jagreen Lern dźwignął się z trudem i przekręcił na plecy. Spojrzał na Elryka. Jego twarz stała się blada jak płótno, wzrok miał wlepiony w Czarny Miecz, wiszący groźnie nad nim.

— Skończ to teraz — odezwał się zachrypniętym głosem. — W całej wieczności nie ma miejsca na moją duszę. Muszę odejść do Otchłani, więc skończ!

Albinos miał już pozwolić Zwiastunowi Burzy zatopić chciwe ostrze w ofierze, lecz nagle powstrzymał się. Z wysiłkiem utrzymał diabelski miecz z dala od Teokraty. Zwiastun Burzy wydał pomruk zdziwienia i poruszył się niespokojnie.

— Nie — Elryk powiedział powoli. — Nie chcę niczego, co jest twoje, Jagreenie Lernie. Nie zanieczyszczę swojej duszy twoją duszą. Moonglumie! — krzyknął, a gdy przyjaciel znalazł się tuż, dodał: — Moonglumie, daj mi swój miecz.

Bez słowa Rudowłosy usłuchał go. Melnibonéanin schował stawiającego opór Zwiastuna Burzy.

— To pierwszy raz, kiedy nie dałem ci się posilić. Ciekaw jestem, co teraz zrobisz? — mruknął i wziął broń Moongluma. Pochylił się nad ofiarą i ciął Teokratę w policzek, otwierając głęboką i długą ranę, z której trysnęła krew.

Jagreen Lern przeraźliwie wrzasnął.

— Elryku, nie! Zabij!!!

Z okrutnym uśmiechem albinos ciął drugi policzek. Jagreen Lern wykrzywił zakrwawioną twarz wołając o śmierć, lecz kat, wciąż z obojętnym uśmiechem, odezwał się cichym i miękkim głosem:

— Chciałeś naśladować Cesarzy z Melniboné, prawda? Drwiłeś z Elryka z rodu królów, torturowałeś go, porwałeś jego żonę. Zamieniłeś ją w piekielną kreaturę, przemieniłeś cały świat. Zamordowałeś przyjaciół Elryka i w swojej bezczelności wyzwałeś go do walki. Ale jesteś jeszcze mniejszym pionkiem, niż kiedykolwiek był Elryk. Teraz, maluczki człowieczku, dowiesz się, jak Melnibonéanie zabawiali się z takimi parweniuszami, w czasach gdy władali światem!

Jagreen Lern umierał przez godzinę. Dzięki błaganiom Moongluma, tylko tyle trwały jego męki, Rudowłosy na wszystko zaklinał, żeby Melnibonéanin szybko

to skończył.

Albinos wytarł splamiony miecz w kawałek materiału z odzienia Teokraty i zwrócił go Moonglumowi. Spojrzał na okaleczone ciało i trącił je nogą. Potem odwrócił się i popatrzył na Władców z Wysokich Światów.

Walka wyczerpała go, jak również wysiłek, który musiał włożyć w schowanie Zwiastuna Burzy do pochwy. Ale z chwilą, gdy spojrzął na tamtą gigantyczną bitwę, zapomniał o zmęczeniu.

Władcy Prawa i Władcy Chaosu zmienili się w olbrzymy i ich postaci owiała lekka mgła, lecz walczyli wciąż utrzymując ludzkie kształty. Byli jak na pół realni giganci, walczący teraz na ziemi i ponad nią. Daleko na horyzoncie Elryk zauważył Donblasa, Twórcę Sprawiedliwości, zmagającego się z Chadrosem Żniwiarzem. Lśnili różnobarwnym światłem, wśród którego migał wysmukły, prowokujący miecz, ścierając się z ogromną kosą.

Nie będąc w stanie wziąć udziału w walce, oraz nie wiedząc, na którą stronę przechyliła się szala, Elryk i Moonglum patrzyli na zmagania olbrzymów, obserwując zanikanie ziemskich kształtów obu walczących stron. Zdawało się, że walka toczy się we wszystkich wymiarach wszechświata. Jakby w oczekiwaniu nadchodzącej transformacji, Ziemia również traciła swą formę. Aż po jakimś czasie ostatni żywi ludzie dryfowali wśród zmieszanych ze sobą, wirujących obłoków powietrza, ognia, ziemi i wody.

Ziemia uległa rozproszeniu, a Bogowie z Wysokich Światów wciąż o nią walczyli.

Materia ziemska powróciła do swej pierwotnej postaci. Jej składniki istniały, lecz nie były uformowane. Zwycięzcy będą mieli przywilej ukształtowania nowej planety. A walka trwała.

Rozdział 6

Ostatecznie skłębiona ciemność ustąpiła miejsca światłu i rozbrzmiał kosmiczny wrzask nienawiści i zawodu, i Elryk pojął, że Władcy Chaosu zostali pokonani, wygnani. Zwycięscy Władcy Prawa wykonali plan Przeznaczenia. Pozostała jeszcze jedna rzecz do całkowitego zamknięcia tego rozdziału — zadęcie w Róg.

Melnibonéanin zdał sobie sprawę, że brak mu siły, żeby zagrać na Rogu po raz trzeci.

Dookoła dwóch przyjaciół świat ponownie nabierał dostrzegalnych i ostrych kształtów. Stali na skalistej równinie. W oddali wydźwigały się smukłe szczyty nowo uformowanych gór. Purpurowe wierzchołki ostro rysowały się na tle spokojnego błękitu.

Wtem Ziemia zaczęła się poruszać. Coraz szybciej i szybciej obracała się dookoła własnej osi. Z niesamowitą prędkością dzień gonił noc, mrok ustępował miejsca światłu. Nagle glob znów zwolnił bieg. Słońce wisiało na nieboskłonie, niewzruszone jak zawsze.

Przemiana dokonała się. Panowało tu teraz Prawo.

Jednak pomimo zwycięstwa Prawo nie mogło uczynić nic, póki Róg nie zagrał po raz ostatni.

— Więc wszystko skończone — wymamrotał Moonglum. — Wszystko zniknęło: Elwher, miejsce moich narodzin, Karlaak nad Płaczącym Pustkowiec, Bakshaan, a nawet Miasto Snów i Wyspa Melniboné. Nie ma ich już, nie można ich przywrócić do życia. A to jest nowy świat stworzony przez Prawo... Jest bardzo podobny do poprzedniego.

Elryka również przepełniło poczucie straty. Wiedział, że wszystkie bliskie mu miejsca, nawet całe kontynenty, już nie istniały, zostały zastąpione nowymi. To było jak utrata dzieciństwa. Może rzeczywiście byli świadkami przemijania dzieciństwa Ziemi?

Potrząsnął głową i odrzucił tę myśl.

— Muszę zagrać na Rogu po raz ostatni, jeżeli Ziemia ma wstąpić w nową erę. Ale brak mi siły. Czyżby Przeznaczenie zostało w końcu oszukane?

— Mam nadzieję, że nie, mój przyjacielu — odrzekł Rudowłosy i spojrzał na Elryka.

— Zostaliśmy tylko my dwaj — westchnął Melnibonéanin. — Ty i ja. Nawet tak wielkie wydarzenia, jak te, nie dały rady zniszczyć naszej przyjaźni, nie rozłączyły nas. Jesteś jedynym człowiekiem, którego towarzystwo mnie nie zmęczyło, jedynym, któremu całkowicie ufałem.

Na twarzy Rudowłosego pojawiło się coś, co przypominało jego dawny zrozumiały uśmiech.

— A tam, gdzie wspólnie dzieliliśmy przygody, jeżeli nie ty, to ja zazwyczaj coś zyskiwałem. Wzajemnie się uzupełnialiśmy. Nigdy się nie dowiem, dlaczego dzieliłem z tobą twój los. Możliwe, że nie ode mnie to zależało, lecz od Przeznaczenia. I jest jeszcze jedna rzecz, którą mogę wykonać w imię naszej przyjaźni. . .

Elryk miał już zamiar zapytać Moongluma, o co mu chodziło, gdy nagle doleciał ich z tyłu znajomy głos.

— Przynoszę dwie wiadomości. Pierwsza to podziękowania od Władców Prawa. Druga pochodzi od o wiele potężniejszej istoty.

— Sepiriz! — Elryk krzyknął i zwrócił się w stronę swego przewodnika. — Czy jesteś zadowolony z mojej pracy?

— Tak, bardzo — jednak twarz Sepiriza była smutna i pełna współczucia. — Udało ci się dokonać wszystkiego oprócz ostatniego aktu, to jest zagrania na Rogu Przeznaczenia po raz trzeci. Dzięki tobie świat będzie wiedział, co to postępek i jego nowi mieszkańcy będą mieli szansę posuwania się do przodu krok za krokiem, aż do osiągnięcia nowego stanu istnienia.

— Ale jaki to wszystko ma sens? — zapytał Elryk. — Tego nigdy nie potrafiłem pojąć.

— A kto potrafi? Kto wie, dlaczego istnieje Równowaga Wszechświata, po co istnieje Przeznaczenie i Bogowie z Wysokich Światów? Dlaczego zawsze musi być Wybraniec, który ma o coś walczyć? Wydaje się, że istnieje nieskończoność przestrzeni, czasu i możliwości. Może być nieskończona liczba istnień, jednych ponad innymi, które widzą ostateczny cel. Jednak w nieskończoności nie może być finalnego celu. Być może wszystko odbywa się cyklami i te same wypadki powtórzą się ponownie, aż wszechświat jakim go znamy skończy się i unicestwi. Sens, Elryku? Nie próbuj się go doszukać, bo w takich poszukiwaniach zatracasz rozum i siebie.

— Żadnego sensu, żadnej prawidłowości. Więc dlaczego musieliśmy cierpieć?

— Możliwe, że Bogowie również poszukują sensu i prawidłowości i to była jedna z wielu prób. Spójrz. . . — Sepiriz wskazał ręką w kierunku nowo ukształtowanej Ziemi. To wszystko jest świeże, stworzone przez rozum. Możliwe, że nowi ludzie będą się nim posługiwali, a może jakiś czynnik go zniszczy. Bogowie eksperymentują, Równowaga Wszechświata kieruje losem Ziemi, a ludzie walczą i twierdzą, że Bogowie wiedzą czemu ma to wszystko służyć. Ale czy Bogowie

rzeczywiście wiedzą?

— Coraz bardziej mnie niepokoisz, zamiast pocieszać — westchnął Elryk. — Straciłem żonę i cały świat, i nie wiem, dlaczego.

— Przykro mi. Przybyłem, żeby cię pożegnać, przyjacielu. Zrobisz to, co musisz.

— Dobrze. Czy zobaczymy się jeszcze?

— Nie, ponieważ my dwaj już nie żyjemy. Nasz czas przeminął.

Sepiriz zawirował w powietrzu i nagle po prostu zniknął.

Pozostała po nim zimna cisza.

Rozmyślenia Elryka przerwał Moonglum.

— Musisz zadać w Róg, Elryku, czy to coś znaczy czy nie. Musisz zagrać i skończyć z tym wszystkim raz, i na zawsze!

— Jak? Ledwo mi starcza siły by się utrzymać na nogach.

— Zdecydowałem, co musisz zrobić. Zabij mnie Zwiastunem Burzy. Weź moją duszę i energię, wtedy będziesz miał wystarczająco dużo siły, żeby zadać po raz ostatni.

— Zabić ciebie! Zabić Moongluma, jedyne, prawdziwego przyjaciela?! Ty chyba bredzisz!

— Nie. Musisz to zrobić, bo nie ma innego wyjścia. A zresztą nie ma tu dla nas miejsca, więc obaj musimy umrzeć i to szybko. Powiedziałeś mi, jak Zarozinia oddała ci swą duszę, weź też i moją!

— Nie mogę.

Moonglum podszedł do albinosa i złapawszy za głownię miecza wyciągnął go do połowy.

— Nie, Moonglumie!

Ale teraz miecz sam wysunął się z pochwy. Elryk odtrącił rękę Rudowłosego i złapał za rękojeść.

Nie był w stanie zatrzymać Zwiastuna Burzy. Czarny Miecz uniósł się do góry, ciągnąc ze sobą trzymającą go rękę. Przygotował się do ciosu.

Moonglum stał nieruchomo z opuszczonymi rękoma. Jego twarz była bez wyrazu, lecz albinosowi wydawało się, że zauważył błysk strachu w oczach przyjaciela. Naprężył się, żeby wziąć miecz pod swoją kontrolę, lecz już wiedział, że jest to niemożliwe.

— Pozwól mu zrobić swoje, Elryku.

Ostrze rzuciło się do przodu i wbiło prosto w serce Moongluma. Krew bryznęła na wszystkie strony. Oczy ofiary przepełniły się przerażeniem, a potem zmatowiały.

— Och, nie... Ja... Nie... spodziewałem się tego!

Skamieniały Elryk nie mógł wyciągnąć miecza z serca przyjaciela. Energia zaczęła przelewać się w ciało Melnibonéanina. I chociaż proces trwał zaledwie

chwile, albinos wciąż stał z oczami utkwionymi w martwym ciele, aż z jego szkarłatnych oczu popłynęły łzy a ciałem wstrząsnął potężny dreszcz. Wtedy ostrze wyswobodziło się.

Odrzucił miecz daleko od siebie. Upadając na skały, Zwiastun Burzy nie wydał zwykłego, metalicznego dźwięku. Odgłos był podobny do tego, jaki wydaje upadając ludzkie ciało. Miecz podniósł się i zbliżył do Elryka. Albinos miał wrażenie, że ktoś go obserwuje.

Melnibonéanin wziął Róg i przyłożywszy go do ust zagrał, obwieszczając początek Nowej Ziemi. I chociaż brzmienie Rogu przepełniała radość zwycięstwa, Elryk nie podzielał tego uczucia. Stał niezmiernie samotny i smutny, z głową wciąż odchyloną. W przestrzeń ciągle płynęła długa nuta. A gdy pełen triumfu dźwięk Rogu zmienił się w konające echo, odzwierciedlające rozpacz Elryka, na tle wieczornego nieba pojawił się jakiś ogromny kształt, jak gdyby przywołany graniem instrumentu.

Był to zarys gigantycznej ręki, dzierżącej wagę. Prawa szalka powoli opuszczała się, a lewa podnosiła do góry, aż po chwili obie szale zrównały się.

Ten widok przyniósł ulgę w cierpieniu człowiekowi, który wreszcie opuścił Róg.

— Coś przynajmniej istnieje — powiedział. — A jeżeli to miraż, to bardzo podnoszący na duchu.

Odwrócił głowę w bok i zobaczył, że Czarny Miecz uniósł się w powietrze, wziął rozpęd i rzucił się prosto na niego.

— Zwiastunie Burzy! — zdążył wrzasnąć i wtedy piekielna broń ugodziła go w pierś. Poczuł lodowaty dotyk na sercu, wyciągnął ręce, dłonie zacisnęły się na ostrzu. Dusza jęczała, wysysana z najgłębszych zakamarków istnienia, całą osobowość Elryka zabierał Zwiastun Burzy. W ostatnich przeblyskach życia Melnibonéanin zdał sobie sprawę, że z dawna przeznaczony mu był taki koniec. Przecież tym mieczem zabijał ludzi i brał sobie dusze wrogów, przyjaciół, tych, których kochał. Robił to, żeby nasycić swe ułomne ciało. I dopiero teraz, w tej sekundzie jasności, nareszcie pojął, że miecz go wykorzystywał, zawsze i do samego końca, że dla Czarnego Miecza Elryk z Melniboné był jedynie ciałem, za ledwie uzupełnieniem Istoty, która właśnie bez litości wydzieraa z niego duszę, Istoty, która tylko udawała miecz! Umierając, Elryk załkał po raz ostatni, zrozumiał bowiem także i to, że dusza, zjednoczona już na zawsze z duszą miecza, nigdy nie zazna odpoczynku, skazana na nieśmiertelność, na wieczną walkę...

Krzyk Elryka z Melniboné, ostatniego Cesarza Świetlanego Imperium, rozdarł ciszę nocy. Ciało Króla Ruin, Zabójcy Krewnych, załamało się. Biały Wilk, Zabójca Bogów, runął martwy na ziemię obok ciała wiernego towarzysza, Moongluma z Elwheru.

Nad nimi wciąż widniała Ręka Dzierżąca Wagę.

Nagle Zwiastun Burzy zaczął zmieniać kształt, skręcał się, pęczniał i pękał.

Ponad ciałem albinosa uformowała się nowa postać. Stała na ziemi obok swej ofiary. Częstka Chaosu, która pozostanie w tym świecie. Spojrzała w dół na ciało Melnibonéanina. Uśmiechnęła się.

— Miałem w sobie tysiącroc więcej zła niż ty, przyjacielu. . . Żegnaj, Elryku z Melniboné.

Nagle skoczyła do góry i pomknęła w niebo jak strzała. Ku Równowadze Wszechświata niósł się jej drwiący śmiech.

KONIEC SAGI O ELRYKU Z MELNIBONÉ